

HISTORYCZNA ROLA PZPR

PRZEZ JEJ SZEREGI PRZEWINIĘŁO SIĘ 4,5 MLN POLAKÓW

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311409

♦ TEATR CAPITOL ♦

NAJLEPSZE KOMEDIE ♦ PIKANTNE FARSY ♦ GWIAZDORSKIE OBSADY



KOMEDIA ODLOTOWA, CZYLI LUMBAGO

REŻYSERIA
OLAF LUBASZENKO
AUTOR
JOHN GRAHAM
MUSZYKA
ELŻBIETA WIDZIAK



Co biega?

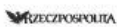
GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

• KUP



• www.teatrcapitol.pl •

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 5c61569606



Niech się święci 1 Maja

Wyborcy, którzy wynieśli do władzy rządzącą koalicję, są jeszcze pod wrażeniem odsunięcia PiS. Ale atmosfera świętowania długo nie potrwa. Problemów, które mamy na co dzień, nie ubywa, wręcz odwrotnie. Ciche narzekanie może przejść w bardziej dynamiczne formy. Tym szybciej, że cierpliwość nie jest cechą, z której Polacy są znani.

Co sympatyków tej władzy najbardziej irytuje? Szybkość, z jaką partie weszły w buty poprzedników wbrew intencjom wielu milionów wyborców, którzy 15 października zdecydowali o wyniku głosowania. Po paru miesiącach o wyborcach cicho, słyszymy za to, że wygrały partie. I widzimy, jak te partie traktują państwo. Jak łup do zagarnięcia. W systemie zarządzania państwem zabrakło miejsca dla organizacji pozarządowych, ruchów społecznych i bezpartyjnych ekspertów. Miało być demokratyczniej, z nominacjami po otwartych dla wszystkich konkursach, a jest mały krąg decydujący o powołaniach na stanowiska.

Wyborcy już zrobili swoje. Teraz władza jest w rękach partyjnych wodzów i wodzusiów. Niestety, zapomnieli oni, że ich wyborcy to nie wyznawcy jak w przypadku Kaczyńskiego i PiS. By kogoś popierać i za czymś obstawać, muszą mieć argumenty. A tych zaczyna ubywać. Sposób wyłonienia kandydatów na europosłów jest we

wszystkich partiach bardzo podobny. Decydują szefowie, z małym, niejawnym zespołem. Nie ma czytelnych kryteriów. Do Brukseli może jechać przestępca i kompletny matoł. Ludzie to widzą i po prostu nie wezmą udziału w takich wyborach. Czerwiec to też data graniczna w traktowaniu rządu Tuska. By mu nie szkodzić, wielu dotychczasowych sojuszników wstrzymuje się z bardziej krytycznymi ocenami. Za kilka tygodni mleko się rozleje – pojawią się analizy stanu państwa. I realizacji obietnic.

Kłamstwa zwykle mają krótkie nóżki. Choć kłamstwa historyczne mogą trwać całe dekady. Tak jak kompletnie załgana historia PZPR. Pisze o niej autor zbyt młody, by mógł go dopaść IPN. Niestety, miliony jej byłych członków skromnie bronią swoich życiorysów. Jako tygodnik robimy to my. Na tyle, na ile mamy mocy. Ale by skala była większa, potrzebujemy pomocy i waszego wsparcia finansowego.

Drodzy Czytelnicy, pomyślcie, co w tej sprawie można zrobić.

A na razie niech się święci 1 Maja. Jest okazja do wspomnień w czasie długiej majówki.

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Oferta specjalna PRZEGLĄDU

MAJÓWKA Z NASZĄ DOBRĄ KSIĄŻKĄ

-25% na **WSZYSTKIE książki i e-booki**

z kodem: **MAJ2024** tylko do **3.05**

UWAGA: promocja łączy się z innymi rabatami!

sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

ZAGRANICA

- 8 Do kogo naprawdę trafiają środki na pomoc Ukrainie?**
- 56 Uchronić przed mafią**
Włoski program dla dzieci przestępców
- 58 Można pojechać do Pragi**
Czeska ironia się przydaje

KRAJ

- 10 20 lat w Unii. Stodko-gorzka rocznica**
– rozmowa z dr. Markiem Grelą
- 22 Platforma wzięła Kraków**
Brudna kampania podzieliła miasto
- 24 Samorządy i nierządy**
Września: burmistrz z zarzutami, ale wybrany
- 26 Gen Z ma talent**
Kombinacje posta Gomoły
- 30 Od „Króla żelatyny” do „Króla nerek”**
Lobbying w Polsce
- 34 Uber drożeje**
I bardzo dobrze!
- 43 Mural Modzelewskiego**
Stołeczne Bielany pamiętają

HISTORIA

- 16 Historyczna rola PZPR**
Partia masowa, nie ciało obce
- 36 Kłopotów przysparzać nie będziemy**
Kontakty prymasa Wyszyńskiego z władzami

OPINIE

- 40 Krzysztof Janik**
Jak odbudować lewicę?
- 44 Robert E. Hunter**
NATO na rozdrużu

KULTURA

- 46 Jedno wesele niczego nie zmieni**
– rozmowa z Mają Kleczewską i Grzegorzem Niziołkiem
- 50 Hasior – Rycharski; zmiany w toku**
Twórczość obu to głośny krzyk
- 52 Kulturalia**
- 66 Szukalski – Znak Potopu**

OBSERWACJE

- 54 World Press Photo 2024**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Niech się święci 1 Maja
- 15 Stanisław Filipowicz**
Rozdarcie
- 21 Jan Widacki**
Kraków bez Majchrowskiego
- 29 Andrzej Romanowski**
Caroline Unger
- 33 Roman Kurkiewicz**
Wódka w kranie, mocium panie
- 53 Tomasz Jastrun**
Nie wierz lustrom
- 57 Wojciech Kuczek**
Stan przedzałobowy

46

KULTURA



JEDNO WESELE NICZEGO NIE ZMIENI

– rozmowa z Mają Kleczewską i Grzegorzem Niziołkiem



54

OBSERWACJE

WORLD PRESS PHOTO 2024

58

ZAGRANICA



MOŻNA POJECHAĆ DO PRAGI

Czeska ironia się przydaje



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ZENON ŻYBURTOWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl 5c61569606

✉ Z wozu czy do rydwanu?

Pisząc o oczekiwanych zmianach w polityce kulturalnej państwa, Tomasz Miłkowski przedstawia dwie kategorie relacji polityków i artystów. Pierwsza, gdy artyści są dla polityków uciążliwym balastem, którego najlepiej się pozbyć; druga – gdy pojawia się chęć „wzięcia artystów pod but”. Jest według mnie w tych relacjach jeszcze trzecia kategoria, obejmująca zapewne najmniej liczną grupę, a mimo to zasługująca na zauważenie.

To ci, którzy swoje zadania wobec artystów traktują jako pomoc i opiekę nad twórcą i ich dziełem. Jako wiceminister kultury w latach 2001-2005 starałem się tworzyć taką właśnie nieliczną grupę.

Sprawa druga to podany przez red. Miłkowskiego przykład Państwowego Instytutu Wydawniczego. Pisze autor o bezradności władz wobec zagrożenia likwidacją PIW. Panie Redaktorze, to ja, dyrektor PIW w latach 2005-2015, byłem bezradny, tak jak i grono jego obrońców. Władza z premedytacją dążyła do likwidacji zasłużonego wydawnictwa. Minister skarbu, który je nadzorował, mocno naciągnął fakty, by mieć argument za likwidacją, a „przejściowa” minister kultury, miast ratować dobro kultury, wtórowała mu w oszczerstwach na temat kondycji PIW. Próbę pomocy podjęli jedynie wicemarszałek Sejmu Jerzy Wenderlich oraz posłowie Krystyna Tybacka i Tadeusz Lwiński. Ich właśnie zaliczyć trzeba do wspomnianej grupy polityków świadomie pomagającej kulturze i artystom.

Rafał Skąpski

f Najstańsze ogniwa

Wyборы parlamentarne pokazały, że lewica jest w bardzo słabej kondycji, nie powinna więc wchodzić do rządu. Rząd byłby mniejszościowy, ale popierany przez lewicę. To dawałoby możliwość realizowania własnych postulatów. A tak dostali stanowiska, więc są zadowoleni, ale jednocześnie pod ścianą. Tłumieni przez Tuska, który rozgrywa swoją partię szachów, a lewica jest tylko pionkiem na szachownicy. Jej głos nie jest już lewicowy, tylko dostosowawczy, jak wystąpienia lewicowego wiceministra spraw zagranicznych w kwestii Ukrainy czy Izraela.

Andrzej Kościński

Za każdym razem, kiedy wchodzę do internetu, widzę Mentzena albo Bosaka, czasem może Żukowską – słabe partie powinny być wyraziste w mediach, ale Lewica nie jest. Jeśli walczyć w polityce dosłownie o przeżycie, nie potrafisz być wyrazisty, to po prostu toniesz. Ciepłą wodą to może być partia, która zdobyła duże poparcie wielu różnych grup wyborców. Pewnie będzie tak, że ci, którzy poszli do ministerstw, dostaną kiedyś propozycję od Tuska, że mogą z nim zostać, porzucając Lewicę, wielu skorzysta jak zwykle.

Liderzy partii Razem myśleli, że gdy dostaną się do Sejmu, będą się do nich garnąć rzesze nowych ludzi, a u mnie lokalnie nastąpiło zjawisko odwrotne i osoby związane z Razem działają w niezależnych ruchach miejskich albo gdzie indziej. Skoro liderzy grali tylko na siebie, dlaczego na dole ludzie mają wierzyć w organizację? Przykład idzie z góry.

To, że Lewica funkcjonuje tak samo jak inne partie, akurat działa na jej niekorzyść, bo po prostu przeczy wartościom oficjalnie przez nią głoszonym. A czy dalibyśmy coś wartościowego na przechowanie komuś, kto ewidentnie nawija nam makaron na uszy?

Łukaszko Walczuk

ZDJĘCIE TYGODNIA



Protest propalestyńskich studentów na kampusie Uniwersytetu Teksasńskiego w Austin przeciwko wojnie między Izraelem a Hamasem. 24 kwietnia 2024 r.

Najwięcej w historii, bo aż **37,4 mld ton dwutlenku węgla** wyrzuciła ludzkość do atmosfery w 2023 r.

25 mln zł wydano za rządów PiS na ochronę miesięcznik smoleńskich w Warszawie i ponad 2 mln zł w Krakowie. Ochrona domu Kaczyńskiego na Żoliborzu kosztowała 7,3 mln zł, a patrol policji przed siedzibą PiS na Nowogrodzkiej prawie 700 tys. zł.

Bezczelność i bezkarność Antoniego Macierewicza możemy obserwować na wszystkich stanowiskach, które pełnił. Porównywalnego z nim szkodnika nie ma w historii Polski po 1945 r. **Brednie podkomisji smoleńskiej kosztowały 33 mln zł**, w tym 12,5 mln zł wydano na pensje bredzistów.

Zmarł prof. Hieronim Ku-biak, socjolog, przewodniczący Rady Okręgowej ZSP w Krakowie, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego i Krakowskiej Akademii im. Frycza Modrzewskiego, czołowy reprezentant reformatorskiego skrzydła PZPR, członek Biura Politycznego i sekretarz KC, uczestnik obrad Okrągłego Stołu. Działacz państwowy. Członek założyciel i wieloletni prezes Stowarzyszenia „Kuźnica”. Żegnaj, Profesorze.

Ogromna strata NBP za 2023 r. sięga 20,8 mld zł.

W latach 2017-2022 inwigilacji Pegasusem poddano **578 osób** z wniosków CBA, Służby Kontrwywiadu Wojskowego, ABW i policji.

Gen. Mirosław Różański, senator Trzeciej Drogi, zwrócił się do ministra obrony o zmianę przepisów dotyczących asysty wojskowej podczas ceremonii

pogrzebowych żołnierzy rezerwy w stanie spoczynku i usunięcie IPN oraz Wojskowego Biura Historycznego jako instytucji wydających opinie w tej sprawie.

Firmy z Podlasia i Lubelszczyzny poszkodowane w wyniku wprowadzenia tam stanu wyjątkowego i zamykania przejść granicznych decyzją premiera Morawieckiego z kwietnia 2023 r. **miały otrzymać 100 mln zł w ramach „Tarczy dla pogranicza”**. Niestety, była to jeszcze jedna fikcja, z której nic nie wyszło.

Człowiek z gaśnicą, czyli kabaretowy minister rolnictwa **Robert Telus**, nie jest takim gamoniem, na jakiego wygląda. Polityk PiS, a konkretnie jego żona i córka dzierżawią 15 ha od Lasów Państwowych i prowadzą hodowlę ok. 40 koników polskich. **Kontrola ujawniła trzy padłe zwierzęta w stawie i martwego żrebaka pod plandeką**.

Prof. Alojzy Nowak po raz kolejny został wybrany na rektora Uniwersytetu Warszawskiego.

Na trzy miesiące więzienia i rok prac społecznych został prawomocnie skazany za torturowanie psa **były senator PiS Waldemar Bonkowski**. W 2021 r. przywiązał owczarka kaukaskiego do haka samochodu i włókł po jezdni. Pies nie przeżył.

W 2023 r. cudzoziemcy, głównie z Ukrainy, Gruzji i Białorusi, uczestniczyli w 2186 wypadkach, w których 280 osób straciło życie. Główną przyczyną były: prędkość, wymuszanie pierwszeństwa i nieustąpienie pierwszeństwa pieszym na pasach.

PRZEBŁYSKI

Aforyzmy prof. Grzegorza W. Kołodko

Zrozumieć znaczy zmieniać.

Prędzej nadejdzie koniec świata niż koniec historii.

Rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, ponieważ wiele dzieje się naraz. Najtrudniej dostrzec to, czego nie widać.

Wejść dwa razy do tej samej rzeki się nie da, ale dwa razy wdepnąć w to samo bagno można.

Nie wystarczy mieć rację, trzeba jeszcze mieć większość.

Cudów nie ma, bywają za to szczęśliwe zbiegi okoliczności.

Atomowy Duda

Miedzy ciągiem wizyt w sądach Donald Trump podjął kolację prezydenta Dudę. I „wiceprezydenta” Ma-stalerka, który ten posiłek załatwił. Jak wiadomo, w polityce nie ma darmowych obiadów. Co potwierdził Duda w rozmowie z „Faktem”, mówiąc, że „od USA nic nie dostaniemy w prezencie”.

Znany z dewocji Duda spotkał się z całkowicie bezpruderyjnym Trumpem, który zapłacił 130 tys. dol. gwiazdce porno za to, by nie opowiadała, na co stać Trumpa w łóżku. I sprawa by przyschła, gdyby Trump nie rozliczył tego milczenia jako usługi prawniczej. Patologiczny oszust się nie zmienia.

Dudzie kolacja z fanem łatwego seksu tak zaszkodziła, że zaczął bajdurzyć o broni atomowej w Polsce. Nic z tego nie będzie, bo za Dudę Amerykanie nie dadzą nawet starej armaty.



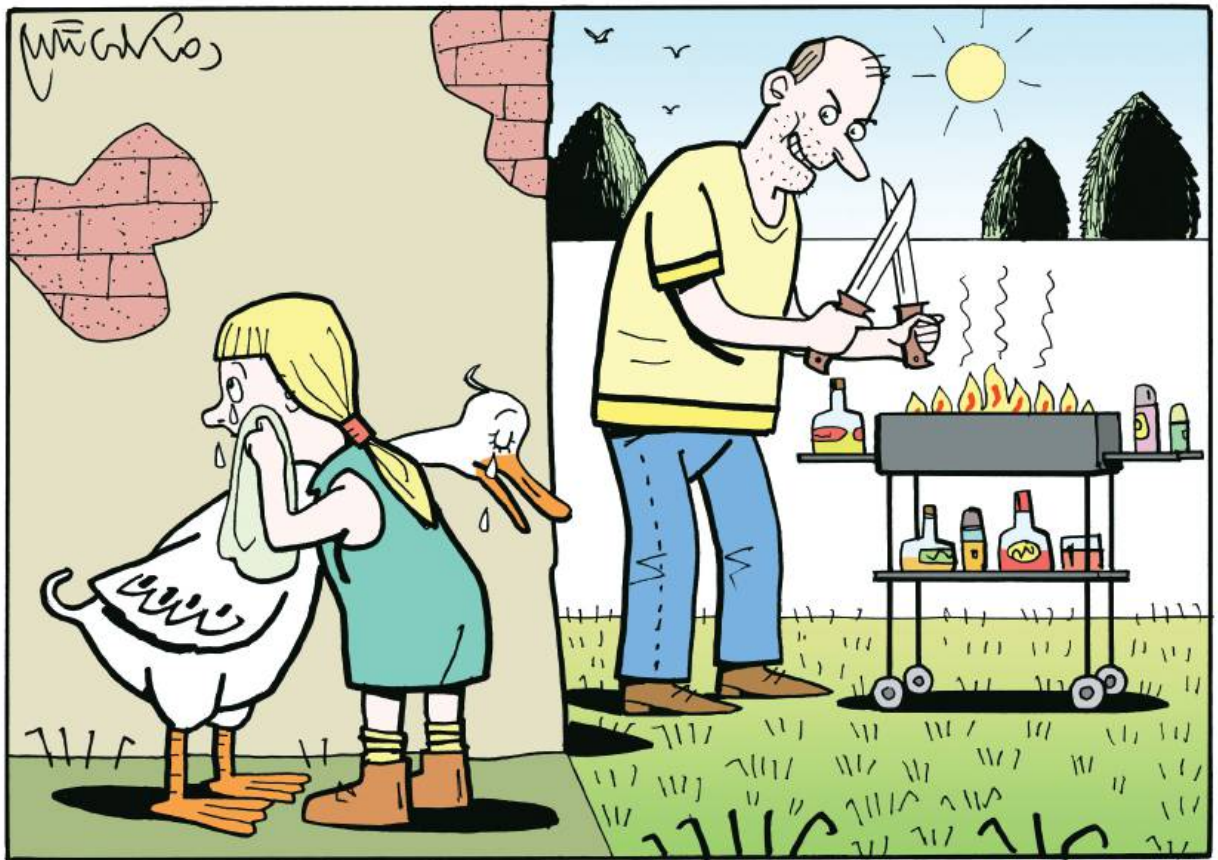
Ksiądz skandalista

Ta kara z pewnością nie zniechęci naśladowców ks. Andrzeja Dębskiego. Skandalista z Białegostoku w lipcu 2022 r. dał się poznać z tekstów, którymi zachęcał do seksu internetkę Olę. Na wideo, które jej przesłał, słyszymy: „Będiesz suką do spełniania moich poleceń, zachcianek, a będzie ich dużo”. Przebojem internetu było też dość perwersyjne zachęcanie Oli do kontaktu z księdzem: „Będiesz pierwszą kobietą w historii wyr... w gabinecie metropolity białostockiego”. Nie spodobało się to oczywiście gospodarzowi gabinetu, który pozbawił ks. Andrzeja prawa do posług i sutanny. Watykan był dużo łaskawszy. Kara ogranicza się do czteroletniego zakazu i dwóch lat pod kuratelą. Miłosierdzie. Ale czy Ola będzie czekać?

Piesiewicz jak Violetka

Kto spodziewał się, że Radosław Piesiewicz, z łaski PiS prezes PKOl, zrobi wreszcie coś sensownego, musi czekać dalej. I oglądać bardzo z siebie zadowolonego kumpla eksvicepremiera Sasina. Tudzież stroje Polaków na olimpiadę w Paryżu. Piesiewicz postawił na Adidasa i słabo znaną polską markę Bizuu. Umowa ma obowiązywać do 2028 r. i została podpisana bez wiedzy ministra sportu Nitrasa. No i jest prawie jak w serialu „Ranczo”. Wszyscy są z Violetki zadowoleni, a ty jeden nie. Tyle że odwrotnie. Piesiewicz jest ze strojów olimpijskich bardzo zadowolony, a internauci wręcz przeciwnie: „Te stroje to tragedia”, „Bluzy jak wyciągnięte psu z gardła”, „Strasza żenada”, „Kobiety wyglądają jak każda typowa Julka chodząca na siłownię, a mężczyźni jak bogaty Seba”. Ale są też zadowoleni z estetyki strojów. Najwięcej ich wśród tych, którzy dostają kasę od PKOl. Społeczeństwo niestety znowu nie dorosło do wizji Piesiewicza.





PYTANIE TYGODNIA

Jak dziś obchodzić 1 Maja?

PIOTR SZUMLEWICZ,
*przewodniczący Związku Zawodowego
Związkowa Alternatywa*

1 Maja to święto narodowe, czyli dzień ustawowo wolny od pracy. Tego dnia warto więc przede wszystkim odpoczywać! Ale też w Święto Pracy setki tysięcy ludzi pracują – pracownicy handlu, gastronomii, transportu, ochrony zdrowia, energetyki czy rozrywki. Zdecydowana większość otrzymuje niskie płace, które nie różnią się od tych wypłacanych im za pracę w dni powszednie. Dlatego proponuję, by wpisać do Kodeksu pracy zasadę, że za każdą pracę w niedzielę i święta pracodawcy musieliby wypłacać pracownikom dwuipółkrotnie wyższe wynagrodzenia. A czy warto tego dnia organizować manifestacje? Myślę, że w Polsce ten zwyczaj się wypalił. Demonstracje pierwszomajowe od

wielu lat są mało liczne i zrytualizowane. Ponadto tego dnia wszystkie liczące się instytucje są zamknięte. Nikt nie wyjdzie do protestujących ani się ich nie przestraszy. Lepiej więc w Święto Pracy zebrać siły i przygotować się do akcji protestacyjnych po długim weekendzie.

PIOTR CISZEWSKI,
*przewodniczący Stowarzyszenia
Historia Czerwona*

1 Maja powinien być dniem protestu, zwłaszcza obecnie, kiedy są pieniądze na wojnę i zbrojenia, natomiast nie ma ich na cele socjalne, edukację, ochronę zdrowia, poprawę sytuacji pracowników. Gdy narasta kryzys, którego pierwsze symptomy są już widoczne, pracownicy powinni pokazać, że są zorganizowani i gotowi do walki.

PIOTR KRET,
*Wolny Związek Zawodowy Zmiana
– Jedność Pracownicza*

To jedyne święto, które pozostało pracownicze. Uważam, że trzeba je spędzić aktywnie, aby pokazać pracodawcom, że to nas, pracowników, jest jednak większość. Właśnie my powinniśmy nadawać ton temu świętu. To mogą być pochody, festyny. Ważne, abyśmy ten dzień świętowali. Oczywiście na miarę XXI w. Kapitałiści okłamali nas, wmawiając, że ten dzień jest komunistycznym świętem. Warto przypomnieć, że to nieprawda, nawet jeśli w dawnych czasach obchody 1 Maja były największe.

*Rozmawiał
Kornel Wawrzyniak*

Do kogo naprawdę trafiają środki na pomoc Ukrainie?

Zdecydowana większość, bo 80-90% właśnie zatwierdzonych funduszy „dla Ukrainy” nigdy nie opuści granic USA

Jakub Dymek

Amerykańska Izba Reprezentantów zagłosowała za przekazaniem „60 mld dol. pomocy zbrojeniowej Ukrainie”. Wydawać by się mogło, że nastąpił przełom, który kwestionować mogą tylko ludzie złej woli. A jednak wziętem te słowa w cudzysłów, bo żadne z nich nie jest prawdziwe. Ani 60 mld, ani pomoc, ani to, że Ukrainie.

W rzeczywistości mniej niż jedna piąta tych środków kiedykolwiek zasilili ukraiński budżet i sektor prywatny.

USA postanowiły określać jako pomoc dla Ukrainy także wydatki na własne siły zbrojne.

I nawet przewidziane w pakiecie 10 mld dol. na te cele podlega zwrotowi, o ile prezydent nie postanowi po 2026 r. inaczej. Cała reszta – czyli zdecydowana większość, bo 80-90% właśnie zatwierdzonych funduszy „dla Ukrainy” – nigdy nie opuści granic USA. Jak to możliwe?

Dzieje się tak zarówno z powodu wybranej metody pomocy, jak i podwójnego księgowania środków, co nawet o 100% zwiększa nominalną wartość „pakietów pomocowych”. Już tłumaczę. Po pierwsze, USA postanowiły określać jako „pomoc Ukrainie” także wydatki na własne siły zbrojne i przekazywać je niejako oprócz pieniędzy regularnie wydawanych przez Pentagon. Przykładowo w projekcie z grudnia 2022 r. 5 mld z 28,5 mld dol. pomocy dla Ukrainy zarezerwowane było na „działania i koszty osobowe sił zbrojnych USA”. W aktualnym „pakiecie

pomocowym” jest to 7,3-11,5 mld z 60 mld dol., a więc proporcja jest podobna. Są to środki, które nigdy nie miały trafić do Ukrainy ani do ukraińskich sił zbrojnych, lecz mieszczą się w nich wydatki na utrzymanie sił USA w Europie (w tym premie, dodatki oraz diety za pracę żołnierzy i urzędników poza granicami USA). Zgodnie z tym założeniem, dodajmy, Polska powinna liczyć jako „pomoc Ukrainie” niemającą część budżetu własnego MON i niemającą część nowych kontraktów zbrojeniowych, m.in. na czołgi, samoloty bojowe i śmigłowce.

Sprawa idzie jednak dalej. Bo nie na tym kończy się tak naprawdę wspieranie przez amerykańskie publiczne pieniądze amerykańskiej gospodarki, zdolności wytwórczych i hojnych dywidend dla sektora prywatnego. W logice kolejnych „pakietów pomocy” wsparcie militarne USA dla Ukrainy ma tak naprawdę charakter pakietu stymulacyjnego dla amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego. Zdecydowana większość deklarowanych środków – dwie trzecie całości programów i ok. 80-90% ich komponentu militarnego – wydawana jest na zamówienia sprzętu oraz na granty mające zwiększyć zdolności produkcyjne. Lub uruchomić linie montażowe, które od lat były nieczynne.

W ten sposób, jak chwaliła się niedawno Victoria Nuland, wicesekretarz stanu i czołowa zwolenniczka pomocy Ukrainie

w administracji Joeego Bidena, „większość tych pieniędzy zostaje w USA, wydawane jest w USA i pozwala tworzyć dobrze płatne miejsca pracy”. Przekonywanie, że pomoc Ukrainie się opłaca, ponieważ tworzy miejsca pracy w USA i wzbogaca amerykańskie kieszenie, stało się zresztą w ostatnich miesiącach przekazem, z którym w kampanii próbują się przebić do wyborców Biden i demokraci. Sam prezydent podkreśla, że pieniądze wydawane są nie w Ukrainie, ale w Arizonie, Alabamie, Teksasie czy Pensylwanii. Dodatkowo pieniądze te w postaci subsydiów pomagają zachęcić globalne firmy zbrojeniowe do inwestowania w USA, a nie w Europie. Dobre wiadomości z punktu widzenia amerykańskiej gospodarki i potęgi przemysłowej? Jak najbardziej.

Do tamtejszych firm trafiają bowiem nie tylko pieniądze z zamówień na sprzęt dla Ukrainy (oraz kolejne zamówienia od sojuszników, którzy Ukrainie coś przekazali), ale także kolejne zamówienia na uzupełnienie zapasów! Również one – czyli wydatki na zastąpienie przekazanego sprzętu – są zapisywane jako „pomoc Ukrainie” w kolejnych pakietach pomocowych. To właśnie zjawisko podwójnego księgowania.

Mówiąc brutalnie, jeśli USA przekazały Ukrainie czołg Abrams, a następnie zabudżetowały środki na produkcję i kupno jeszcze nowego czołgu Abrams, to obie te pozycje trafiają do jednej ustawy i są przedstawiane światu jako „pomoc Ukrainie” warta miliardy (także wtedy, gdy sprzęt czy amunicja nie tylko nie zostały jeszcze dostarczone, ale nawet wyprodukowane). Dzięki temu każdy wydatek można



Jeśli USA przekazały Ukrainie czołg Abrams, a następnie zabudżetowały środki na produkcję i kupno jeszcze nowszego czołgu, to wydatki te trafiają do jednej ustawy i są przedstawiane jako „pomoc Ukrainie” warta miliardy.

liczyć dwa razy – i tak właśnie się dzieje – w kolejnych pakietach. Nie trzeba więc tłumaczyć, że realna ilość sprzętu dostarczonego Ukrainie znacznie odbiega od tego, co można sobie wyobrazić na podstawie kwot podawanych w kolejnych doniesieniach medialnych. Inaczej jest z pomocą humanitarną i finansową – czyli jedyną bezpośrednią pomocą dla budżetu ukraińskiego państwa – której USA nie księgują podwójnie,

W ten sposób USA nadal mogą prywatyzować zyski z wojny w Ukrainie i przenosić jej koszty – w tym wypadku na Europę. Cały czas przekonując, że to Unia Europejska za mało wydaje na zbrojenia, za mało sprzętu przekazuje Ukrainie i nie pomaga jej wystarczająco. Nawet jeśli rzeczywiste proporcje między bezzwrotną pomocą i środkami przekazanymi Ukrainie bezpośrednio mocno się różnią od tego jednostronnego obrazka.

kampanii prezydenckiej. I propagandowym narzędziem szantażu wobec innych państw NATO, żeby – nie mając nic więcej do przekazania z linii czy nie mogąc wyprodukować natchemniast zaawansowanej techniki wojskowej – złożyły kolejne zamówienia w tych samych fabrykach, które już dotuje Biden. W ten sposób Ukraina wprawdzie nie dostaje pomocy na czas ani za darmo, za to amerykańska zbrojeniówka i jej akcjonariusze nie cierpią głodu.

Gdyby bowiem wyjąć z kolejnych „pakietów pomocy” wszystko, co nie trafia do Ukrainy albo stanowi „pomoc” w bardzo, bardzo szerokim sensie tego słowa, mogłoby się okazać, że Waszyngton wcale nie uważa pomocy Ukrainie za wyzwanie o tak wielkim znaczeniu, jak zwykliśmy myśleć.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Do pakietów pomocy wliczane są pozycje luźno związane z pomocą Ukrainie, np. „remont i budowa wzmocnionego płotu wokół ambasady amerykańskiej”.

w rezultacie zatem dają trzykrotnie mniej niż kraje i instytucje UE.

Na tym jednak nie koniec, bo do pakietów pomocy wliczane są też pozycje o nader luźnym związku z „pomocą Ukrainie”. Na przykład „remont i budowa wzmocnionego płotu wokół ambasady amerykańskiej”, środki na inwestycje mające wypierać chińską Inicjatywę Pasa i Szlaku, granty dla amerykańskich agencji federalnych, pożyczki dla takich państw jak Kolumbia, Peru, Wietnam i Maroko oraz składki na programy Banku Światowego.

Będą oczywiście tacy, którzy powiedzą, że lepsze tyle niż nic i że ostatecznie coś do tej Ukrainy jednak trafia. Ale ich argument jest chybiony. Spór nie toczy się o to, czy cokolwiek trafia, lecz o to, dlaczego te pakiety mają taki charakter. Przecież taka konstrukcja pakietów pomocowych odwleka realne dostarczanie sprzętu przy równoczesnym wielokrotnym zawyżaniu jego wartości (czy nie to samo polska debata publiczna zarzuca od lat Niemcom lub Francuzom?). A jednocześnie jest wygodną metodą kupowania poparcia w trakcie



20 lat w Unii

Słodko-gorzka rocznica

Mieliśmy świadomość, że jeśli nie wstąpimy teraz, to nie wiadomo kiedy. A od tego zależy nasze miejsce w Europie

Rozmawia Robert Walenciak

Pamiętam, że kiedy stawał pan przed sejmową komisją spraw zagranicznych, prezentowano pana jako kandydata na ambasadora przy Unii Europejskiej. To był styczeń 2002 r., pierwsza grupa ambasadorów nowej ekipy. Musiał pan bronić Europy, m.in. przed Romanem Giertychem.

– Pamiętam to bardzo dobrze. Miałem za zadanie przygotować Stałe Przedstawicielstwo przy UE w Brukseli do członkostwa Polski w Unii i kierować nim po naszym wstąpieniu. Wysłunięcie mojej kandydatury na to stanowisko przyjąłem z zaskoczeniem i – nie ukrywam

DR HAB. MAREK GRELA

– wielkim zadowoleniem. Sprawami integracji europejskiej zajmowałem się od czasów studiów, potem pracy w dyplomacji i w pracy naukowej. Pewne rzeczy ujawnił niedawno Marek Siwiec. Że była nieformalna narada, w której uczestniczyli prezydent Aleksander Kwaśniewski, premier Leszek Miller, szefowa UKIE Danuta Hübner. Wtedy zdecydowano, że placówkę w Unii przejmę ja. A wysuwany na nią wcześniej Iwo Byczewski zostanie ambasadorem w Królestwie Belgów.

Polska była wtedy w trudnej sytuacji. Znalazła się, co było spadkiem po rządach Jerzego Buzka i szefa UKIE Ryszarda Czarneckiego, w drugiej lidze państw kandydujących. Mieliśmy dziurę Bauca, jednoprocentowy wzrost i rekordowo dużo niezamkniętych rozdziałów negocjacyjnych. Przyspieszenie negocjacji – to był program nowego rządu.

– Nie uczestniczyłem bezpośrednio w negocjacjach, chociaż byłem obecny na wielu spotkaniach. Prowadził to Jan Truszczyński,



Marek Grela – dyplomata, ekonomista, wiceminister spraw zagranicznych (1997), ambasador RP przy Unii Europejskiej (2002-2006), dyrektor w Sekretariacie Generalnym Rady Unii Europejskiej w Brukseli (2006-2012), a następnie w europejskiej służbie dyplomatycznej.

a na innym szczeblu Danuta Hübner. Ale, już jako ambasador, byłem informowany i ja też informowałem. Odbywałem dziennie po kilka spotkań. Z ambasadorami innych krajów, z pracownikami instytucji europejskich, ale również z ekspertami z think tanków, grup nacisku.

Chcieli nas zostawić na brzegu

I jak?

– W wielu środowiskach panował spory sceptycyzm. Brał się z tego, że Polska była największym organizmem, który wstępował do Unii. A nie wszyscy byli za wielkim rozszerzeniem, o dziesięć państw. Istniała wtedy koncepcja tzw. małego rozszerzenia, o cztery-pięć krajów. W tej grupie miały być Estonia, Czechy, Węgry, które wtedy świetnie się prezentowały, jeśli chodzi o sprawność administracyjną, oraz Słowenia.

Chyba jeszcze Malta.

– Cztery lub pięć państw miało przystąpić w ramach małego rozszerzenia. Francja zachowywała wtedy dwuznaczne stanowisko. Oficjalnie deklarowała, że popiera duże rozszerzenie, natomiast nieoficjalnie... W wielu ośrodkach panował sceptycyzm, czy polska gospodarka sprosta konkurencji ze strony Unii, gdy zostaną otwarte granice.

Ten pogląd był wyraźnie artykułowany?

– Wiele mówiąca była dla mnie rozmowa z Romanem Prodim, ówczesnym przewodniczącym Komisji Europejskiej. Przyszedłem składać listy uwierzytelniające wiosną 2002 r., nastawiałem się raczej na ogólną rozmowę, a tu niespodzianka. Trochę porozmawialiśmy o Rzymie, pracowałem tam jako przedstawiciel Polski przy agendach ONZ, a potem zapytał: „Niech mi pan powie, ale zupełnie szczerze: czy Polska chce do tej Unii, czy Polska nie chce?”.

Zaskoczył pana.

– Potem zrozumiałem, dlaczego pytał. Przypomnijmy sobie tamten czas. Samoobronę, która wysypywała zboże na tory. Wielkie napięcie z powodu produktów z krajów UE, aktywizacja przeciwników Unii! Oczywiście mówiłem, że zrobimy wszystko, że to jest priorytet rządu itd.

Szczerze pan mówił?

– Dla Leszka Millera najważniejszym zadaniem było załatwienie naszego członkostwa w UE. Był zdecydowany. Zwłaszcza że wiedzieliśmy, że sprawa nie jest przesądzona. Nasi sojusznicy z dziesiątki nie byli jednoznaczni, niektórzy uważali, że nie warto czekać na Polskę.

Polskę na lodzie chciał zostawić Viktor Orbán.

– Ale również Estonia. Bo małe rozszerzenie będzie prostsze, łatwiejsze do strawienia – taki był argument. A my mieliśmy świadomość, że niewstąpienie w dużej grupie to nie jest przesunięcie o rok czy dwa

Rozszerzenie miało swoje koszty. Dotknęły one zwłaszcza polską prowincję. Te małe zakłady, które padały jeden po drugim, bo nie spełniały norm sanitarnych!

lata, tylko w ogóle znak zapytania na przyszłość. Że od tego zależy nasze miejsce w Europie. Stąd determinacja prezydenta, premiera, ministrów. Że albo teraz, albo...

Widziałem ich determinację

Widział ich pan z bliska. Byli w tej grze wartością dodaną?

– Kwaśniewski! Znał mnóstwo ludzi. Znał premierów, znał Prodiego... Ale też chciał być poinformowany i nie robił tego tylko przez ambasadę, ale miał swoich emisariuszy. Regularnie przyjeżdżał do Brukseli Dariusz Szymczycha odpowiedzialny za przygotowanie w Polsce referendum. Dobrze zorientowany był Marek Siwiec, doradca prezydenta. Aleksander Kwaśniewski uważnie śledził sytuację, w razie potrzeby wspierał działania rządu. Nie bez przyczyny został nagrodzony tytułem Europejczyka Roku przez European Voice, przejęty później przez Politico. I Leszek Miller! On z kolei miał szczególnie dobre stosunki z brytyjskim premierem Tonym Blairem.

A z kanclerzem Schröderem?

– Również. Ale w Brukseli podczas posiedzeń Rady Europejskiej lubił spotkać się z Blairem. Raz miałem okazję być przy takiej rozmowie. Tony Blair udzielał mu uwag na temat

Unii i jej funkcjonowania, różnych polityk itd. Blair lubił Millera. A Miller chętnie go słuchał, o różne rzeczy się dopytywał. Wiadomo, wszystko było na jego barkach. Ja w ogóle uważam, że rząd Leszka Millera poległ nie wyłącznie przez Rywina, ale także z powodu niepopularnych decyzji, które wziął na siebie w tym czasie. Dziś to się pomija. A faktem jest, że rozszerzenie miało swoje koszty i musieliśmy je przyjąć. Dotknęły one zwłaszcza polską prowincję. Te małe zakłady, które padały jeden po drugim, bo nie spełniały norm sanitarnych! Zmiany w strukturze gospodarki. Za to Miller zapłacił.

Zastąpił go Marek Belka.

– Belka był stosunkowo krótko, ale zaprezentował się od najlepszej strony. Był lubiany i szanowany. Odegrał dużą rolę w negocjacjach pierwszej perspektywy finansowej, choć nie doczekał ich finalizacji. On przy negocjacjach finansowych nie potrzebował doradców. Znakomicie sobie radził sam. Obliczał w głowie szybciej niż inni. Utrzymywał też świetne stosunki z szefami innych państw. Znał języki, miał wiedzę ekonomiczną i umiejętność rozwiązywania trudnych spraw. Był dowcipny, partnerzy lubili z nim rozmawiać, na przerwach zawsze był otoczony wianuszkiem kolegów. Ambasadorem byłem również w czasach premiera Marcinkiewicza. Była jesień 2005 r.

Dobrze go pan wspomina.

– Jako osobę skromną, zapewne onieśmieloną małą wiedzą o integracji europejskiej i wówczas niedostateczną znajomością angielskiego. Mówił po rosyjsku, co zauważyłem, gdy przed jednym z posiedzeń Rady Europejskiej podeszła do niego Angela Merkel i zaczęła mówić do niego w tym języku. Kiedyś poprosił mnie, że ze swoim zespołem chciałby się spotkać na lunchu w centrum Brukseli i porozmawiać. Proszę bardzo! A ponieważ nie powiedział mi bezpośrednio, że mam być, zostałem ▶

► w ambasadzie. I nagle telefon: że czekają na mnie, co się dzieje? Więc mówię: „Panie premierze, nie powiedz mi pan, że ja też...”. A on: „Jak pan mógł nie pomyśleć, że jest pan moim najbliższym współpracownikiem w Brukseli?”. To było sympatyczne i otwarte. To jeszcze nie były czasy agresji.

Dlaczego Niemcy były za Polską?

Wróćmy do negocjacji. Na kogo mogliśmy w naszych staraniach liczyć?

– Nikt oczywiście nie sprzeciwiał się wprost. Były trzy ośrodki. Pierwszy to Niemcy. Niemcy powiedziały wyraźnie partnerom, czy chcieli słuchać, czy nie, że rozszerzenie bez udziału Polski nie ma sensu.

Dlaczego tak kalkulowały?

– Dlatego, że dla nich przyłącznie Polski to była najważniejsza sprawa. Zapewne na pierwszym miejscu były względy historyczne. Przestrzeń geopolityczna! Również gospodarcza, ale przede wszystkim geopolityczna. Chciały mieć stabilne sąsiedztwo. To, co z innej perspektywy i w innych okolicznościach myślimy dzisiaj, mówiąc o sytuacji na wschodzie. Chodzi nie tylko o Ukrainę, ale i o Mołdawię, o bezpieczeństwo krajów bałtyckich. Chcemy mieć stabilne sąsiedztwo.

Kto jeszcze nas popierał?

– Wielka Brytania. Znamy te wszystkie wyczulenia brytyjskie, żeby integracja nie była zbyt głęboka, żeby skupiała się głównie na sprawach handlu, jego liberalizacji. Oni postrzegali Polskę jako sojusznika, także politycznego.

Już wtedy?

– Tak, już wtedy, zwłaszcza wtedy... Chcę dodać, że spore było oddziaływanie brytyjskie na polskie władze, że dostawałem instrukcje ścisłej współpracy w różnych sprawach, zresztą słusznie, z przedstawicielem brytyjskim. U nas rządziła lewica, w Wielkiej Brytanii Partia Pracy Tony'ego Blaira, uznawanego wraz z Clintonem za twórcę koncepcji „trzeciej drogi”. Trzecim ośrodkiem wspierającym nas były kraje skandynawskie. Zwłaszcza Szwecja i Dania.



Ambasador Marek Grela składa listy uwierzytelniające przewodniczącemu Komisji Europejskiej Romanowi Prodiemu, kwiecień 2002 r.

Tak na marginesie dodam, że jak ustalano pierwszą prezydencję nowych krajów na okres uwzględniający powiększenie, zdecydowano, że będzie to się odbywało w schemacie: kraj starej Unii – kraj nowy – kraj stary. Żeby ci nowi mogli się uczyć. Nam przypadł dopiero rok 2011. I ambasador Danii, który był niezwykle życzliwy dla Polski – myślałem, że nie tylko osobiście, ale miał także instrukcje, żeby nas wspierać – mówił mi: „Gdy była dyskusja o prezydencji, zaproponowałem, żeby Polska miała ją razem z Danią”. Potem dodał: „Powiem ci szczerze, że nikt ze starych krajów nie chciał z Polską”. Było to dla mnie dość przykre. To nie był komplement. Ale to był kolejny sygnał, że istniał niepokój co do funkcjonowania Polski w Unii. I poczucie obowiązku, żeby nas uświadamiać, że nic nie jest przesądzone.

Wszystko poszło lepiej

Pisał pan o tym do Warszawy?

– Sceptycyzm w Brukseli był wtedy wyraźny i uznałem, że byłoby nieprofesjonalne z mojej strony o tym nie informować. Powodem sceptycyzmu były też względy negocjacyjne, by wywierać na Polskę większą presję i skłaniać nas do ustępstw.

Jak to było przyjmowane?

– Niekiedy część naszych polityków źle odbierała informacje, które stawały pod znakiem zapytania datę naszego członkostwa. Jeden z polityków spytał, czy Grela spotyka się w Brukseli z właściwymi ludźmi.

A kto był sceptyczny wobec Polski?

– Pewna część biurokracji brukselskiej, niektóre kraje wrażliwe na punkcie kosztów rozszerzenia. Przestróg nie szczędził też bardzo nam sprzyjający Günter Verheugen, komisarz ds. rozszerzenia. Ogólnie panowała silna presja.

Mieli powód – polityka rolna, dopłaty do rolnictwa, kwestia dopuszczenia polskich pracowników do rynku pracy, okresy przejściowe, korupcja w Polsce. Tych problemów, o które rozbiły się negocjacje, była cała masa.

– Istotna była także skala kraju. Mieliliśmy i stocznie, i kopalnie, i huty, i rolnictwo – bardzo zróżnicowane – i przemysł rolnospożywczy, wtedy zacofany. A co np. miała Malta? Problem zmniejszenia produkcji w stoczni w La Valletcie i zakaz wiosennych polowań na ptaki. Bo takich polowań zabrania unijne prawo. Nic więc dziwnego, że uwaga w pierwszym rozszerzeniu skupiała się na Polsce. Panował niepokój. To mi powtarzali wszyscy po kolei, i w instytucjach,



2006 r. Misja ambasadora zakończona. Marek Grela zostaje doradcą Javiera Solany ds. stosunków transatlantycznych.

i szefowie placówek: „Czy Polska wytrzyma presję konkurencyjną na jednolitym rynku europejskim?”. I, pamiętam, równo rok po rozszerzeniu Henryka Bochniarz, przewodnicząca Lewiatana, zorganizowała konferencję w Krakowie, na której przedstawiła wyniki za pierwszy rok członkostwa. Ku zaskoczeniu Polska bardzo szybko zwiększyła eksport. Napłynęło też wiele inwestycji zagranicznych. Mieliśmy wzrost gospodarczy. Wszystko poszło lepiej.

Policja dokumentów nie sprawdzała

Wtedy prowadzono gorące dyskusje, ile pieniędzy Polska dostanie. Czy załapiemy się na dobre dopłaty czy nie.

– To zdominowało postrzeganie Unii w Polsce: ile dostaniemy? Oczywiście pieniądze nam się należały i należą, ale nie należą się wiecznie. Trzeba patrzeć, jak Hiszpania czy Irlandia przetykały kolejne obcinanie środków unijnych. Powiedziały: myśmy już swoje dostali. Inna rzecz, że te środki mądrze wykorzystaliśmy. Społeczeństwo powinno mieć świadomość jeszcze innych rzeczy. Swoboda podróży, dostęp do rynku pracy, możliwości kształcenia. I drugi obszar, kluczowy dla wszystkich,

którzy zajmują się wytwórczością nie tylko towarów, ale i usług – dostęp do jednolitego rynku europejskiego.

Największy rynek na świecie. Wielkie możliwości.

– Gdy przystępowaliśmy do Unii, PKB Polski wynosił z grubsza 45-50% przeciętnego unijnego PKB, dzisiaj to 80%! Dokonaliśmy wielkiego skoku. Wszyscy z niepokojem patrzyli, czy nam się uda. Patrzą – a tu wzrost eksportu, napływ kapitału. Bo są wykwalifikowani ludzie, jest renta geograficzna, bliskość największego partnera. Wtedy patrzyliśmy z podziwem na Hiszpanię, jak potrafiła wykorzystywać środki unijne. Dzisiaj to Hiszpanie nie mogą się nadziwić, jak Polska wygląda.

Pan 1 maja 2004 r. był w Brukseli.

– To było ogromne przeżycie dla nas, dla moich pracowników. Mogliśmy pierwszy raz poczuć się pełnoprawni. Dzień wcześniej wciągnąłem unijną flagę na maszt w ambasadzie. A następnego dnia odbył się na Grand-Place w Brukseli wielki koncert polski, na który przyszło kilkanaście tysięcy ludzi, głównie Polaków. Z flagami. Wzruszające wydarzenie. Ale warto wspomnieć, że wcześniej było referendum, w dniach 7-8 czerwca 2003 r. W Brukseli zainteresowanie nim było olbrzymie. Wtedy w Belgii przebywało nielegalnie kilkanaście

tysięcy Polaków. Pracowali na czarno. Nawet rozeszła się plotka, że w czasie referendum policja będzie sprawdzać dokumenty tym stojącym przed ambasadą. Ale polska ambasada w Brukseli spisała się na medal, rozmawiała z policją i uzyskała od niej przyrzeczenie, że nikt dokumentów nie będzie sprawdzał. Tę wiadomość rozpuszczono wśród szerokiej Polonii.

Cofnijmy się do pierwszych miesięcy pana pracy w Brukseli.

– Moim zadaniem było wspieranie negocjatorów, zbieranie informacji i rozmowy. A przede wszystkim zbudowanie sprawnego przedstawicielstwa przy Unii. Bo to nie jest klasyczna ambasada, to przeniesienie administracji państwowej, we wszystkich resortach, żeby na miejscu załatwiać sprawy. To tysiące dokumentów, debat, nieustannych spotkań, które są poświęcone proponowanym zmianom w legislacji unijnej. A ona działa jak żywy organizm, który przystosowuje się do sytuacji gospodarczej, do zmian w świecie, do działań innych partnerów.

Miał pan odpowiednich ludzi?

– Nie miałem problemów ze specjalistami od finansów czy gospodarki, ale... Na przykład ochrona środowiska, niezwykle ważna część ustawodawstwa unijnego, a brakowało fachowców. Z czego to się brało? Z tego, że Ministerstwo Środowiska nie miało wówczas specjalistów od spraw unijnych i od współpracy międzynarodowej. Po prostu nigdy tym się nie zajmowało. W sprawach rybołówstwa zatrudniono osobę z sektora prywatnego.

Nikogo nie zwolniłem

Przejmował pan placówkę po zmianie rządu. Wie pan, do czego zmierzam.

– Wiem. I odpowiadam: nie zwolniłem ani jednej osoby. Dokonałem pewnych przesunięć, to wynikało z oceny pracy, kwalifikacji, z bieżących potrzeb. Chciałem, żeby ludzie mieli poczucie stabilności, inwestowali w podniesienie swoich kwalifikacji, bo przecież wszystko się zmieniało. Nikt z nas nie wiedział do końca, jak się funkcjonuje w Unii, jak to wszystko działa za zamkniętymi drzwiami.

► Gdy już zobaczyliście tę unijną kuchnię, byliście zaskoczeni?

– Unia nie chciała, żebyśmy byli zaskoczeni. Po zawarciu traktatu w Atenach, w roku 2003, uzgodniono, że pierwszy rok, do maja 2004, będzie tzw. okresem obserwatorskim. Uczestniczyliśmy więc we wszystkich posiedzeniach, od spotkań ambasadorów po grupy robocze, i przyglądaliśmy się, jak to funkcjonuje. Były też inne inicjatywy. Ambasador jednego z państw skandynawskich zaprosił mnie i grono współpracowników, żebyśmy przez jeden dzień z nimi pracowali. Żeby zobaczyć, jak przedstawicielstwo funkcjonuje.

I zobaczył pan?

– Oczywiście! Przy okazji zobaczyłem inną niż nasza specyfikę pracy. Dam panu przykład: długo rozmawiałem z ambasadorem, jak działa przedstawicielstwo, i w pewnym momencie zapytałem go, ile ma sekretarek i czy szefowie wydziałów je

Ministerstwa w Warszawie nie potrafiły pracować w tempie Brukseli?

– To wymagało przestawienia pracy administracji. Dam przykład: minister pracy wiedział, jakie posunięcia czynić na rynku pracy w Polsce. Ale w szerokim aspekcie, unijnym, to była dla niego nowość. Podobnie jak fakt, że wiele aspektów jego działania w kraju jest przedmiotem polityki unijnych. Trzeba lat, by to wszystko zaczęło dobrze grać. To nie był tylko mój kłopot. Pozostałej dziewiątki nowych ambasadorów też.

Walec PiS to zmiażdżył

Wszyscy musieli Unii się uczyć?

– Unia wymaga doświadczenia. Dyplomaci w Brukseli pracują wiele lat, ambasadorzy nierzadko pięć-osiem lat, a znam rekordzistę, który był 12 lat. Bo tu trzeba zachować ciągłość w wielu sprawach. To są ludzie, o których bardzo się dba, mają

Unia wymaga doświadczenia. Dyplomaci w Brukseli pracują wiele lat, bo trzeba zachować ciągłość w wielu sprawach. To ludzie, o których się dba, mają unikatową wiedzę.

mają. Odpowiedział: „Mamy dwie sekretarki. Jedna jest moja, druga dla wszystkich. Więcej nie potrzeba, każdy sobie pisze na komputerze”. I dodał: „Słuchaj, żeby u nas był etat sekretarki, to musi być zgoda parlamentu na powiększenie placówki”. To mi uświadomiło, że jednak jest różnica.

Potem wszedł pan za te zamknięte wcześniej drzwi.

– I pojawił się problem – zajmowanie stanowiska. Otóż na spotkaniach unijnych ambasadorów COREPER, czyli komitetu stałych przedstawicieli, przedyskutowywane są najistotniejsze kwestie dotyczące różnych problemów integracji europejskiej, najmniej – problemy polityczne. A ja niekiedy nie byłem w stanie zabrać głosu! Dlaczego? Dlatego że przez wiele miesięcy najczęściej przygotowaną w instrukcji formułą, którą miałem do przedstawienia na spotkaniu ambasadorów, było: „Proszę poinformować, że sprawa jest dla Polski w tej chwili przedwczesna”.

unikatową wiedzę. Oni później awansują, najczęściej do instytucji unijnych. Stanowią kręgosłup promocji interesów swojego kraju.

Czy Polska ma takich fachowców?

– Opowiem panu historię. Przychodzi rok 2011. Już nie pracowałem w MSZ. Złożyłem rezygnację we wrześniu 2006 r., za rządów Anny Fotygi. Na moje miejsce, po trzech miesiącach, wystany został Jan Tombiński. Ja z kolei wygrałem konkurs do pracy w sekretariacie Rady Unii Europejskiej, byłem współpracownikiem Javiera Solany. I nadchodzi ów rok 2011, czas pierwszej prezydencji Polski w UE. Obserwowałem to z boku. Byłem na różnego rodzaju spotkaniach z ramienia Rady Unii. Widziałem polskich delegatów. Wiele młodych ludzi, trzydziestolatków, którzy nie tylko mówili pięknie po angielsku, ale i po francusku, a to jest w kulturze biurokratycznej Unii ważne, lecz przede wszystkim byli kompetentni i mądrzy. Przygotowaliśmy prezydencję na piątkę. Byłem pełen

podziwu i satysfakcji. Nie uczestniczyłem w tym bezpośrednio, ale pomyślałem sobie: jednak coś osiągnęliśmy, pokazaliśmy kompetencję, sprawność administracji. Dziś zbliżamy się do progu nowej prezydencji. I gdzie są ci ludzie?

Nie ma ich w służbie dyplomatycznej?

– W większości rozpięchli się. Jechał walec PiS, który to wszystko zmiażdżył. W ich miejsce jechali ludzie typu pana Sadosia, który w ogóle na to stanowisko się nie nadawał. Jak Politico opublikowało ranking stałych przedstawicieli przy Unii, to on znalazł się na ostatnim miejscu. Węgier był dużo wyżej od niego, mimo że Węgry Orbána regularnie dawały się Unii we znaki. To był ranking anonimowy, przeprowadzony wśród wszystkich ambasadorów UE, którzy porównywali profesjonalizm. Nie chodziło o poglądy! I polski ambasador wyładował na ostatnim miejscu. Do tego doszliśmy. Niestety, największe koszty pisowskich zawirowań w Polsce ponosi Polska. Nie uda się tych strat, które ponieśliśmy, szybko wyrównać. Dlatego dla mnie 20-lecie członkostwa w Unii jest trochę gorzką rocznicą. Słodką i gorzką zarazem! Bo jest o sukcesach, ale i o wielkich błędach, przede wszystkim ostatnich ośmiu lat. To był czas bezmyślnego niszczenia. Wypchnięto z MSZ wielką grupę ludzi młodych, świetnie rokujących. Teraz nikt tego nie pozbiera.

Piotr Serafin, nowy ambasador w Unii, nie pozbiera?

– Z wielką przyjemnością przeczytałem, że stanął na czele przedstawicielstwa. Pamiętam go z Kopenhagi, z zakończenia negocjacji akcesyjnych w 2002 r. Dwudziestoparoletni chłopak stał obok nas, błyskawicznie w głowie obliczał, miał wszystko w małym palcu, podpowiadał w okamgnieniu dobre rozwiązania. Przez ostatnie lata pracował w instytucjach unijnych, w tym u boku byłego przewodniczącego Rady Europejskiej Tuska. Jestem przekonany, że zbuduje na nowo zespół, jakiego Polska potrzebuje.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Rozdarcie

W maju 1794 r. w Warszawie wyrosły szubienice. Insurekcja wystawiła rachunek za nikczemność i zdradę. Naczelnik Kościuszko prowadził sprawę twardą ręką. Przyjmując najwyższą i niepodzielną władzę, stawał pomiędzy niebem i ziemią, w rządzie postaci mitologicznych. Aż strach pomyśleć, jak wielu ludzi miernych zasług, o skłonnościach prowincjonalnych megalomanów, wprowadzono do naszego narodowego panteonu. Postać Kościuszki pozostaje często w ich cieniu. Tymczasem jest on bohaterem otwierającym przestrzeń wielkiej przemiany.

W czasie insurekcji rodził się nowy mit założycielski. Upływ wieków przekształcił go w podręcznikową kliszę, nie rozumiemy już głębokiej dramaturgii tamtego momentu dziejowego. O jego wadze przesądziło pytanie uderzające w nasz splot słoneczny – pytanie o zasady polskości. Po jednej stronie stawały wiara i kult rodzimości, po drugiej idea narodu obywatelskiego. Na całą tę kwestię swój mroczny cień rzuciła targowica.

9 maja, zgodnie z wyrokami sądu kryminalnego, na szubienicę trafili protagoniści zdrady – hetmani Piotr Ożarówski i Józef Zabiełto, marszałek Rady Nieustającej Józef Ankiewicz oraz biskup inflancki Józef Kossakowski. W nawiasie dodajmy: we wrześniu egzekucji uniknął biskup chełmski Wojciech Skarszewski. Jego dwie kochanki błagały naczelnika Kościuszkę o zmiłowanie. Pomogło, naczelnik zmienił wyrok śmierci na dożywotnie więzienie. Zemsty ludu nie uniknął biskup wileński Ignacy Massalski – został powieszony 28 czerwca, bez żadnego wyroku.

Co mamy na myśli, mówiąc o targowicy, jak rozumiemy mechanizm zdrady? Dlaczego uczestniczyli w niej biskupi? O wszystkim przesądziło bardzo głębokie rozdarcie. Kościół miał swojego wielkiego wroga – masonów. Przy tej okazji zaznaczmy: obóz reform, autorzy Konstytucji 3 maja, to masoni (na czele z królem, jej głównym architektem Hugonem Kołłątajem oraz bratem króla, prymasem Michałem Poniatowskim). Kościół rzymski bardzo się obawiał fermentu, swoje nadzieje wiązał z wpływami Rosji. 24 lutego 1792 r. papież Pius VI wystosował brewe dziękić, składając hołd carcy Katarzynie – nazwał ją „heroiną stulecia”. Stał się jej dzieła – w tym rozbiór Polski. Nieco później pobłogosławił też konfederację targowicką.

2 września 1792 r. w warszawskich kościołach odczytywano list bp. Antoniego Okęckiego, nawołujący do modłów gorących, „ażebym Bóg pobłogosławił pracom konfederacji generalnej, dla dobra ojczyzny podjętym”. Świadectwem nieprzejednania godzącego w dzieło Konstytucji 3 maja stała się publicystyka obozu targowicy.

Odnajdziemy w niej rozpaczliwe wołanie o powstrzymanie destrukcji. W taki właśnie sposób pojmowali bieg zdarzeń targowiczanie. Uderzali w dzwon trwogi – kierował nimi strach przed rewolucją, przed wpływami masonerii, przed radykalizmem traktowanym jako prawdziwa zaraza docierająca z Paryża.

Gra szła o wysoką stawkę – masoni racjoniści wysunęli własną koncepcję zbawienia, opartą na wierze w odkupicielską moc rozumu. Kościół katolicki stał do walki. Program naprawy, który wyszedł spod ręki masonów, traktowano jako obrazę wiary i naruszenie uświęconych przez tradycję praw narodu, jednym słowem pochodź zła godzącego w podstawy porządku istnienia. Ostatecznie mamy więc przed oczami scenę prawdziwego dramatu – widzimy zderzenie racji, które skaczą sobie do gardła. Powstaje pytanie: kto zdradził, kto stanął po stronie godności i prawdy? Celebując dzieło 3 maja, wypada powiedzieć: zdradził Kościół. Potrafimy przyjąć takie stanowisko?

Jak to wygląda dzisiaj? Scena dziejowego dramatu przedstawia się dość podobnie. Masonów zastąpili

Celebując dzieło 3 maja, wypada powiedzieć: zdradził Kościół. Potrafimy przyjąć takie stanowisko?

„lewacy” i liberałowie, miejsce Paryża zajęła Bruksela. Jedno się nie zmieniło – jej przeciwnicy traktują konszachty z Zachodem jako grzech apostazji. Obrona rodzimości chronić ma kraj przed utratą własnej twarzy – przed moralnym i politycznym wykorzeniem. Coś tu zaczyna się rymować. Gdzie jest zatem targowica? Także dzisiaj stają w szranki dwie koncepcje tożsamości, rysują się dwie linie działania, których ze sobą pogodzić nie można. Z jednej strony, widzimy pochwałę otwartej wspólnoty obywatelskiej, z drugiej, kult odrębności powiązanej z tradycją wiary. W 2015 r., po przejęciu władzy przez PiS, wydano wyrok na liberalną symbolikę emancypacji. Wszystko powoli stawało się „narodowe” – koncepcję społeczeństwa obywatelskiego potraktowano jako obce ciało, na piedestale stanęły koła gospodyń wiejskich. Nagle rozpętała się nacjonalistyczna histeria wokół pojęcia suwerenności. Ideę społeczeństwa obywatelskiego zastąpić miała (dobrze znana z ONR-owskiej przeszłości) idea katolickiego państwa narodu polskiego. Bój trwa – zażarty, pełen afekcji. Ludzie stający po stronie Brukseli traktowani są jako zdrajcy. Tak toczą się nasze dzieje. Pomyślmy chwilę, zanim zaczniemy mówić o „targowicy”. ■

Historyczna rola PZPR

Przez jej szeregi przewinęło się 4,5 mln Polaków

Paweł Siergiejczyk

Dzieje Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nie cieszą się dziś zainteresowaniem historyków, a co za tym idzie – odbiorców literatury historycznej. To smutny paradoks, że na większą uwagę mogą liczyć wynoszeni do rangi superbohaterów „żołnierze wyklęci”, a także demonizowani bez umiaru ich przeciwnicy z Urzędu Bezpieczeństwa, natomiast losy najważniejszej organizacji politycznej w XX-wiecznej Polsce są wstydliwie przemilczane lub co najwyżej kwitowane sztampowymi opiniami o „rządach komunistów podległych Moskwie”.

Wielki francuski historyk Fernand Braudel wprowadził do nauki historycznej pojęcie długiego trwania,

milionową (a w latach 70. nawet trzymilionową) masę członkowską. To zaś oznacza w praktyce, że w każdej polskiej rodzinie czy kręgu towarzyskim był ktoś, kto do partii należał. PZPR nie była zatem – jak twierdzi IPN-owska propaganda – ciałem obcym, zewnętrznym, niemal okupacyjnym, w dodatku ateistycznym, więc sztucznie narzuconym „katolickiemu narodowi polskiemu”. Ten ostatni argument jest tylko pozornie prawdziwy, bo choć oficjalną ideologią partii był „materializm historyczny”, to w praktyce znaczną część członków PZPR stanowili katolicy. Nie mogło być inaczej w kraju, w którym to wyznanie dominuje od 1000 lat, a większość członków partii wywodziła się ze wsi, gdzie przywiązanie do religii było zawsze silniejsze niż w miastach.

opartą na kadrach pochodzących z mniejszości narodowych (Żydzi, Ukraińcy, Białorusini). Ta decyzja i towarzysząca jej fizyczna likwidacja większości kadry przywódczej KPP w Związku Radzieckim spowodowały, że w pierwszych latach wojny, gdy obowiązywał pakt Ribbentrop-Mołotow, polscy komuniści nie mieli swojej organizacji. Odrodziła się ona, za zgodą tegoż Stalina, dopiero w styczniu 1942 r. w okupowanej przez Niemców Warszawie, w zupełnie innej sytuacji: gdy ZSRR prowadził Wielką Wojnę Ojczyźnianą – walkę narodów radzieckich z hitlerowskim najeźdźcą. Była to wojna o charakterze narodowowyzwoleńczym, a nie komunistycznym, więc polscy komuniści musieli stać się w pierwszym rządzie Polakami, a dopiero potem komunistami. Stąd przyjęcie nazwy Polska Partia Robotnicza, która w żaden sposób nie kojarzyła się z KPP, za to stanowiła kalkę zakorzenionej na naszym gruncie nazwy Polska Partia Socjalistyczna.

W każdej polskiej rodzinie czy kręgu towarzyskim był ktoś, kto do partii należał.

które ma oznaczać zjawiska, struktury lub instytucje istniejące w dłuższym przedziale czasowym i dające się opisywać w znacznie szerszej perspektywie niż pojedyncze wydarzenia, nawet bardzo ważne i spektakularne. Otóż PZPR bez wątpienia była strukturą z gatunku długiego trwania, i to nie tylko dlatego, że istniała ponad 40 lat (od grudnia 1948 r. do stycznia 1990 r.). Była również zjawiskiem masowym, z którym da się porównać w Polsce chyba tylko Kościół katolicki, funkcjonujący jednak w zupełnie innym wymiarze niż partia rządząca państwem przez tyle dziesięcioleci.

Przez szeregi PZPR przewinęło się ok. 4,5 mln Polaków, zawsze bowiem, od początku do końca, była to organizacja skupiająca co najmniej

Po ponad 30 latach od jej rozwiązania warto zatem spojrzeć na partię rządzącą w PRL *sine ira et studio*, jako na trwały element codziennego życia kilku pokoleń. Co prawda, w tamtych czasach krążyć miał dowcip, że partia ma fałszywą nazwę, bo nie jest ani polska, ani zjednoczona, ani robotnicza – ale więcej w tym żarcie bezmyślnej złośliwości niż historycznej prawdy.

Bo z całą pewnością PZPR była polska, i to nie tylko z racji pochodzenia mas członkowskich. Była polska dzięki decyzjom Stalina, który w 1938 r. postanowił zlikwidować Komunistyczną Partię Polski, czyli tutejszą sekcję Międzynarodówki Komunistycznej, kwestionując sens istnienia niepodległego państwa polskiego, w dodatku w dużym stopniu

Forma kamuflażu

Ci, którzy widzą w PPR i PZPR wyłącznie „sowieckie agentury”, twierdzą, że unikanie słowa komunistyczna w nazwach tych partii było jedynie formą kamuflażu, bo społeczeństwo polskie ani w czasie wojny, ani po niej nie akceptowało komunizmu jako ideologii pochodzącej ze Wschodu. Można z tym się zgodzić, tyle że warto pociągnąć to rozumowanie dalej: skoro twórcy PPR i PZPR konsekwentnie trzymali się takiego kamuflażu, znaczy to, że bardzo im zależało, by Polacy uważali ich za partię polską, a nie za siłę narzuconą z zewnątrz. To zaś wskazywało, że legitymizacja w oczach narodu była tej władzy bardzo potrzebna. Taką legitymizację mogli



Dekoracje przed Pałacem Kultury i Nauki w związku z X zjazdem PZPR w czerwcu 1986 r.

dawać wybory do Sejmu i rad narodowych, które w powojennej Polsce organizowano z podziwu godną konsekwencją, choć w rzeczywistości miały one charakter plebiscytu (brak alternatywy dla listy obozu rządzącego), w dodatku o znanym z góry wyniku. Można oczywiście, jak to się robi najczęściej, widzieć w PRL-owskim ceremoniale wyborczym jedynie formę oszustwa połączonego z zastraszaniem społeczeństwa. Ale można też spojrzeć na ten rytuał jak na przejaw głębokiego kompleksu partii nowej, niezakorzenionej ani w polskiej tradycji (wszak w II RP komuniści byli partią nielegalną i nieakceptowaną na scenie politycznej), ani w kulturze politycznej demokratycznej Europy (stąd uporczywe podkreślanie wyższości „demokracji ludowej” nad „demokracjami burżuazyjnymi”).

Spółeczna legitymizacja władzy PZPR dokonywała się także w inny sposób: poprzez ostentacyjne nawiązywanie do polskiego dziedzictwa narodowego. Nie było to zgodne z marksistowskim postrzeganiem

dziejów (gdzie „bazą” procesu historycznego miał być „rozwój sił wytwórczych”, a wszystko inne było tylko „nadbudową”), ale w tym przypadku – i nie tylko w tym – ideologia musiała ustąpić przed pragmatyką rządzenia państwem. Dlatego tak wielką wagę przywiązywano do narodowej przeszłości i tradycji polskiej kultury, czego dobitnymi

PZPR nie była – jak twierdzi propaganda IPN – ciałem obcym, zewnętrznym, ateistycznym, sztucznie narzuconym „katolickiemu narodowi polskiemu”.

przykładami były gigantyczne obchody 1000-lecia państwa polskiego w 1966 r., 550-lecia bitwy pod Grunwaldem w 1960 r., 500-lecia urodzin Kopernika w 1973 r., stulecia powstania styczniowego w 1963 r., a nawet 60-lecia i 70-lecia odzyskania niepodległości w latach 1978 i 1988, nie mówiąc o kolejnych rocznicach związanych z II wojną światową, począwszy od września

1939 r., poprzez walki wojsk polskich na różnych frontach i różnych formacji podziemnych w kraju (łącznie z rocznicami powstania warszawskiego, które w Polsce Ludowej oficjalnie obchodzono – wbrew temu, co twierdzą IPN-owscy historycy), aż po zwycięstwo nad III Rzeszą, słusznie uważane wtedy za najnowszy sukces dziejowy narodu polskiego.

Tym wszystkim zajmowała się PZPR, jej ludzie kierujący aparatem państwa i kontrolujący media, wydawnictwa, muzea i inne instytucje polityki historycznej. Jeżeli dodać do tego ogromną wagę przywiązywaną do narodowej kultury – wielomilionowe nakłady klasycznej literatury, wspaniały rozwój teatru, filmu, sztuk plastycznych, muzealnictwa, konserwacji zabytków – to ▶

► trzeba powiedzieć jasno, że żadna partia rządząca Polską ani wcześniej, ani później nie zrobiła tyle co PZPR dla umocnienia polskiej tożsamości narodowej. W jakimś stopniu obróciło się to zresztą przeciwko samej partii, bo wytrwałe budowanie świadomości patriotycznej Polaków na tradycjach insurekcyjnych, na etosie konspiracyjnym (również w samym ruchu robotniczym), na bezwzględnym nakazie moralnym walki z obcą władzą, a także na literaturze romantycznej, a więc antyrosyjskiej, spowodowało, że w 1980 r., a zwłaszcza po 13 grudnia 1981 r. znaczna część społeczeństwa zobaczyła w ruchu Solidarności nową wersję powstania narodowego (a później konspiracji niepodległościowej) przeciwko

zresztą jak wszystkie inne partie i organizacje, którym pozwolono działać po wojnie.

„Zjednoczenie ruchu robotniczego” przeprowadzono z wielką pompą (choć szeregi zarówno PPS, jak i PPR zostały wcześniej oczyszczone z „elementów niepewnych”), co tylko pokazuje, że komuniści widzieli w tym ważny cel propagandowy. Najpewniej taki, by sami, mając kompleks „niewłaściwego pochodzenia” (ze zlikwidowanej w dziwnych okolicznościach KPP i utworzonej w nie mniej dziwnych okolicznościach PPR), mogli przejąć sztandar PPS, czyli partii istniejącej od ponad półwiecza, a związanej z takimi nazwiskami jak Józef Piłsudski czy Ignacy Daszyński.

PZPR była tą siłą polityczną, która z kraju przez dziesięć wieków rolniczego i wiejskiego uczyniła kraj uprzemysłowiony i zurbanizowany.

Moskwie i jej „pachołkom”. Na nic zdały się wieloletnie ostrzeżenia starego konserwatysty Aleksandra Bocheńskiego, który dowodził, jak szkodliwa dla budowy nowoczesnego społeczeństwa jest tradycja romantyczna. PZPR nie mogła odrzucić tej tradycji, bo była partią polską i zawsze chciała taką być.

Zjednoczenie przez wchłonięcie

A czy była partią zjednoczoną, jak głosiła jej nazwa? To, co dokonało się w grudniu 1948 r., w polskiej historiografii powszechnie uważane jest za faktyczne wchłonięcie resztek dawnej PPS przez komunistów z PPR. I w zasadzie to prawda. Nikt jednak nie zastanawia się, dlaczego PPR-owcom tak bardzo zależało na połączeniu się z socjalistami. Co najwyżej, jeśli w ogóle pojawia się to pytanie, pada odpowiedź, że chcieli się pozbyć konkurencji po lewej stronie. Ale powojenna PPS nie była dla PPR żadną konkurencją! Komuniści mieli za sobą Stalina, Armię Czerwoną, NKWD i cały aparat bezpieczeństwa nowego państwa, więc tak czy inaczej PPS była zmuszona do uległości wobec PPR, podobnie

Na tym sztandarze PPR-owcom bardzo zależało i trzeba przyznać, że w ciągu całych dziejów PZPR mocno nawiązywano do PPS-owskiej tradycji, aczkolwiek asekurując się ekspozowaniem dorobku lewego skrzydła tej partii (m.in. Norberta Barlickiego, Adama Próchnika, Stanisława Dubois, Bolesława Drobniera), które było nieco mniej antykomunistyczne niż jej mainstream. Gwarantowało to jednak swoisty ideowy pluralizm w szeregach PZPR, dzięki czemu kolejne generacje rewizjonistów i faktycznych socjaldemokratów mogły w miarę swobodnie funkcjonować w partyjnych strukturach. Tak było w 1956 r., w latach 1980-1981 i wreszcie w 1989 r., co doprowadziło do łagodnego przekształcenia PZPR w nowoczesną socjaldemokrację.

O tym, że po 1948 r. partia była zjednoczona nie tylko z nazwy, świadczą również liczne kariery przedwojennych socjalistów w Polsce Ludowej. Przecież najdłużej urzędujący premier Józef Cyrankiewicz, długoletni przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński, najlepszy powojenny minister spraw zagranicznych Adam Rapacki, światowej sławy ekonomista

i wiceprzewodniczący Rady Państwa Oskar Lange, wybitny szef polskiego sportu Włodzimierz Reczek czy minister oświaty i twórca programu budowy „szkół 1000-latek” Wacław Tułodziecki nie byli komunistami, lecz ludźmi PPS, którzy uwierzyli, że w PRL zostały zrealizowane ich młodzieńcze marzenia o Polsce socjalistycznej. Owszem, można – jak nieraz to się czyni – zarzucać im zdradę sztandarów PPS i twierdzić, że powinni pójść drogą „niezłomnych” socjalistów, czyli wyemigrować lub dać się zamknąć w stalinowskim więzieniu. Tylko trzeba sobie zadać pytanie, czy dzięki temu powojenna Polska byłaby państwem lepszym, czy jednak trochę gorszym.

Można traktować przymiotnik zjednoczona w nazwie PZPR znacznie szerzej. Wprawdzie w 1948 r. połączyli się socjaliści z komunistami spod znaku PPR, ale przecież przez następne 40 lat partię zasilali kolejne miliony Polaków, którzy nie byli związani z żadnym z tych dwóch nurtów. Im bliżej naszych czasów, tym powszechniej dostępna stawała się legitymacja partyjna i jej otrzymanie wcale nie wiązało się z przyjęciem wiary marksistowsko-leninowskiej. Szeregi PZPR wypełniały tysiące ludzi aktywnych na każdym polu społecznym i zawodowym, nawet niekoniecznie o lewicowych przekonaniach, nie mówiąc o zwykłych karierowiczach i cynikach, których w partiach rządzących nigdy nie brakuje. Krótko mówiąc, w ramach PZPR dokonało się prawdziwe zjednoczenie narodowe, choć nie należy zapominać, że drogi aktywności politycznej w Polsce Ludowej mogły być różne: istniało Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne, działały organizacje katolickie, takie jak Stowarzyszenie PAX, Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne, Polski Związek Katolicko-Społeczny czy Kluby Inteligencji Katolickiej. A nawet bycie bezpartyjnym nie ograniczało możliwości wpływu na PRL-owską rzeczywistość, czego najlepszym przykładem był wieloletni prezes Związku Literatów Polskich Jarosław Iwaszkiewicz.

I wreszcie trzeci przymiotnik zawarty w nazwie partii: robotnicza.

Pochód pierwszomajowy.
Warszawa, 1975 r.



uprzemysłowiony i zurbanizowany. Już tylko to powinno być wystarczającym powodem, by PZPR znalazła poczesne miejsce w polskich dziejach, znacznie ważniejsze niż sanacja, endecja, ruch ludowy czy Solidarność i wszystkie ugrupowania z niej wyrosłe. Powinno – ale nie będzie, gdyż polskie spojrzenie na historię skupia się na spektakularnych wydarzeniach, krzykliwych hasłach i charyzmatycznych przywódcach, a nie bierze pod uwagę długiego trwania, czyli tych zjawisk i struktur, które tak naprawdę decydują o pozycji danego kraju w dziejach powszechnych.

Trzy przymiotniki – polska, zjednoczona i robotnicza – prawdziwie opisują więc charakter tamtej partii. Dodać do nich można jeszcze jeden, być może kluczowy: państwowa. Tak, to była partia stopiona raz na zawsze z tą formą naszej państwowości, jaką była Polska Ludowa. Nie była to jednak typowa koniunkturalna „partia władzy”, jakich nie brakuje w każdej demokracji, również w polskiej po 1989 r. Ta partia po prostu była władzą, bo też żadnej innej roli nie mogła w epoce

Na pierwszy rzut oka sugeruje on klasowy charakter PZPR, lecz w polskiej rzeczywistości ugrupowania lewicowe nigdy nie mogły skupiać wyłącznie robotników, bo tych było po prostu za mało. Tak było przed wojną i w pierwszym okresie powojennym, ale nawet forsowna industrializacja z epoki Bieruta, Gomułki i Gierka nie mogła sprawić, że klasa robotnicza całkowicie zdominuje społeczny pejzaż Polski. Dlatego nie powinien dziwić fakt, że jeśli w 1948 r. robotnicy stanowili ok. 60% członków PZPR, to w kolejnych dekadach już tylko ok. 40%, natomiast wyraźnie rosła liczba partyjnych inteligentów: z ok. 20% na początku do ponad 50% w latach 80.

Robotnicza znaczy proletariacka

W tym kontekście widać, że przymiotnik robotnicza oznaczał tyle, co proletariacka, czyli skupiająca ludzi pracy najemnej – zarówno fizycznej, jak i umysłowej. Na tym tle chłopskie ZSL oraz zabiegające

głównie o rzemieślników i innych przedstawicieli prywatnej inicjatywy SD miały swoje logiczne miejsce w systemie politycznym PRL jako pełna reprezentacja społeczeństwa bynajmniej nie bezklasowego – co było celem idei marksistowskiej – ale raczej realizującego PPS-owską wizję „gospodarki trójsektorowej”:

Szeregi PZPR zapełniały tysiące ludzi aktywnych na każdym polu społecznym i zawodowym, niekoniecznie o lewicowych przekonaniach.

prywatnej, spółdzielczej i państwowej (rzecz jasna z wyraźną dominacją tej trzeciej, której jednak daleko było do monopolu na wzór radziecki).

Ale słowo robotnicza w nazwie partii można odczytywać jeszcze inaczej. PZPR była bowiem tą siłą polityczną, która dokonała w Polsce historycznej przemiany w dziedzinie społeczno-gospodarczej – z kraju przez dziesięć wieków rolniczego i wiejskiego uczyniła kraj

powojennej odgrywać. Wynik II wojny światowej przesądził o znalezieniu się Polski w radzieckiej strefie wpływów, więc mogła to być tylko Polska rządzona przez ludzi, do których Stalin i jego następcy mieli zaufanie. Dlatego nie jest przypadkiem, że PZPR rozwiązała się w momencie, gdy jej historyczna rola wygasła: kiedy Gorbaczow pogodził się z utratą kontroli nad Polską, a władzę w Warszawie zaczęli przejmować ludzie ▶

► cieszący się raczej zaufaniem Waszyngtonu niż Moskwy.

Na pierwszy rzut oka taka rola PZPR w polskich dziejach nie wygląda zbyt imponująco, a w prawicowej polityce historycznej stanowi wręcz koronny dowód „zdrady narodowej”. Warto jednak spojrzeć na tę kwestię chłodno i bez epitetów. Przecież gdyby nie ludzie PZPR, Sowieci rządząliby Polską sami, tak jak to robili na wschodnich ziemiach II RP w latach 1939-1941. Tamten okres słusznie nazywa się okupacją radziecką, bo żadnych polskich struktur politycznych Stalin wówczas nie potrzebował. Jednak po 1944 r. sytuacja się zmieniła: dzięki tak pogardzanym dziś decyzjom aliantów z Teheranu i Jałty odrodziło się państwo polskie, co prawda w nowym kształcie terytorialnym, ale ten kształt wyraźnie wskazywał, że ma to być wyłącznie narodowe państwo Polaków, a nie

tygiel wielu języków i kultur, jakim była przedwojenna Polska.

I takim państwem – Rzeczpospolitą Polską, od 1952 r. z przymiotnikiem Ludowa – miała rządzić partia powstała z połączenia PPR i PPS. Słowo komunizm nie pojawiało się w żadnej nazwie państwowej czy partyjnej, za to dużo mówiono i pisano o socjalizmie, o rządach „ludu pracującego”, wreszcie o narodzie (w końcu pierwszy parlament Polski Ludowej nosił nazwę Krajowa Rada Narodowa, co potem zostało przeniesione na wszystkie szczeble władzy lokalnej). Powtórzmy: miało to służyć temu, by polskie społeczeństwo przyjęło ten system jako swój i władzę PZPR jako swoją, rodzimą, a nie przywiezioną „na sowieckich czołgach”. I tak się stało, czego najlepszym dowodem były Okrągły Stół i „łagodna rewolucja” 1989 r., gdy ludzie opozycji uznali ludzi władzy

za wiarygodnych partnerów do wspólnego przekształcania Polski w państwo całkowicie suwerenne i demokratyczne.

Przez ponad 40 lat istnienia PZPR pełniła jeszcze jedną funkcję. Otóż będąc narzędziem radzieckiej kontroli nad Polską, tym samym brała na siebie kontakty z moskiewską centralą praktycznie w każdej dziedzinie. Obywatele PRL oczywiście zdawali sobie sprawę, że ich państwo nie jest całkowicie suwerenne, ale szczegółów tej ograniczonej suwerenności i form ingerencji radzieckiej po prostu nie znali, bo zajmowała się tym partia rządząca. Można więc powiedzieć, że PZPR odgrywała rolę piorunochronu skupiającego na sobie wszelkie gromy z Moskwy – albo poduszki bezpieczeństwa, chroniącej społeczeństwo przed bezpośrednim kontaktem z instytucjami władzy ZSRR. I trzeba powiedzieć jasno: nie była to rola łatwa ani godna pozazdroszczenia, o czym świadczą liczne relacje ludzi z elity PRL (np. dzienniki Mieczysława Rakowskiego), którzy nie mieli złudzeń co do metod i celów wschodniego imperium.

Nie ulega wątpliwości, że PZPR odegrała w najnowszej historii Polski rolę, której nikt inny odegrać nie mógł. Utrzymanie samodzielności państwowej, a także konsekwentne jej poszerzanie aż do 1989 r., jak również epokowa przemiana społeczna i modernizacja gospodarcza – to wszystko dzieło tej partii. Wśród jej członków było wielu ludzi głupich i podłych (takich nie brakuje nigdy i nigdzie), a nawet zbrodniarzy. To jednak nie powód, by ich błędami i grzechami obciążać tysiące działaczy i miliony zwykłych członków PZPR, których zasług dla Polski nie sposób zliczyć i zmierzyć.

Paweł Siergiejczyk

PS W momencie rozwiązania PZPR autor tekstu miał 12 lat, a jego rodzice i dziadkowie zawsze byli bezpartyjni.

KSIAŻKA ROKU TYGODNIKA PRZEGLĄD

Warto poznać historię Polski Ludowej
autorstwa prof. Andrzeja Werblana.



„Prawda i realizm”
to dwa tomy pozwalające
lepiej zrozumieć
te ciekawe czasy.
I wiele ważnych
argumentów w obronie
Polski Ludowej.



Tom I 78 zł

PAKIET ~~157 zł~~
140 zł

Tom II 79 zł



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym
Pocztą Polską.

Z Galicji



Jan Widacki

Kraków bez Majchrowskiego

Policzono głosy oddane w drugiej turze wyborów samorządowych. Prezydentem Krakowa został Aleksander Myszalski, który niewielką tylko przewagą ok. 5 tys. głosów wygrał z Łukaszem Gibałą. Ale wygrał. Kraków ma nowego prezydenta. Tym samym kończy urzędowanie prof. Jacek Majchrowski. Urzędowanie, które rozpoczął w roku 2002, gdy po raz pierwszy wygrał wybory. Wygrywał je później jeszcze czterokrotnie, w latach 2006, 2010, 2014 i 2018. Był najdłużej urzędującym prezydentem Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. O sześć lat dłużej niż Juliusz Leo, uchodzący za twórcę „Wielkiego Krakowa”, który połączył Kraków i Podgórze i włączył do miasta przyległe gminy. O kilkanaście lat dłużej niż wielki Józef Dietl. Trzykrotnie dłużej niż inny zasłużony prezydent miasta, Mikołaj Żybkiewicz. Nawiasem mówiąc, żaden z wymienionych, podobnie jak Majchrowski, nie urodził się w Krakowie, ale wszyscy mają dziś w Krakowie swoje pomniki. Nie wątpię, że kiedyś Kraków postawi także pomnik Majchrowskiemu. Ale to kiedyś...

Przez ponad 20 lat urzędowania prezydenta Majchrowskiego Kraków zmienił się bardzo. Pod każdym względem. Liczba stałych mieszkańców przekroczyła 800 tys., a do tego dochodzi co najmniej kilkadziesiąt tysięcy mieszkających tu czasowo studentów. Kraków stał się drugim co do wielkości miastem w Polsce, zaraz po Warszawie. Do tego doliczyć trzeba turystów. W ubiegłym roku liczba odwiedzających miasto sięgnęła prawie 9,5 mln! Nie jest łatwo zarządzać takim molochem. A jednak w Krakowie sprawnie działa komunikacja, krakowianie uważają, że żyje się w zasadzie dobrze. Najwięcej narzekań jest na korki komunikacyjne. Ale to nie wina Majchrowskiego, tylko raczej Bolesława Wstydlwego, bo to za jego czasów tak wyznaczono sieć ulic i placów dzisiejszego śródmieścia, że teraz, po ponad 760 latach, zrobiło się na nich ciasno.

Długo można by wyliczać, co w Krakowie zbudowano za czasów prezydentury Majchrowskiego. Wielkie rozwiązania komunikacyjne, takie jak trzypoziomowe rondo Ofiar Katynia, węzeł wielicki czy skrzyżowanie alei 29 listopada z Opolską, przebudowano rondo Mogilskie. W centrum śródmieścia i na jego obrzeżach powstało kilka wielkich parkingów podziemnych.

Zbudowano Centrum Kongresowe przy rondzie Grunwaldzkim, nowoczesną halę sportową i widowiskową – Tauron Arenę. Przebudowano nawierzchnię Rynku Głównego i ulic starego miasta. Uruchomiono nowe linie tramwajowe, kolej aglomeracyjną. Powstał nowoczesny terminal lotniska w Balicach i drogi dojazdowe do niego. Kraków został połączony siecią tanich linii lotniczych z wieloma miastami Europy. Powstały nowe muzea, takie jak podziemia Rynku czy Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAR, a także nowe parki i miejsca rekreacji. Lista jest długa.

Ale w dorobku Majchrowskiego jest jeszcze coś cenniejszego – styl uprawiania polityki. Styl, którego tak w Polsce brakuje. Jacek Majchrowski był mistrzem dialogu i kompromisu. Rządził Krakowem przez niemal 22 lata, nie mając w zasadzie nigdy większości w radzie miasta. Jako człowiek lewicy był pięciokrotnie

Coraz bardziej odczuwać będziemy brak ludzi takich jak Majchrowski i jego stylu uprawiania polityki. Z czasem docenimy, że był swego rodzaju wzorcem.

w wyborach powszechnych wybierany na urząd prezydenta miasta, które ma opinię konserwatywnego. Potrafił kierować się interesem mieszkańców, a nie tylko interesem środowiska politycznego, z którego się wywodził. Umiał przekonywać do swoich racji, ale też dać się przekonać w dyskusji. Był otwarty na inne poglądy. Nie intrygował, nie generował sporów, a gdy do nich dochodziło, starał się je łagodzić. Na ogół skutecznie. Był lubiany przez mieszkańców miasta i przez pracowników urzędu. To również o czymś świadczy.

W czasach gdy w języku polityki, w debacie publicznej, słowo takie jak „kompromis” nabrało pejoratywnego znaczenia, a w „dialogu” podejrzewa się raczej chęć oszukania rozmówcy, gdy populizm zatacza coraz szersze kręgi i staje się podstawowym narzędziem uprawiania polityki, coraz bardziej odczuwać będziemy brak ludzi takich jak Majchrowski i jego stylu uprawiania polityki. Z czasem docenimy, że był swego rodzaju wzorcem, i do takiego wzorca zatęsknimy. Kiedyś...

Platforma wzięła Kraków

Po miesiącu miodowym nowej władzy rywalizacja polityczna rozgorzeje na nowo. Także wewnątrz grupy rządzącej miastem

Marek Zarzecki

Jeszcze kilka miesięcy temu Łukasz Gibała uchodził za murowanego faworyta krakowskich wyborów. Jednak PO rzuciła do Krakowa wszystko, co miała, i w agresywnej kampanii przeważała wynik na swoją korzyść. Miasto jest podzielone, a nowy prezydent mówi o zakopywaniu rowów.

Kilka miesięcy temu przewidywano, że do drugiej tury wejdą Łukasz Gibała oraz kandydat PiS. I że będzie ona dla Gibały spacerkiem. Były podstawy do takich przewidywań. Po pierwsze, sondaże, w których Gibała prowadził. Po drugie, PiS zwykle w Krakowie wchodziło do drugiej tury, ale w niej przegrywało. Choć stolica Małopolski jest dość konserwatywna, to nie aż tak, by ponad połowa ludzi zagłosowała na kandydata tej partii. Po trzecie, obóz prezydenta Jacka Majchrowskiego wystawił kilku kandydatów, więc poparcie dla nich miało się podzielić.

Co zmieniło oczekiwany wynik? Kampania wyborcza.

Lewica kontra lewica i PiS kontra PiS

Te wybory podzieliły Kraków jak żadne poprzednie. Głównie dlatego, że po raz pierwszy od dwóch dekad w mieście panowało przekonanie, że możliwa jest zmiana władzy. Tej zresztą wiele osób oczekiwało, co pokazują sondażowe wyniki Jacka Majchrowskiego, które w chwili ogłoszenia przez niego rezygnacji ze startu oscylowały wokół 10%. Ale wielu także wolało bronić status quo i schedy po ustępującym prezydencie.

Podziały przebiegały niekiedy w dość zaskakujący sposób, bo nawet wewnątrz środowisk politycznych. Nowa Lewica poparła Aleksandra

Miszalskiego i startowała z list Koalicji Obywatelskiej, co zapewniło mandat radnego m.in. Tomaszowi Leśniakowi. Człowiekowi, który opinii publicznej dał się poznać przy okazji walki z planami organizacji zimowych igrzysk olimpijskich w Krakowie i był postrzegany raczej jako krytyk Majchrowskiego. Ale już posłanka Daria Gosek-Popiołek z Razem wolała Łukaszę Gibałę i politycy z jej partii startowali z jego list. Zdobywając zresztą mandaty. Podzielona była nie tylko lewica, ale i prawica. Dla tej drugiej dość istotne okazało się to, że kilka lat temu Miszański zrobił sobie zdjęcia z wymalowanymi na czole ośmioma gwiazdkami. Beata Szydło, a w ślad za nią krakowskie PiS wezwały więc

ostrej krytyki miejskich układów, ten spotkał się z Małgorzatą Wassermann i Danielem Obajtkiem. Zrobił to w piątek. A w poniedziałek Mucha przestał być naczelnym orlenowskiej gazety. Oficjalnie nie było między jednym a drugim związku, ale krakowianie dodali dwa do dwóch i uznali, że może jednak być.

Co ciekawe, ten podział w PiS nie przeszkadzał ludziom związanym z PO budować narracji, że Gibała jest kandydatem PiS. Robiono to, kierując przekaz do wyborców centrum i lewicy, a jednocześnie – co pokazuje, jak brudna była ta kampania – dbając, by ci z prawicy dostawali zupełnie inny komunikat. Ich straszono nie PiS, lecz „lewakiem”. Szczególnie widoczne

W Krakowie mówi się o najbrudniejszej kampanii od lat.

przed drugą turą, by iść na wybory i na niego nie głosować, bo nie wyobrażają sobie, aby człowiek, który maluje sobie na czole „j... PiS”, mógł być prezydentem Krakowa. Ale już Małgorzata Wassermann wyobraziła to sobie bez trudu i poprosiła ludzi, by nie głosowali na Gibałę. Co prawdopodobnie – zwracają uwagę ludzie z prawej strony sceny politycznej – przeważało szalę zwycięstwa. O wyniku zdecydowało bowiem zaledwie 5 tys. głosów.

Jako powód podała to, że Gibała był członkiem Ruchu Palikota (był) i „ostentacyjnie wyrażał pogardę dla ofiar z 10 kwietnia 2010 r.”. Zapewne istotnie był to dla niej jakiś powód, ale w rzeczywistości chodziło raczej o to, że sympatia między Jackiem Majchrowskim a posłanką PiS jest w Krakowie tajemnicą poliszynela. Oboje lubią się na tyle, że kiedy „Gazeta Krakowska”, którą kierował Wojciech Mucha, stała się dla prezydenta Majchrowskiego problemem z powodu

stało się to wtedy, gdy politycy Platformy zaczęli atakować konkurenta za wywiad udzielony telewizji wPolsce.pl, a na stronie wPolityce.pl tej samej spółki medialnej Fratria wyświetlały się reklamy z Gibałą i Palikotem oraz informacją, że ten pierwszy „równa się lewacka ideologia”. Brzydkich zagrywek było o wiele więcej.

Stare kontra nowe

Tak dużo, że w Krakowie mówi się o najbrudniejszej kampanii od lat. Były zatem kolportowane przez jednego z deweloperów gazetki, w których straszono, że Gibała to... deweloper. Te podpisano „mieszkańcy Krakowa”, ale sprawa wyszła na jaw m.in. dlatego, że owi tajemniczy krakusi apelowali, by ratować ratusz. W Krakowie nazwanie magistratu ratuszem jest grzechem tego kalibru, co stwierdzenie, że Rynek Główny to starówka. Gazetek było więcej. Jeden z lokalnych portali



z okazji wyborów postanowił zmienić się w gazetę i 200 tys. egzemplarzy nakładu rozkolportować do skrzynek pocztowych w mieście. Cała ostatnia strona gazety zawierała wyborczą reklamę Miszałskiego, a na pierwszej stronie i w środku Stanisław Mazur (ten będzie u Miszałskiego wiceprezydentem) ostrzegał, że Gibała to zagrożenie dla Krakowa. Do internetu trafiły z kolei nagrania zamaskowanej grupy mężczyzn, która niszczyła plakaty Gibały. Ciekawe były również posiłki z Warszawy, widoczne głównie w sieci. Platforma Obywatelska ściągnęła do Krakowa (co ciekawe, także do Wrocławia) całą machinę propagandową ogólnopolskiej i rządzącej partii politycznej. W lokalnej kampanii wyborczej brał zatem udział m.in. Sławomir Buraka, znany profil związany z PO i kojarzony z niewybrednymi atakami na jej rywali.

Gibała oczywiście się odgryzał i powiesił w mieście plakaty informujące o powiązaniach Miszałskiego z jednym z deweloperów. Skala jego działań była jednak nieporównanie mniejsza, bo też możliwości miał znacząco mniejsze, a skrupuły nieco większe. Ta dysproporcja sił – oraz poparcie dla Miszałskiego wyrażone przez niemal wszystkie znaczące postacie środowiska Jacka Majchrowskiego z samym prezydentem na czele – spowodowała, że wiele osób miało podobne wrażenie jak jeden z internautów: „Te wybory zaczynają

przypominać pojedynek: Łukasz Gibała kontra cały stary skompromitowany układ krakowski”. Choć oczywiście dla innych był to pojedynek, w którym parwienuszczyk walczył ze sprawdzoną w mieście władzą.

Przy czym niezależnie od tego, z której strony się na to patrzyło, był to pojedynek starego z nowym. Nie tylko w polityce, ale i w mediach. Kiedy opublikowane zostały wyniki exit poll, okazało się, że Miszałski wygrał wybory głównie dzięki głosom osób

0 wyniku zdecydowało zaledwie 5 tys. głosów.

starszych, bo największe poparcie miał wśród emerytów. Ale już w grupie wiekowej 18-29 lat został zdeklasowany przez rywala w stosunku 70 do 30. Pojawiły się różne wytłumaczenia tego zjawiska. Najciekawsze zwraca uwagę na media.

W starszych grupach wiekowych głównym źródłem informacji pozostaje telewizja, a w tej kandydat rządzącej partii miał miażdżącą przewagę, w dodatku nie da się tam zadawać pytań o to, kto, co i dlaczego. Ludzie otrzymują więc określony przekaz i z nim zostają. W internecie łatwiej o równowagę, nawet kiedy ma się mniej pieniędzy. I właśnie agresywna kampania prowadzona przez PO zdarzyła się tam ze ścianą pytań o to, kto i dlaczego prowadzi ją w taki sposób. Sztabowcy Miszałskiego nie wybroniли

się, więc wśród młodszych kampanię wygrał Gibała, a granica przebiegała w okolicach 40.-45. roku życia. Lekcja z tego jest taka, że prawdopodobnie były to ostatnie lokalne wybory, w których o wyniku zdecydowały „stare” media, takie jak liniowa telewizja.

Zakopywanie rowów

Ale to niejedyna lekcja z tej kampanii wyborczej, którą powinni przemyśleć szczególnie aktualni koalicjanci Platformy. Wybory ostatecznie wygrał Miszałski 51 do 49. Zaraz po ogłoszeniu wyników powiedział, że Kraków powinien być teraz uśmiechnięty i dla wszystkich, trzeba zakopywać rowy powstałe w czasie wyborów. Były to ładne słowa, ale praktyka mówi, że więcej można się nauczyć z czynów. A jeśli chodzi o ostatnie lokalne wybory, te pokazują wyraźnie, jak działa aparat dyskredytowania ludzi, którym dysponuje rządząca partia. I że używa go bez większych skrupułów. Korzystano z niego nie tylko w Krakowie, ale i np. we Wrocławiu, gdzie na cel wzięto kandydatkę Trzeciej Drogi, oraz w innych miastach, gdzie PO walczyła w drugiej turze. Kwestią czasu jest to, kiedy te same metody zostaną wykorzystane przeciwko dzisiejszym koalicjantom.

Kraków pozostaje po tych wyborach politycznie podzielony. Apele o zakopanie rowów raczej nie pomogą, bo trudno oczekiwać, by wyborcy prawicy oraz samo PiS zapomnieli o ośmiu gwiazdkach na czołe prezydenta. Po miesiącu miodowym nowej władzy rywalizacja polityczna rozgorzeje więc na nowo. Także wewnątrz grupy rządzącej miastem, bo ta tworzy niejednolite środowisko. Jacek Majchrowski – była to jego duża zaleta – dbał, by krajową politykę trzymać jak najdalej od miejskiej. Pod jego skrzydłami mogli sobie znaleźć miejsce ludzie o różnych światopoglądach i z różnych środowisk. Były tam więc osoby należące do lewicy, prawicy oraz centrum. Po Platformie trudno się spodziewać podobnego ekumenizmu. ■

Maciej Mikołajczyk

W drugiej turze wyborów samorządowych było tak jak w pierwszej – wygrali wszyscy. Ale szczególnie wygrał Tomasz Kałużny, burmistrz Wrześni, od listopada ub.r. objęty prokuratorskim zakazem podejmowania decyzji służbowych. Zakaz obowiązuje po reelekcji, co oznacza, że jeśli Kałużny wybierze się do pracy i podpisze jakiś papier lub wyda zarządzenie, choćby o symbolicznym znaczeniu, trafi do więzienia.

Koperta z logo

Września – 50 km na wschód od Poznania, 30 tys. dusz (z gminą o połowę więcej) i hit, czyli historia i teraźniejszość. Bo z jednej strony tradycja antyniemieckie (strajk dzieci przeciwko nauczaniu religii w języku niemieckim w 1901 r.), a z drugiej kolaboracja z Niemcami (zbudowana w 2016 r. fabryka samochodów volkswagen z kilkoma tysiącami etatów).

Pan Marian, 61 lat, hydraulik: – Historia mnie nie obchodzi, ale teraźniejszość tak. Kałużny dużo zrobił dla miasta. Żeby nie on, volkswagena by Września nie miała, a bezrobocie byłoby po kokardy. Dlatego na niego głosowałem. Wiedziałem, że jak wygra, to nie będzie mógł do roboty przychodzić, ale ten zakaz to sprawa polityczna. PiS się na niego zasadziło.

Jednak pisowskie zasadzenie się znajduje tylko częściowe potwierdzenie w faktach. Bo prawdą jest, że w ubiegłym roku prokuratura – jeszcze pod kierownictwem Zbigniewa Ziobry – zarzuciła Tomaszowi Kałużnemu, że domagał się 200 tys. zł łapówki za wydanie decyzji korzystnej dla biznesmena chcącego prowadzić biogazownię. Po czym „zastosowała wobec podejrzanego środki zapobiegawcze w postaci: zawieszenia w czynnościach służbowych, dozoru policji, poręczenia majątkowego w kwocie 20 tys. zł, zakazu opuszczania kraju oraz zakazu kontaktu z innymi podejrzanymi w sprawie”.

Nie da się ukryć, że tuż przed ubiegłorocznymi wyborami do parlamentu uradowany minister Ziobro obwieścił: „Koperta powinna mieć

Samorządy i nierządy

Jak suweren wybrał władcę niemogącego władać



Tomasz Kałużny, burmistrz Wrześni, od listopada ub.r. objęty jest prokuratorskim zakazem podejmowania decyzji służbowych.

logo Platformy Obywatelskiej. Burmistrz Wrześni usłyszał właśnie zarzuty korupcyjne. Jak na demokratę przystało, zażądał od przedsiębiorcy 200 tys. zł łapówki. Podejrzane mu samorządowcowi grozi teraz 10 lat więzienia”.

Ale Kałużny odwołał się od prokuratorskiego postanowienia w sprawie zastosowania środków zapobiegawczych. Sąd głowił się nad decyzją ponad trzy miesiące. W lutym br. podtrzymał postanowienie prokuratury o zawieszeniu w czynnościach służbowych i pozostałych środkach zapobiegawczych. Czyli zdaniem sądu Tomasz Kałużny z dużym prawdopodobieństwem popełnił przestępstwo. W polityczne motywy działania prokuratury uwierzyć łatwo, przyjęcie, że sąd z niczego uszył sprawę, by zmniejszyć szanse burmistrza na reelekcję, wymaga więcej wyobraźni. Zwłaszcza że postanowienie wydał w lutym 2024 r., już po odsunięciu partii Kaczyńskiego od koryta.

Skrót myślowy

Od wydania zakazu wykonywania czynności służbowych przez prokuraturę, a więc od pół roku, Kałużny nie przekracza progu ratusza. Od prawomocnego orzeczenia sądu podtrzymującego decyzję prokuratury wiadomo było, że i po reelekcji raczej nie będzie go przekraczał. Mimo to prawomocnie zawieszony Kałużny przystępuje do swojej szóstej kampanii wyborczej. Szóstej, bo to weteran nieprzerwanie rządzący Wrześnią od 22 lat. Jak zawsze startuje pod szyldem Unii Wrześnian, choć jest szefem powiatowych struktur PO.

– To uproszczenie i skrót myślowy, że nie mogą wchodzić do ratusza, ale nie wchodzi, żeby uniknąć podejrzeń – tłumaczy mi. Rozmawiamy przed pierwszą turą. Burmistrz twierdzi, że sprawa ma podłoże polityczne, nigdy od nikogo nie domagał się łapówki, a prokuratura postawiła mu zarzuty i zastosowała środki zapobiegawcze wskutek pomówień osoby

skazanej. Chcę, by pokazał dokumenty: postanowienie prokuratury o przedstawieniu zarzutów i zawieszeniu w czynnościach służbowych oraz postanowienie sądu podtrzymujące decyzję prokuratury. Wraz z uzasadnieniami. Tomasz Kałużny mówi, że musi zapytać prawnika. Obiecuje, że oddzwoni. Nie oddzwania. Nie odbiera ode mnie telefonów. Nie reaguje na SMS.

W pierwszej turze brakuje mu 190 głosów, by przekroczyć próg 50%. W drugiej mierzy się z młodszym o 24 lata Damianem Staniszewskim. Ten może bezkarnie przekraczać próg ratusza i do woli wykonywać czynności służbowe przypisane do stanowiska burmistrza. O wóś wygrywa zawieszony Kałużny.

Halina, sprzedawczyni; odmawia podania wieku: – Wygrał dzięki temu, że PiS go poparło. No i dobrze, bo na takim lokalnym szczeblu partyjne kłótnie nie powinny mieć miejsca.

Rafał, nauczyciel, 54 lata: – Do poparcia Kałużnego wyborców PiS zachęcała osoba, której ojciec jest szefem gminnej spółki. Więc to takie ponadpartyjne porozumienie przy korzyści było. No i zrobiła się z tego awantura.

Awantura polegała na tym, że kandydatka Prawa i Sprawiedliwości na burmistrzynie, która po pierwszej turze wyleciała za burtę, oświadczyła, że będzie głosować na Kałużnego, po czym głos zabrały władze regionalne partii, wyraźnie dystansując się od popierania podejrzanego o korupcję działacza Platformy.

Akt ślubowania

Kałużny po wygranej wciąż jest zawieszony, nie może wykonywać swoich obowiązków i niechybnie miasto i gminę ogarnęłaby anarchia, na szczęście w momencie zawieszenia obowiązki burmistrza przejął jego pierwszy zastępca Artur Mokracki. Wybory niczego w tej kwestii nie zmieniły – Mokracki wciąż trzyma lejce i będzie je dzierzył tak długo, jak długo zawieszony będzie Kałużny. Sytuację skomplikuje natomiast skazanie Kałużnego – wtedy utraci on bierne prawo wyborcze i trzeba będzie zorganizować ponowne wybory, bo

jego mandat wygaśnie z mocy prawa. Pod tym skromnym warunkiem, że przyjmie, iż zawieszony w czynnościach służbowych burmistrz ma zdolność do objęcia mandatu. A to przesądzone nie jest.

Żeby skutecznie objąć mandat, Tomasz Kałużny musi złożyć ślubowanie w czasie sesji rady gminy zwołanej przez komisarza wyborczego. Szkopuł w tym, że uczestnictwo w sesji i ślubowanie mogą zostać potraktowane jako naruszenie zakazu wykonywania czynności służbowych, za co grozi odsiadka do lat pięciu. A skazaniec burmistrzem być nie może. Uniki nie mają sensu: jeśli do ślubowania nie dojdzie w ciągu trzech miesięcy od ogłoszenia wyników wyborów, przyjmuje się, że mandat nie został objęty i konieczne są przedterminowe wybory.

Kałużny to weteran nieprzerwanie rządzący Wrześnią od 22 lat. Jak zawsze startuje pod szyldem Unii Wrześnian, choć jest szefem powiatowych struktur PO.

Artur Mokracki, p.o. burmistrz Wrześni: – Złożenie ślubowania jest obowiązkowe i Tomasz Kałużny tego obowiązku dopełni. Ślubowanie, mimo zawieszenia w czynnościach służbowych, jest dopuszczalne, bo nie może być traktowane jako czynność służbowa. Wobec tego nie dojdzie do złamania postanowienia w sprawie zastosowania tego środka zapobiegawczego. Czynnością służbową jest decyzja, rozporządzenie czy postanowienie, ale nie akt ślubowania.

Stan zawieszenia burmistrza może trwać latami, bo latami trwają postępowania sądowe. A dopóki nie zapadnie prawomocny wyrok – skazujący lub uniewinniający – sytuacja jest niepewna. Według stanu na dziś Tomasz Kałużny jest osobą niewinną i może się okazać, że pozbawiona nadzoru Ziobry prokuratura nawet nie sporządzi aktu oskarżenia. Jeśli tak się stanie, należy zawiesić w czynnościach służbowych prokuratora odpowiedzialnego za postawienie lipnych zarzutów i nie wóś z głowy winien mu spaść, ale cała głowa z karku.

Tymczasem zamieszanie murowane. Stynąca z wielkopolskiego pragmatyzmu Września może uciepieć,

bo trudno sobie wyobrazić inwestorów gotowych lokować pieniądze w mieście, w którym nie wiadomo, komu wziąć, a komu dać.

– Znam Tomasza Kałużnego od 30 lat i wiem, że od nikogo nie wziął łapówki. Jestem przekonany, że jest niewinny i sprawa niebawem się wyjaśni – twierdzi Artur Mokracki.

Dobra strona zawieruchy jest taka, że Kałużny, odkąd został zawieszony, nie otrzymuje wynagrodzenia. Września dzięki temu oszczędza 260 tys. zł rocznie, bo tyle wynoszą zarobki burmistrza. Ale to może prowadzić do niebezpiecznego przypuszczenia, że burmistrz miastu i światu w ogóle nie jest potrzebny.

Kwestia ślubowania w nietypowych okolicznościach została dogłębnie zbadana za sprawą Zbigniewa

Wojtery. W 2018 r. polityk trafił do aresztu tymczasowego w związku z 95 zarzutami (wyłudzenie dotacji, udział w zorganizowanej grupie przestępczej). Mimo to postanowił zostać wójtem gminy Daszyna (łódzkie). Kampanię prowadził z krak, ale wygrał w cuglach. Wtedy zderzył się z problemem natury formalnej – prokuratura nie udzieliła mu przepustki na ślubowanie. I ponieważ ślubowania nie złożył, zaczęto debatować, czy utracił mandat. Orzekono jednak, że mandat nie wygaś, bo intencją przebywającego za kratami wójta elekta było złożenie ślubowania, ale realizację jego woli i woli wyborców uniemożliwiło nieprzejednane stanowisko prokuratury. Po 18 miesiącach Wojtera wyszedł na wolność, złożył ślubowanie i rzucił się w wir pracy, ale prokuratura oskarżenia nie wycofała.

W tegorocznych wyborach Wojtera ubiegał się o reelekcję. Był jedynym kandydatem, więc odbyło się referendum. Ponad 80% głosujących opowiedziało się za tym, by ponownie zasiadł na fotelu wójta. Sprawa, z powodu której znalazł się w areszcie, do dziś toczy się przed sądem.



Gen Z ma talent

Adam Gomoła, najmłodszy poseł X kadencji Sejmu, jeszcze nie zdążył dobrze rozwinąć skrzydeł, a już musi się tłumaczyć z przekrętów

Andrzej Sikorski

W listopadzie 2023 r. 24-letni poseł Adam Gomoła podczas przedstawiania w Sejmie sprawozdania w sprawie nowelizacji ustawy o handlu w niedzielę przekonywał, że studenci chcą pracować w dzień wolny, bo to dla nich sposób na dorabianie, a on, Gomoła, doskonale zna

problemy młodych ludzi, bo „jest jedynym przedstawicielem Gen Z, pokolenia Z w tej izbie”. Bajdurzenia te wywołały wesołość wśród starszych posłanek i posłów oraz niewybredne żarty kierowane pod adresem najmłodszego wybrańca narodu.

Gen Z, czyli generacja Z, zoomerzy, postmilenialsi, jest przedmiotem licznych badań. Są to osoby

urodzone pomiędzy rokiem 1995 a 2012, które większość czasu spędzają w świecie wirtualnym, w mediach społecznościowych, z których czerpią wiedzę. Ludzie z tego pokolenia są zestresowani, głównie z powodu braku pieniędzy, roszczeniowi, mają wysokie wymagania, ale niskie kwalifikacje, nie wykazują lojalności wobec pracodawcy, co wpływa na częstą zmianę pracy, czas wolny i spotkania z rówieśnikami przedkładają nad obowiązki zawodowe, preferują pracę zdalną, mają problemy z koncentracją i pogłębioną analizą, są przekonani o swojej wyższości i dziejowej roli w naprawie „starego” świata.

Łapówka dla koleżanki

Prokurator Stanisław Bar, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Opolu: „W odpowiedzi na skierowane (...) zapytanie informuję, że w dniu 15 kwietnia br. w Prokuraturze Rejonowej w Opolu wszczęto śledztwo (...) w sprawie udzielenia Koalicyjnemu Komitetowi Wyborczemu Trzecia Droga Polska 2050 Szymona Hołowni-Polskie Stronnictwo Ludowe korzyści majątkowych z innego źródła niż fundusz wyborczy partii politycznych tworzących koalicyjny komitet wyborczy, tj. o przestępstwo z art. 506 pkt 7 ustawy (...) kodeks wyborczy (...). Postępowanie toczy się w sprawie, tzn. nikomu nie przedstawiono zarzutów”.

Nie wiemy, jak zakończy się śledztwo, ale jeśli ktoś usłyszy zarzuty, będzie to zapewne Adam Gomoła, pochodzący z Gogolina na Opolszczyźnie, obecnie poseł niezrzeszony, a jeszcze niedawno wschodząca gwiazda Polski 2050 Szymona Hołowni. Być może zarzuty zostaną postawione także innym osobom, bo jak się dowiedziałem nieoficjalnie, sprawa jest rozwojowa. W marcu br. „Nowa Trybuna Opolska” ujawniła stenogramy z nagrań, na których Gomoła przekonywał osobę mającą kandydować w wyborach samorządowych, że aby dostać pierwsze miejsce na liście w wyborach do sejmiku województwa, musi wpłacić 20 tys. zł na konto prywatnej firmy Carrington Media&Event. Poseł

miął zachęcać rozmówcę, mówiąc: „Myśmy jako kandydaci w wyborach parlamentarnych też takich dużo umów podpisywali”. Kandydat pieniędzy nie wpłacił, bo sprawa śmierdziła na kilometr, i jedynki na liście Trzeciej Drogi nie dostał.

Agencję reklamową Carrington Media&Event założyła wiosną 2023 r. ledwie 22-letnia Barbara Łabędzka, szefowa kampanii wyborczej Gomoły i jego doradczynie. Łabędzka do niedawna była zauroczona partią Jarosława Kaczyńskiego. Działała w Forum Młodych PiS. W 2018 r. ministra edukacji Anna Zalewska powołała ją (była wówczas uczennicą liceum) do upolitycznionej Rady Dzieci

bali, bo pamiętali przecież, jak Szymon Hołownia dopieszczał swojego „złotego chłopca” w czasie kampanii wyborczej. A mówił o nim tak w spoście wyborczym: „Adam to jest człowiek energia, lepsza niż te króliczki z bateriami, lepsza niż drinki energetyczne. Ten człowiek jest w stanie ruszyć z posad bryłę świata, tylko dajcie mu bryłę, a on ją ruszy! Nie ma takiej bryły, której Gomoła by nie ruszył. Adam Gomoła to wasz najlepszy kandydat z okręgu opolskiego”.

Głupie tłumaczenia

Po ujawnieniu stenogramów z kompromitującej rozmowy Gomoła

rozmowę nagrano bez jego wiedzy, to był inwigilowany. Przekonywał, że to jego rozmówca prosił go „o poradę, aby polecić mu kogoś do pomocy w promocji, kto stworzyłby strategię jego kampanii do sejmiku”, a on tylko „polecał firmę marketingową, z którą współpracował”.

Takich wynurzeń nie mógł zdrzżyć wcześniej nieujawniony z nazwiska rozmówca Gomoły, którym okazał się Andrzej Mańkiewicz, radny z Krapkowic, były przewodniczący rady miejskiej i kandydat do sejmiku województwa z drugiego miejsca listy Trzeciej Drogi. Mańkiewicz w rozmowie z „Nową Trybuną Opolską” potwierdził, że Gomoła namawiał go do działań niezgodnych z prawem.

„Potwierdzam fakt, że warunkiem uzyskania pierwszego miejsca na liście do sejmiku województwa opolskiego była wpłata pieniędzy. Początkowo miałem tego dokonać na konto komitetu wyborczego. Gdy jednak umówiliśmy się na spotkanie, żeby ustalić szczegóły, usłyszałem, że z powodu jakichś problemów z limitami pieniądze musiałbym wpłacić na konto firmy Barbary Łabędzkiej. To wzbudziło moje wątpliwości, które później przerodziły się

Agencję reklamową Carrington Media&Event założyła wiosną 2023 r. 22-letnia Barbara Łabędzka, szefowa kampanii wyborczej Adama Gomoły i jego doradczynie.

i Młodzieży Rzeczypospolitej Polskiej przy Ministrze Edukacji Narodowej. Łabędzka fotografowała się z liderką PiS na Opolszczyźnie Violetą Pomorską, składając kwiaty pod murałem Romana Dmowskiego. W Radiu Opole chwaliła się, że jest młodzieżowym ambasadorem Unii Europejskiej w Polsce, humanistką i ma zdolności językowe, dlatego uczy się siedmiu języków, w tym chińskiego i arabskiego, jest patriotką odwołującą się do spuścizny Romana Dmowskiego i interesuje ją wschodnia geopolityka – z zainteresowaniem obserwuje ewolucję Federacji Rosyjskiej i nie wyklucza, że będzie studiowała stosunki międzynarodowe i prawa człowieka w Moskwie (sic!).

Jak dziewczę o tak egzotycznych poglądach mogło zostać mózgiem kampanii wyborczej równie niedojrzałego młodzieńca, reprezentującego partię liberalną i proeuropejską, trudno dzisiaj dociec, bo gdy Gomoła przedstawiał Basię lokalnym działaczom Polski 2050 jako wybitną specjalistkę od marketingu politycznego, która zjadła zęby na kampaniach wyborczych, nikt głośno nie protestował. Być może ludzie się

zapadł się pod ziemię. Na niewiele jednak to się zdało, bo matka partia odwróciła się od niego, usuwając go ze swoich szeregów. Po tygodniu młody poseł ruszył do kontrataku, a właściwie rozpoczął pielgrzymkę po redakcjach, opowiadając swoją wersję wydarzeń. Nie z pozycji osoby podejrzanej o nadużycia, ale

Szymon Hołownia dopieszczał „złotego chłopca” w czasie kampanii wyborczej: „Ten człowiek jest w stanie ruszyć z posad bryłę świata”.

kreując się na ofiarę i samotnego rycerza walczącego ze starym układem. Gomoła bredził, że wchodząc do brudnego świata polityki, wiedział, że nie będzie mu łatwo „zmierzyć się z wszystkimi tajnikami, ze wszystkimi chwytami, które tam będą funkcjonowały”, i „że będzie obzruczony błotem”, natomiast jego misja, „czyli żeby nawet własnym kosztem przetrzeć szlaki generacji Z, jest teraz jeszcze bardziej aktualna”.

Było też o tym, że padł ofiarą dobru zorganizowanej prowokacji ze strony PSL, a on i jego bliscy zostali zaszczuci. Gomoła twierdził, że skoro

w spory niepokój. Muszę stanowczo zaznaczyć, że żadnych pieniędzy nie wpłaciłem, bo przedstawiona mi propozycja nie mieściła się w kanonie obowiązujących przepisów. (...) W całej tej historii przedstawionej przez Adama Gomołę pojawia się wiele nieścisłości. Przede wszystkim idea współpracy z firmą prowadzoną przez 22-letnią Barbarę Łabędzką była dla mnie całkowicie nowa i niespodziewana. Nikogo nie prosiłem o taką pomoc. Nie szukałem żadnych usług wizerunkowych (...). Kto o zdrowych zmysłach płaci 20 tys. zł za jakieś usługi ▶

► wizerunkowe w kampanii do samorządu?”, mówił Andrzej Matkiewicz.

Partia też miała płacić

Okazuje się, że Gomoła naciskał nie tylko na Matkiewicza, aby zasilili konto Łabędzkiej. W lutym br. niespodziewanie do dymisji podał się szef zarządu Polski 2050 w regionie opolskim Piotr Sitnik. Razem z nim szeregi partii opuścili sekretarz oraz skarbnik. Otóż Gomoła próbował wymusić na członkach zarządu partii podpisanie umowy z „firmą pani Basi”, by ta zajęła się kampanią

samorządową. Poseł twierdził, że jest sponsor gotów wyłożyć 20 tys. zł. Gomoła posunął się nawet do szantażu, ostrzegając, że bez współpracy z panią Basią tych pieniędzy nie będzie, a on wycofa się z pomocy w kampanii samorządowej. Czując przekręt, członkowie zarządu odmówili. O wszystkim poinformowali Szymona Hołownię i podziękowali mu za współpracę. Marszałek Sejmu, wiedząc, że jego protegowany kręci lody na boku, nie zrobił nic, a mógł go chociaż przywołać do porządku.

Gdy zapytałem ludzi związanych z Polską 2050, skąd Hołownia

wytrzasnął Gomołę i jakim cudem został on liderem listy wyborczej do Sejmu Trzeciej Drogi na Opolszczyźnie, ci śmiali się, że z kapelusza, a reszta to już sama poszła.

Rzeczywiście coś jest na rzeczy. Gomoła kreuje się na aktywistę, który poświęcił „kilkanaście lat pracy na rzecz lokalnych społeczności” (sic!). Twierdzi, że jest ekonomistą i przedsiębiorcą. Specjalizuje się „w rachunkowości zarządczej”. Skończył studia licencjackie w Szkole Głównej Handlowej (finanse i rachunkowość) i magisterskie z politologii na Uniwersytecie Warszawskim, a „na co dzień współtworzy lokalną firmę, która zapewnia zatrudnienie 30 mieszkańcom Opolszczyzny”. Prawda jest jednak taka, że Gomoła zaledwie niecałe dwa lata przepracował w firmie rodziców, z branży sanitarno-grzewczej, i raczej nie robił tego w niedzielę. Wiadomo również, że państwo Gomołowie wpłacili 30 tys. zł na rzecz Polski 2050, a ich syn pond 20 tys. zł. Skąd miał tyle pieniędzy? Pewnie z oszczędności, bo świeżo upieczony poseł zadeklarował w oświadczeniu majątkowym, że zgromadził 85 tys. zł i jest posiadaczem papierów wartościowych na kwotę ponad 8,5 tys. zł.

Ci, którzy mieli styczność z Gomołą, mówią, że jest pewny siebie, arogancki, przeświadczony o własnych racjach, nie potrafi grać zespołowo. Przekonali się o tym politycy koalicyjnego PSL. Najpierw, gdy zorganizował huczną konwencję mającą inaugurować kampanię wyborczą Trzeciej Drogi do samorządów, tyle że bez ludowców. Potem zaś wyciął z listy do sejmiku województwa wieloletniego lidera PSL w regionie Stanisława Rakoczego, a na jego miejsce wstawił polityka Polski 2050. Rakoczy odgrażał się później, że pozwie Gomołę do sądu za poniesione straty, m.in. wpłatę pieniędzy na fundusz wyborczy.

Choć zabrzmi to przewrotnie, opolscy działacze Polski 2050 i PSL przyjęli aferę taśmową jako dar niebios. Być może prokuratorskie zarzuty sprowadzą Gomołę na ziemię, nauczą pokory i szacunku. A może i nie.

Andrzej Sikorski

zaprasza **TEATR KOMEDII IMPRO** zaprasza

REPERTUAR

SCENA ŁÓDZKA  PIOTRKOWSKA Łódź, ul. Piotrkowska 138/140

wtorek	30 kwietnia, godz. 20	– Miejsce Komedii: „Tarantino, czyli seks, śmiech i śmierć”
środa	1 maja, godz. 16	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana
środa	1 maja, godz. 20	– „IMPRO Atak!”
czwartek	2 maja, godz. 20	– „Kryminał improwizowany”
piątek	3 maja, godz. 20	– „Komedia romantyczna”
sobota	4 maja, godz. 20	– „IMPRO Atak!”
piątek	10 maja, godz. 20	– „Gangsterskie porachunki”
sobota	11 maja, godz. 20	– „IMPRO Atak!”
niedziela	12 maja, godz. 16	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana
niedziela	12 maja, godz. 19	– „Komedia romantyczna”
piątek	17 maja, godz. 20	– „Wilkołaki” – horror improwizowany
sobota	18 maja, godz. 20	– „Impro Swing, czyli para na parze”
niedziela	19 maja, godz. 16	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana
niedziela	19 maja, godz. 19	– „IMPRO! Kamera... akcja!”

SCENA WARSZAWSKA  Warszawa, ul. Wiolinowa 14

sobota	11 maja, godz. 11	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana
sobota	11 maja, godz. 19.30	– „Kryminał improwizowany”
poniedziałek	13 maja, godz. 19.30	– „Gangsterskie porachunki”
czwartek	16 maja, godz. 19.30	– „Kryminał improwizowany”
niedziela	19 maja, godz. 11	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana
poniedziałek	20 maja, godz. 19.30	– „IMPRO Atak!”

TEATR KOMEDII IMPRO.PL **TEL. 66 54 777 54**

Przed wszystkim żyć! Jak najpiękniej i jak najpełniej!





Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Caroline Unger

Dwutygodniowy rytm tych felietonów każe z wyprzedzeniem przypomnieć tę rocznicę. 200 lat temu, 7 maja 1824 r., w Kärntnertheater w Wiedniu odbyło się prawykonanie „IX Symfonii” Beethovena. A skąd powyższy tytuł? Bo ważną rolę odegrała wtedy Caroline Unger, śpiewaczka węgierska.

Razem z Niemką Henriette Sontag chciała wykonywać muzykę Beethovena. Ale mistrz nie życzył już sobie odgrywania w Wiedniu jego utworów. „IX Symfonię” miał zamiar wykonać w Berlinie, zadedykował ją zresztą królowi Prus, Fryderykowi Wilhelmowi III, pierwszemu subskrybentowi ukończonej dopiero co „Missa Solemnis”. Namowy obu śpiewaczek okazały się bezskuteczne. Dopiero ogłoszona w „Theater Zeitung” petycja najwybitniejszych wiedeńskich skruszyła opór mistrza.

Rozpoczęto próby. Ale Caroline i Henriette szybko pożałowały swych namów. „Przyzwyczajone do gładkiego toku stylu włoskiego, odebrały muzykę Dziewiątej symfonii jako tor wyboisty i pełen przeszkód”, pisze biograf Beethovena, George R. Marek. Próbowaty skłonić kompozytora do wprowadzenia zmian, ten jednak był niewzruszony. Wiedziały, ile ryzykują: pierwsza miała 20, druga 18 lat, ich kariera mogła się załamać. „Beethoven poddaje nas torturom! – krzyczała temperamentna Węgierka – To tyran strun głosowych!”.

Do koncertu jednak doszło. Pod batutą Michaela Umlaufa wykonano trzy utwory Beethovena: uverturę „Poświęcenie domu”, trzecią część „Missa Solemnis” i „IX Symfonię”. Kompozytor, w czarnym smokingu i czarnych, jedwabnych pończochach, z białą chusteczką na szyi i pantoflach z klamrami, stał po prawej ręce dyrygenta, plecami do publiczności, i podawał orkiestrze tempo. Wykonawców pouczono, by nie zwracali na niego uwagi – był już kompletnie głuchy. Koncert trwał długo. Gdy ucichły ostatnie dźwięki „IX Symfonii”, gdy publiczność oszalała z zachwyty, a Beethoven, wpatrzony w partyturę, wciąż niczego nie słysząc, Caroline pociągnęła go za łokieć i obróciła twarzą do sali. Dopiero wtedy zobaczył, co się dzieje. Kłaniał się bez słowa. Tak się odbyło jego ostatnie spotkanie z publicznością wiedeńską.

Największy triumf u schyłku życia? Niekoniecznie, bo „IX Symfonia” z trudem torowała sobie drogę. W następnym roku, w Londynie, przyjęto ją jeszcze entuzjastycznie, lecz zaraz potem zaczęły się mnożyć zarzuty: „brak smaku”, „monstrualność”, „trywialność”... Dopiero rok

1846, gdy utwór poprowadził w Dreźnie młody Richard Wagner, stał się przełomem. Ale w wielu miastach długo jeszcze „IX Symfonii” nie znano. Prof. Diana Poskuta-Włodek poinformowała mnie, że w Krakowie wykonano ją w całości dopiero 9 maja 1918 r.

Czy trzeba się dziwić? Kraków był prowincją. A w czasie, gdy w Wiedniu odegrano utwór po raz pierwszy, był Wolnym Miastem, oddzielnym od Austrii granicą. W roku 1816 kontaktował się z Beethovenem krakowski kompozytor Franciszek Mirecki, późniejszy dyrektor Szkoły Śpiewu i Muzyki przy ulicy Gołębiej 20, lecz nawet on nie został jego uczniem. Lepiej działał się w Wilnie, gdzie na niemal 20 lat osiadł, zaprzyjaźniony z Beethovenem, profesor medycyny Joseph von Frank. Żona Franka, Christine Gerhards, była słynną wiedeńską śpiewaczką – uczestnicząc niegdyś w prawykonaniu „Stworzenia świata” Josepha Haydna, doprowadziła do odegrania

Stała się primadonną scen włoskich – ale czy dziś ktoś by ją pamiętał, gdyby nie ta jedna sekunda, w której pokazała Beethovenowi rozentuzjasmowany Wiedeń?

tego oratorium także na Litwie. Nie wydaje się jednak, by nawet Wilno szybko poznało „IX Symfonię”.

A które to krakowskie wykonanie usłyszałem 3 kwietnia 1964 r. jako pierwsze w moim życiu? Od dawna już chłonałem wtedy muzykę Beethovena, wielokrotnie w domu słuchałem płyty z „Eroicą”, a w mieszkaniu mej sympatii, Grażyny Zakrzewskiej, poznałem nagrania „VI Symfonii” i „V Symfonii” (w tej właśnie kolejności). Dziewiątej też wysłuchaliśmy w Filharmonii razem z Grażyną, a nasze uwielbienie dla Beethovena weszło w stan nieledwie hysterii. W wakacje dostałem z Budapesztu widokówkę ze zdjęciem fortepianu. Grażyna pisała: „To fortepian, który służył Beethovenowi. Przed chwilą kładłam ręce na klawiszach”. Ona dobiegała 14, ja nie miałem jeszcze 13 lat. To było szczęście poznawać Beethovena w takim wieku.

A Caroline Unger? Stała się primadonną scen włoskich – ale czy dziś ktoś by ją pamiętał, gdyby nie ta jedna sekunda, w której pokazała Beethovenowi rozentuzjasmowany Wiedeń? Zmarła dopiero w roku 1877. A zatem zaledwie pięć lat przed urodzeniem mojej babci, która odeszła ze świata, gdy od dawna byłem już dorosły. Czyżby prawykonanie „IX Symfonii” odbyło się niemalże wczoraj? 200 lat to doprawdy krótki okres czasu. ■

Od „Króla żelatyny” do „Króla norek”

Lobbing w Polsce – załatwiacze, profesjonalści i dyplomaci

Grzegorz Rudnik

Z definicji lobbing to wywieranie przez zawodowych rzeczników interesów wpływu na przedstawicieli władzy, by ci podjęli działania lub decyzje zgodne z interesami klientów owych rzeczników.

Jednym z pierwszych lobbystów był Kazimierz Grabek, „Król żelatyny”. W latach 1992-1999 gościł on stale w pierwszej dziesiątce najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost”. Przez niemal dekadę, bez względu na to, jaka akurat opcja polityczna była u władzy, z powodzeniem lobbował na rzecz swoich

Oczywiście rząd wycofał się z podjętej pochopnie decyzji. Po Warszawie krążyła wówczas plotka, że przyczyną kłopotów pana Kazimierza był jeden z zachodnich koncernów farmaceutycznych, który nie chciał kupować od niego żelatyny – niezbędnej przy produkcji niektórych leków – bo miał własny produkt bardzo dobrej jakości. Pracownicy koncernu szepnęli więc komu trzeba co trzeba, a reszta była kwestią techniki.

Upadek biznesu Kazimierza Grabka dał początek czarnej legendzie rodzimego lobbingu. Polski lobbysta zaczął się kojarzyć z facetem, który krąży w okolicach Wiejskiej z czarną dyplomatą wypchaną dolarami, by

interesowały plany prywatyzacyjne rządu dotyczące polskiego sektora energetycznego. Miał on reprezentować rosyjskie koncerny RAO JES i Łukoil, które przymierzały się do nabycia udziałów w naszych elektrowniach i rafineriach ropy naftowej.

Była to karkołomna, skazana na niepowodzenie misja, gdyż od tzw. afery Olina, czyli od grudnia 1995 r., gdy ówczesny minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski oskarżył urzędującego premiera Józefa Oleksego o współpracę z rezydentami KGB w Polsce Władimirem Ałganowem i Grigorijem Jakimiszy-nem, każdy biznesmen lub polityk, który miał bliskie kontakty z Rosjanami, stawał się obiektem zainteresowania agencji odpowiedzialnych za bezpieczeństwo.

Boleśnie przekonał się o tym dr Jan Kulczyk, który podobnie jak Dochnał snuł plany budowy łącznika energetycznego między Polską a naszym wschodnim sąsiadem. Plany te spełzły na niczym, gdy polskie służby odnotowały spotkanie, do którego doszło w jednej z wiedeńskich restauracji. Dr Kulczyk umówił się w niej na kolację z dobrze znanym nad Wisłą Władimirem Ałganowem. Spotkanie zaaranżowali panowie Andrzej Kuna i Aleksander Żagiel, dobrzy znajomi byłego oficera KGB. Rozmowa dotyczyła dużego projektu gospodarczego – eksportu energii elektrycznej z Rosji przez Polskę do Niemiec. Jak wiemy, nic z tego nie wyszło. Po tym zdarzeniu dr Jan Kulczyk musiał zapomnieć o ambitnych planach biznesowych dotyczących Polski. Nikt nigdy głośno tego nie powiedział, lecz najbogatszy Polak stał

Pod koniec rządów AWS pojawiły się pierwsze firmy głoszące, że zajmują się lobbingiem: CEC Government Relations, Cross Media i Grupa Doradztwa Strategicznego.

firm, chcąc zapewnić im niemal monopol na produkcję żelatyny w Polsce. I udało się, lecz Grabek przedobrzył.

Afera wybuchła, gdy w grudniu 1997 r. rząd Jerzego Buzka wprowadził całkowity zakaz importu żelatyny pod pretekstem ochrony zdrowia społeczeństwa zagrożonego szerzącą się na Zachodzie chorobą szalonych krów.

Szybko wyszło na jaw, że ta decyzja zapewniała wyjątkowe profity firmom Kazimierza Grabka, który okazał się największym producentem żelatyny w kraju. Sprawą zainteresowały się media, a następnie kompetentne organy. Padło pytanie, jak on to załatwił.

wręczyć ją pod stołem „zaprzyżnionemu” politykowi. Ten stereotyp utrwaliła tzw. afera Marka Dochnała, która wybuchła 26 września 2004 r., gdy funkcjonariusze ABW zatrzymali przedsiębiorcę i bon vivanta. Prokuratura zarzuciła mu skorumpowanie posła Sojuszu Lewicy Demokratycznej Andrzeja Pęczaka. Do legendy przeszło życzenie wybrańca narodu, by należący do Dochnała mercedes, z którego Pęczak na co dzień korzystał, został wyposażony w firanki. Poseł za określone korzyści materialne miał być pośrednikiem między biznesmenem a ówczesnym ministrem skarbu Zbigniewem Kaniewskim oraz innymi prominentnymi liderami lewicy. Dochnała

się dla urzędników państwowych wysokiego szczebla i polityków persona non grata. Gdy w roku 2005 do władzy doszło PiS, dr. Kulczykiem i jego biznesami zainteresowały się organa ścigania. Rzecz jasna, nic z tego nie wyszło, lecz przedsiębiorca mógł zapomnieć o robieniu dobrych interesów na styku państwa i sektora prywatnego.

Możemy przyjąć, że na przełomie XX i XXI w. skończyły się czasy przebojowych przedsiębiorców, którzy osobiście lobbowali w swoich sprawach. Nadszedł czas profesjonalistów dyskretnie działających na rzecz klientów, najczęściej bardzo bogatych międzynarodowych korporacji, które nie znoszą zbytniego rozgłosu wokół ich spraw.

Czas profesjonalistów

Pod koniec rządów AWS nad Wisłą pojawiły się pierwsze firmy otwarcie głoszące, że zajmują się lobbieniem. Najbardziej znane to CEC Government Relations, Cross Media i Grupa Doradztwa Strategicznego.

Największą sławę zyskała spółka CEC Government Relations, kierowana przez Marka Matraszkę, obywatela brytyjskiego, która lobbowała na rzecz zakupu przez Polskę samolotów wielozadaniowych F-16 produkowanych przez amerykański koncern Lockheed Martin. Rząd Leszka Millera nabył te samoloty, lecz była to decyzja polityczna. W sferze militarnej Polska wiązała się ze Stanami Zjednoczonymi bardziej niż z państwami Europy Zachodniej. I tak jest do dziś. Lobbying w tej sytuacji miał mniejsze znaczenie.

Nie wszystkim to się podobało. O Matraszkę zrobiło się głośno w listopadzie 2003 r., po wystąpieniu w Sejmie szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Andrzeja Barcikowskiego, który ostrzegał posłów przed lobbieniem inspirowanym przez zagranicznych szpiegów. Według niego Matraszek był prawdopodobnie współpracownikiem brytyjskich służb specjalnych.



Rzeczniką prasową klubu parlamentarnego Konfederacji została Ewa Zajączkowska-Herńnik, dawniej dziennikarka portalu SwiatRolnika.info, należącego do fundacji, której prezesuje Szczepan Wójcik.

brytyjskiego przez szefa ABW, dalej prowadzi w naszym kraju działania lobbujące?”.

Otrzymane odpowiedzi z pewnością Wrzodaka nie usatysfakcjonowały. Minister Wassermann stwierdził, że co prawda z ustaleń ABW wynika, że jedną z najaktywniejszych firm prowadzących lobbying na rzecz zachodnich koncernów była spółka CEC Government Relations, której założycielem i dyrektorem był Marek Matraszek, ale brakowało przesłanek prawnych do zakazania mu aktywności lobbującej w Polsce. W tym samym duchu wypowiedział się prokurator krajowy Janusz Kaczmarek, przyznając, że działalność lobbująca firmy CEC Government Relations nigdy nie była badana w postępowaniu karnym.

Mniej szczęścia miał Andrzej Długosz z Cross Media, który znalazł się w kręgu zainteresowania prokuratury, gdyż na zlecenie Poczty Polskiej starał się powstrzymać legalnymi metodami prace nad ustawą wprowadzającą deregulację rynku pocztowego. Po kilku latach zarzucono mu, że wyprowadził pieniądze z firmy, której był właścicielem, i trafił do aresztu. Andrzej Długosz był znany w środowisku jako

W środowisku osób zajmujących się profesjonalnie lobbieniem tłumaczono to zazdrością emerytowanych funkcjonariuszy polskich służb, którzy pojawili się w branży, pobierali wysokie apanaże, lecz nie mogli wykazać się podobną skutecznością.

W maju 2006 r. poseł Zygmunt Wrzodak złożył dwie interpelacje – do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry oraz do koordynatora

Na lobbying w Polsce najczęściej wydają koncerny farmaceutyczne, tytoniowe i technologiczne.

ds. służb specjalnych Zbigniewa Wassermanna. Obie odnosiły się do przypadków łamania prawa przez firmy farmaceutyczne importujące leki do Polski. W obu znalazło się oczekiwanie wyjaśnienia sprawy Matraszka. „Dlaczego Marek Matraszek z firmy CEC Government Relations – pytał poseł Wrzodak – pomimo nazwania go agentem wywiadu

osoba, która doprowadziła do złagodzenia zakazu reklamy piwa i reprezentowała zagraniczne koncerny farmaceutyczne w sporze z polskim rządem o obniżenie wartości celnej importowanych leków. Areszt w jego przypadku wyglądał na represję. Na szczęście dla niego wszystko skończyło się dobrze. Firma Cross Media istnieje do dziś, podobnie jak spółka ▶

- CEC Government Relations. Lobbying nad Wisłą zaś stał się trochę bardziej sformalizowany i profesjonalny.

W czym mogę pomóc, panie ambasadorze?

Jeśli interesy francuskich, niemieckich, a zwłaszcza amerykańskich firm działających w Polsce zostaną zagrożone inicjatywami ustawodawczymi rządu, posłów lub senatorów, do akcji wkraczają ambasadorowie, którzy dobrze wiedzą, za co pobierają wynagrodzenie.

Dawno temu inicjatywą błysnął ambasador Wielkiej Brytanii w Warszawie, pisząc w 2004 r. list do marszałka Sejmu Józefa Oleksego w sprawie prac nad tzw. ustawą antylichwiarską, która zagrażała interesom firmy pożyczkowej o brytyjskich korzeniach. Ambasador wyraził zaniepokojenie i zaoferował pomoc brytyjskich ekspertów, którzy gotowi byli wesprzeć stanowienie polskiego prawa. Marszałek Oleksy zaś, zamiast postać ambasadora do diabła, przesłał list ministrom polskiego rządu. Sprawa trafiła do mediów i głośno było przyjął propozycję Londynu.

W ostatnich latach pikantnym przykładem lobbyngu ambasadorskiego były działania Georgette

Mosbacher, reprezentującej Stany Zjednoczone, która skutecznie osadziła rząd PiS w sprawie koncesji dla TVN. Politycy PiS snuli plany wykupienia tej stacji i przejęcia nad nią kontroli, tak by po spacyfikowaniu TVP i Polskiego Radia nikt nie był w stanie zagrozić ich monopolowi w mediach elektronicznych. Lecz amerykańscy właściciele TVN nie chcieli o tym słyszeć. Ciekawostką był list, który ambasador Mosbacher wysłała do premiera Morawieckiego. Oskarżyła w nim ówczesnego szefa MSWiA oraz PiS o publiczne zarzucanie TVN inscenizowania urodzin Hitlera. Bardzo emocjonalne pismo zawierało błędy ortograficzne i literówki. Georgette Mosbacher dosłownie rugała w nim premiera, co nie jest przyjęte w relacjach między państwowych. Finał historii znamy – TVN otrzymała przedłużenie koncesji, a relacje rządu PiS z administracją Donalda Trumpa stały się wzorowe. Na czym, w obliczu zagrożenia ze Wschodu, Polska tylko zyskała.

Dziś ambasador Mark Brzezinski ma prostsze zadanie. Nasz kraj wydaje dziesiątki miliardów dolarów na zakupy uzbrojenia w USA, de facto wzmacniając tamtejszą gospodarkę. Nabył też jedną elektrownię jądrową, Amerykanie zaś przekonują, że powinien zamówić u nich drugą. Wolność słowa i zobowiązania sojusznicze nie są zagrożone, więc nie ma powodów do zmartwień.

W trudniejszej sytuacji jest ambasador Danii w Polsce, który musi zabiegać, by duńskie firmy, które dzierżawią ziemię rolną, nie straciły zbyt wiele w wyniku wejścia w życie regulacji prawnych dotyczących takich właśnie gruntów. Przepisy te nakazują oddanie państwu części ziemi po upływie zapisanego w ustawie czasu. Ambasador próbuje pomóc rodakom. I lobbyje, gdzie może.

Lobbying jako sposób na życie

Na lobbying w Polsce najwięcej wydają koncerny farmaceutyczne, tytoniowe i technologiczne. Branża farmaceutyczna strzeże regulacji prawnych, tak by ustawodawca nie pogorszył jej warunków działania i nie zmniejszył zbytnio zysków.

Koncerny tytoniowe zajmują się tym samym. Przy czym polem bitwy stały się ostatnio uregulowania prawne i podatkowe dotyczące e-papierosów. Jeśli wierzyć mediom, interesy jednego z koncernów reprezentował z powodzeniem obecny poseł Konfederacji Przemysław Wipler. Branża technologiczna, Facebook, Google czy Netflix, choć zarabia w Polsce krocie, płaci niskie podatki. Na razie poważne opodatkowanie tych firm jest odległą perspektywą. Głównie ze względu na niezwykle skuteczny lobbying.

W Polsce podobnie jak w innych państwach pracę lobbystów reguluje ustawa. Muszą się zarejestrować, a w Sejmie powinni być zaopatrzeni w plakietki informujące, kim są. W praktyce bywa różnie. Jeśli rejestr lobbystów prowadzony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji liczy kilkaset pozycji, to w Sejmie zarejestrowanych jest kilkudziesięciu. Pewnie dlatego, że ich skuteczność na Wiejskiej jest skromna.

Nadal najlepszym sposobem, by przebić się ze swoimi racjami do polityków, są kontakty bezpośrednie. Trzeba po prostu znać właściwych ludzi, a wtedy nawet najtrudniejsze kwestie są do załatwienia. Cicho, dyskretnie, bez zainteresowania mediów. Wie o tym, jak sędzę, Szczepan Wójcik, jeden z największych w Polsce hodowców zwierząt futerkowych, nazywany czasem „Królem norek”, który skutecznie powstrzymał Jarosława Kaczyńskiego przed przeforsowaniem ustawy zwanej popularnie „Piątką dla zwierząt”.

Dziś rzeczniczką prasową klubu parlamentarnego Konfederacji jest Ewa Zajączkowska-Hernik, która w przeszłości pracowała jako dziennikarka w portalu SwiatRolnika.info, należącym do Fundacji Polska Ziemia, której prezesem jest wspomniany lider branży futrzarskiej. Ostatnio mogliśmy go zauważyć w programach telewizyjnych traktujących o protestach rolników. Dzięki pani Ewie jego możliwości znacznie wzrosły. A to przecież najważniejsze.

Grzegorz Rudnik



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Polski wymiar debaty o wolności wybrzmiewa najdoskonalej, kiedy rzecz idzie o cenę lub dostępność albo raczej jakkolwiek próbę zmniejszenia dostępności narodowej potrawy występującej w postaci cieczy: alkoholu. Podniosą ceny – stracą władzę. Ten potworny totalitaryzm lat 80. z ich godziną 13, od której dopiero można było kupić piwo, wino czy wódkę. Wszyscy wiedzą, jak to się skończyło. Inaczej być nie mogło. I potem wolność prawdziwa, niczym nieograniczona, niczym nie-limitowana (choć formalnie owszem – np. odległością punktu sprzedaży alko od budynku kościoła czy nawet szkoły) wywalczona przez Solidarność po 1989 r.; wolność potransformacyjna była już „do” wódki, a nie „od” wódki. Kapitalizm, jak przystało na następcę feudalizmu,

choć widowiskowi, nie są głównymi sprawcami wypadków i nieszczęść na drogach. Problem z nieskrępowaną i nieograniczoną dostępnością alkoholu jest analogiczny do problemu uzależnienia. Żeby pomóc osobie uzależnionej, a więc bezradnej wobec „przymusu” picia, należy robić coś przeciwnego do słowa pomoc – trzeba utrudniać komfort picia, pozwolić ponosić konsekwencje działań po odurzeniu; należy nie usuwać spod nóg kłód konsekwencji towarzyskich, rodzinnych, materialnych, zawodowych, estetycznych. Czyli dokładnie na odwrót, niż robią to najczęściej osoby bliskie, współuzależnione. I w tym jedynym skutecznym pakiecie antykomfortowym swoje miejsce ma właśnie wszelka trudność w dostępie do alkoholu. Czyli coś, co w Polsce w sposób patologiczny nie istnieje.

Wódka w kranie, mocium panie

rozpijał systematycznie i systemowo, nowatorsko i twórczo. Na trzeźwo był i jest nie do zniesienia. Ale w równym, transparentnym i racjonalnym starciu wartości społecznych, politycznych, etycznych na wolnym rynku idei, jak wiemy doskonale, po 1989 r. zwyciężyła bezkonkurencyjnie konsumpcja, zakupywanie się nade wszystko, trzeba kupować, mieć, żeby być. Nowymi świątyniami stały się centra handlowe, gdzie czas spędzać można długo i z pożytkiem. Ale każdy punkt sprzedaży jest małą świątynią nowego porządku. Każdy akt zakupu – modlitwą dziękczynną i przebłagalną zarazem. Kiedyś nie było, ale teraz jest. Najlepiej na okrągło, każdego dnia tygodnia, każdego tygodnia w roku, o każdej godzinie albo choćby bardzo długo za dnia i w nocy. Rano, wieczór, we dzień, w nocy niech nam będzie zawsze wolno kupić.

Dlaczego akurat stacje benzynowe mają być otwarte 24 godziny na dobę 365 dni w roku, w święta takie i owa-
kie? Nigdy przecież o tym na poważnie nie porozmawialiśmy. I czy naprawdę chodzi w nich o sprzedaż paliwa do pojazdów? Czy to tylko cudowne handlowe alibi? Może niektóre tylko stacje, jak apteki dyżurne, byłyby dostępne na okrągło? Ale wszystkie? Nie znamy bilansów handlowych stacji paliw, nie wiemy, jaki procent zysków przynosi sprzedaż benzyny czy oleju napędowego, a jaki alkoholu. W czym zresztą tkwi istota problemu sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych? Bynajmniej nie w tym, że jedna lada łącząca możliwość jazdy autem z równoległą szansą na zakup substancji, której prowadzący de facto spożywać nie może. Problemem nie jest bliskość benzyny i alkoholu. Istotą rzeczy jest skala społecznej degrengolady i krzywdy, która dzieje się za sprawą milionów uzależnionych od alkoholu osób, kolejnych setek tysięcy pijących nadmiarowo, koincydencji między nadużywaniem alkoholu a naruszeniami prawa, w tym przez pijanych kierowców, którzy,

Światowa Organizacja Zdrowia szacuje, że jeden punkt dystrybucji alkoholu powinien przypadać na ok. 1 tys. osób, mieszkańców. W Polsce ta sieć jest cztery razy gęstsza. Ważnym, bo całodobowym elementem tego systemu powszechnego dostępu do alkoholu są właśnie stacje benzynowe. Mówiąc najkrócej i najprościej, jeśli samo zdobycie pół litra czy innej miary będzie się wiązało z koniecznością poświęcenia wyraźnie więcej czasu, energii, tzw. zachodu, to pewien procent amatorów odpuści, czyli summa summarum Polska będzie choć odrobinę trzeźwiejsza tego jednego dnia, wieczoru, nocy. Oczywiście nie ma takiej siły, odległości, ceny, której osoby zdeterminowane, czytaj uzależnione, nie pokonają. Ale uzależnienie ma swoje natężenia, rośnie, w jakimś momencie może nadejść jeszcze refleksja: nie mogę sobie pozwolić na trzygodzinną wyprawę po flaszkę. Ale kiedy wystarczy kilkunastowy spacer po pobliską stację – żadna bariera nie istnieje.

Koszty społeczne uzależnienia od alkoholu liczone są w Polsce w dziesiątkach miliardów rocznie. W tym paradoksalnym splątaniu nie jest bez znaczenia fakt, że państwo czerpie spore zyski ze sprzedaży trującej substancji swoim obywatelom. Wyważenie, na ile państwo chce więcej sprzedać, a na ile poczuć się odpowiedzialne za zdrowie i życie obywateli, wygląda na nierozstrzygalny dyalekt.

Jako osoba uzależniona od alkoholu, choć będąca w abstynencji od 24 lat, nie mam wątpliwości – przeszkadzać, ograniczać, nie ułatwiać. Każda z małych przeszkód buduje mur zapobiegania osobistemu, społecznemu, rodzinnemu nieszczęściu. O żadnej wolności wyboru nie ma tu mowy, jest dokładnie na odwrót. Alkohol precz ze stacji i innych 24-godzinnych wódopojów. Trzeźwego życia życzę. ■

Kornel Wawrzyniak

Uber drożeje

Od czerwca przejazdy mogą kosztować nawet 50% więcej. I bardzo dobrze

Na początku czerwca wejdą w życie przepisy, według których kierowcy zajmujący się przewozem osób muszą mieć prawo jazdy wydane w Polsce. Firmy oferujące taxi na aplikację zapowiadają w związku z tym wzrost cen za przejazd nawet o połowę. Uber, najpopularniejszy tego typu przewoźnik, straszy klientów, że nowe przepisy mogą wpłynąć na zmniejszenie liczby jego kierowców o 10%. W Warszawie ma to być strata rzędu 30%. Czy zatem nie będzie komu wozić pasażerów?

Krótką pamięć

Firmy oferujące przejazdy na aplikację liczą chyba na to, że ludzie mają krótką pamięć i zapomnieli o skandalach z udziałem ich kierowców. Na łamach PRZEGLĄDU opisywaliśmy kilkakrotnie, co się dzieje w taksówkach najpopularniejszych firm. Już dwa lata temu ostrzegaliśmy, że przewozy na aplikację są poza jakąkolwiek kontrolą (nr 35/2022). Warto jednak przypomnieć częste zgłoszenia dotyczące gwałtów i molestowania pasażerek. Między rokiem 2016 a 2022 do prokuratury trafiło 69 spraw dotyczących przestępstw o charakterze seksualnym wobec kobiet korzystających z taksówek na aplikację.

W ostatnich latach odbyły się też akcje policyjne, w których zatrzymano setki kierowców. Wielu z nich prowadziło bez uprawnień. Kilkudziesięciu tylko podczas jednej kontroli było naćpanych lub pijanych. Pod koniec 2022 r. warszawska policja zatrzymała również grupę kierowców, która „polowała” pod klubami na wstawionych klientach. Krew w żyłach mrozi fakt, że zasadzali się głównie na młode kobiety. RMF FM ustaliło wtedy, że kilku kierowców działało jak rodzaj spółdzielni. Wszystko to działo się po licznych publikacjach na temat gwałtów w taksówkach na aplikację. Zdaje się jednak, że mimo medialnego szumu korporacje niewiele sobie z tego robiły.

Mimo zapewnień pracodawców, że kierowcy są coraz dokładniej

weryfikowani, taksówkami na aplikację bardzo często kierują osoby bez prawa jazdy. Firmy, które tak niby dbają o bezpieczeństwo pasażerów, na dobrą sprawę nie mają nawet możliwości weryfikowania zagranicznych uprawnień do prowadzenia pojazdów. Nikt nie wie, czy ma do czynienia z oryginałem, czy z podróbką, korporacje wierzą przyjmowanym do pracy osobom właściwie na słowo. Największym zaś problemem taksówek na aplikację jest system, który pozwala kierowcom na anonimowość. Dlatego nowe prawo to dobry ruch. Od 17 czerwca br. kierowca, który chce wozić ludzi, musi mieć polskie prawo jazdy. Ta prosta zmiana sprawi, że kierowcy na aplikację przestaną być anonimowi.

Lament

W konsekwencji zmian prawnych obcokrajowcy, którzy dopiero co przybyli do Polski, nie będą mogli od razu sięgnąć za kierownicą taksówki. Nawet jeśli dostaną od ręki pozwolenie na pracę. Zgodnie z przepisami, aby otrzymać polskie prawo jazdy, trzeba przebywać w naszym kraju co najmniej 185 dni. Argumentem przedstawicieli branży przewozów na aplikację przeciwko wymogowi wymiany prawa jazdy na polskie jest fakt, że urzędy nie nadążają z wydawaniem nowych dokumentów wszystkim chętnym. Sama procedura wymiany prawa jazdy okazuje się jednak gęstym siemem dla oszustów i degeneratów. A ostatnie lata pokazały, że kontrolowanie, kto wozi pasażerów, jest bardzo potrzebne. Jak opisywaliśmy w PRZEGLĄDZIE (nr 45/2022), podczas zaledwie jednej akcji policyjnej w 2022 r. na terenie Warszawy skontrolowano 189 osób i 177 pojazdów. Zatrzymano wtedy 12 kierowców

i odholowano 13 samochodów. Rzecznik prasowy Komendy Głównej Policji podkreślał, że akcja była konieczna ze względu na wzrastający odsetek przestępstw i wykroczeń popełnianych przez kierowców taksówek na aplikację.

Aby przejść procedurę wymiany prawa jazdy na polskie, należy mieć prawdziwe uprawnienia do prowadzenia pojazdów z innego kraju i przetłumaczyć je przed złożeniem wniosku. By w ogóle wystartować z formalnościami, konieczne jest jeszcze zameldowanie. Trzeba też wnieść opłatę. Nie jest to ani w teorii, ani w praktyce skomplikowana operacja. Oczywiście ci kierowcy, którzy nie zdążą wymienić prawa jazdy, stracą 17 czerwca możliwość wożenia pasażerów. „To może doprowadzić do drastycznego zmniejszenia liczby taksówek, a co za tym idzie sparaliżowania rynku przewozów”, stwierdził na łamach „Gazety Wyborczej” Marcin Moczyróg, dyrektor generalny Ubera na Europę Środkową i Wschodnią.

Czy jednak powód lamentów nie jest bardziej prozaiczny? Czy po prostu nie kończy się właśnie w Europie eldorado korporacji, które mogły zatrudniać masowo i bez żadnej odpowiedzialności przypadkowych ludzi? Platformami łączącymi kierowców z pasażerami zajęła się też w ostatnim czasie Unia Europejska. Po dwóch latach negocjacji uzgodniono dyrektywę o pracownikach platform internetowych. Nowe prawo ma uregulować kwestię statusu osób zatrudnionych w takich korporacjach jak Uber, Bolt czy Glovo. A nie jest ich mało, bo to 28,3 mln osób. Niestety, z pełnych praw pracowniczych korzysta obecnie 2 mln. Z momentem wprowadzenia dyrektywy ciężar udowodnienia, że ktoś nie jest pracownikiem, będzie spoczywał na



pracodawcy. Ma to zakończyć erę wykorzystywania osób działających na fikcyjnym samozatrudnieniu, które często i tak wyrabiają pełny etat, ale dostają około jednej trzeciej pensji. I to zaś oznacza, że nawet 5 mln osób zyska niebawem prawo do płacy minimalnej, płatnego urlopu czy płatnych zwolnień lekarskich.

Troska o pasażerów?

Zagraniczne korporacje niby się zgadzają, że nowe prawo jest potrzebne, ale... „Chociaż wymaganie posiadania polskiego prawa jazdy dla wszystkich zawodowych kierowców w Polsce – w tym taksówkarzy – można uznać za zasadne, obecny proces wymiany tych dokumentów blokuje na wiele miesięcy dostęp do zawodu, co nie tylko jest sprzeczne z unijnymi wytycznymi w tym zakresie, zaburza konkurencję na rynku, ale przede wszystkim nie ma żadnego przełożenia na bezpieczeństwo”, twierdzi na łamach „GW” Marcin Mocyróg.

Zabawne, że „zaburzanie konkurencji” oburza właśnie dyrekcję Ubera. To praktyki dumpingowe, czyli m.in. oferowanie dużo niższych kwot za przejazd, spowodowały wyparcie tradycyjnych taksówek przez te na aplikację. A skoro przejazdy

u platform podróżują, to zbliżą się ceną do tradycyjnych taksówek. Owszem, klienci trochę to odczują. Ale czy ostatecznie nie zyskają, skoro niezależnie od przewoźnika będzie wiadomo, z kim jadą?

Sytuacja może odrobinę się odwraca na korzyść tradycyjnych taksówek, ale w branży ogólnie nie jest wesoło. Na deficyt kierowców cierpią zarówno platformy, jak i klasyczne korporacje taksówkarskie. Według wyliczeń Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego nad Wisłą brakuje łącznie aż 150 tys. zawodowych kierowców. Zespół Doradców TOR wskazuje, że maleje również odsetek rodzimych taksówkarzy. Lukę tę wypełniają po części uchodźcy wojenni i polityczni z Białorusi, Gruzji i Ukrainy. Najwięcej zagranicznych taksówkarzy stanowią ci ostatni – 20%. Na drugim miejscu są Białorusini – 8%. Tymczasem przewozy osobowe odnotowują po pandemii coraz większe zainteresowanie pasażerów.

„Dziś w całym kraju, by zapewnić dostępność taksówek na odpowiednim poziomie, brakuje ok. 7 tys. kierowców”, mówi mediom Krzysztof Urban, dyrektor zarządzający Free Now w Polsce. Warto nadmienić, że firma Free Now chwali się, iż w ubiegłym roku przewiozła w Europie 48 mln pasażerów, najwięcej

było ich w trzech miastach – Londynie, Dublinie i Warszawie.

To może rowerem?

Czy na co dzień widać tę głośno wyrażaną troskę o pasażerów, jeśli przyjrzymy się samemu mechanizmowi działania taksówek na aplikację? „Po zabiegu ortopedycznym musiałem dojeżdżać na fizjoterapię. Kilka razy skorzystałem z przejazdów na aplikację. Za każdym razem się spóźniłem, mimo że wychodziłem ze sporym zapasem czasu. Co się stało? Jeśli zamawia się przejazd, firma przewoźowa blokuje kwotę za trasę jeszcze przed przybyciem kierowcy. Ten zaś może odwołać przejazd nawet 30 sekund przed spodziewanym odbiorem pasażera. Wtedy aplikacja szuka nam nowego kierowcy. Może się tak dziać kilka razy. Wtedy czekanie z pięciu minut zamienia się nawet w pół godziny. Klient może jedynie poczuć się jak naiwniak”, opowiada sfrustrowany Tomasz.

Oczywiście są przypadki, że trzeba pojechać taksówką. A przy najmniej na czterech kółkach. Pytanie, czy nie przyzwyczailiśmy się za bardzo do wygody, która niekoniecznie jest nam potrzebna. Coraz więcej polskich miast ma nie tylko nowe ścieżki rowerowe, ale przede wszystkim systemy wypożyczania rowerów miejskich. Dziś to ok. 80 systemów, w miastach i gminach. Za drobną opłatą można się przemieszczać w wyznaczonych granicach, nie posiadając nawet własnych dwóch kółek. Nie zapominajmy też o komunikacji miejskiej, która stale się rozwija, i to nie tylko w największych miastach. Transport zbiorowy to zaś redukcja śladu węglowego. Być może powinniśmy jako pasażerowie postawić na alternatywy dla przemieszczania się taksówką na aplikację. Jeśli nie dla przyrody i przyszłych pokoleń, to w imię solidarności z kilkudziesięcioma zgwałconymi i molestowanymi kobietami. Kobietami, które dziś czytają w gazetach, że prezesi wielkich korporacji w imię zysków otwarcie krytykują rozwiązania mające polepszyć bezpieczeństwo pasażerek.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Kłopotów przysparzać nie będziemy

**Wyszyński: Kościół nie podejmie żadnej akcji,
w której dążyłby do podważenia ustroju**

ZAPIS ROZMOWY PRYMASA Z MINISTREM KAZIMIERZEM KĄKOLEM

W maju nie tylko w mediach pojawiają się teksty w rocznicę śmierci prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego (28 maja 1981 r.). W większości publikacji autorzy będą się koncentrować, tak jak w poprzednich latach, albo na martyrologicznych epizodach z biografii prymasa, związanych z jego internowaniem, albo na konfliktach z władzami komunistycznymi w związku z obchodami milenijnymi, słynnym listem biskupów polskich do niemieckich czy peregrynacją obrazu Matki Boskiej. Stosunkowo niewiele będzie się pisać o działalności i kontaktach Wyszyńskiego z władzami w latach 70.

Ciekawe pod tym względem są zapisy Kazimierza Kąkole – w latach 70. kierownika Urzędu do Spraw Wyznań,

który spotykał się z Wyszyńskim kilkakrotnie. Publikujemy zapis jednej z najciekawszych rozmów, która miała miejsce w 1977 r. w Choszczówce, kilka dni po spotkaniu Wyszyńskiego z Gierkiem. W czasie rozmowy Kąkol prowadził notatki, a w rozmowie uczestniczył jeszcze sekretarz Episkopatu, bp Bronisław Dąbrowski. Notatka z rozmowy sporządzona została dla sekretarza KC PZPR Stanisława Kani, który z ramienia partii zajmował się m.in. kontaktami z Kościołem.

Prezentowany dokument pochodzi ze zbiorów Fundacji Archiwum Dokumentacji Historycznej PRL, z kolekcji Kazimierza Kąkole.

Grzegorz Soltysiak

„Przegląd”, 30 lipca 2001

Notatka z przebiegu rozmowy kierownika Urzędu do Spraw Wyznań Kazimierza Kąkole z ks. kard. Stefanem Wyszyńskim, odbytej w dniu 3 listopada 1977 r.

Rozmowa odbyła się na życzenie kard. Stefana Wyszyńskiego, przekazane za pośrednictwem sekretarza Episkopatu, bp. Bronisława Dąbrowskiego.

Formuła zaproszenia podkreślała fakt rekonwalescencji Stefana Wyszyńskiego, stąd propozycja odwiedzenia go na terenie Choszczówki.

Koncepcja rozmowy pozostawała w bezpośrednim związku z tematyką poruszoną w czasie spotkania I sekretarza ze Stefanem Wyszyńskim. Kardynał wielokrotnie nawiązywał do tego spotkania, określając je mianem doniosłego.

Stosunek do spotkania z tow. E. Gierkiem został mocno zaakcentowany na wstępie rozmowy. (...) Charakteryzując tok rozmowy w dniu 29 października, Stefan Wyszyński stwierdził: „Pan Gierek był miły, niezwykle ujmujący szczerością i zaangażowaniem, ważył słowa ogromnie. Zrozumiałem, że nie jest to moment dla spraw wypadkowych, ale dla podstawowych”.

Stefan Wyszyński z bardzo wyraźnym naciskiem oświadczył: „Jedno jest pewne, że od naszej strony – niezależnie od rozwoju sytuacji – kłopotów przysparzać nie będziemy. Kościół nie podejmie żadnej akcji, w której dążyłby do podważenia ustroju, zakwestionowania potrzeb państwa, zaogniania sytuacji. Nie stawiamy się *al pari* z państwem, partią, nie chcemy być sędziami. Rozumiemy doniosłe uwarunkowania geopolityczne. Władza może być pewna, że cokolwiek by podejmowała, nie będzie ze strony Kościoła działań obniżających jej autorytet”.

Nawiązując do niektórych dokumentów ogłaszanych przez Episkopat, próbował usprawiedliwiać prezentowane tam stanowisko – dążeniem do doinformowania władzy („tego jej, być może, ktoś inny nie mówi”) – bronił tezy, że dokumenty nie są wymierzone ani w ustrój, ani w interes społeczny.

Stefan Wyszyński podkreślał, że Episkopat nie jest związany instrukcjami Watykanu. Kolejni papieże mieli zróżnicowane podejście do problematyki sterowania Kościołami lokalnymi. Pius XII – sprawny

administrator – żądał lojalności wzajemnej wobec siebie, nie udzielał szczegółowych instrukcji, uważając, że nie może nas krępować. Jan XXIII – przeżył rozmówca, odsyłał po decyzje do Sekretariatu Stanu, gdzie próbowano uprawiać własną politykę („to nie chodziłem”). Paweł VI – wyrobiony, niespieszny, ma zaufanie do naszego doświadczenia. Tak więc Watykan nie narzuca swej polityki.

Stefan Wyszyński za najważniejsze uważa to, że możemy ze sobą mówić, „mamy zaufanie do stylu funkcjonowania, nacechowanego wyczuciem rzeczywistości i stawnym wymiarem poczyną”.

Kolejne partie wywodów Stefana Wyszyńskiego dotyczyły:

a) 60-lecia Rewolucji Październikowej i jego stosunku do komunizmu;
b) programu społeczno-gospodarczego rozwoju Polski;

c) sytuacji rynkowej i jej reperkusji;
d) aktywizacji Kościoła w dziele ugruntowania moralności społecznej;

e) wizyty I sekretarza w Watykanie.
60 lat socjalistycznej rewolucji obfituje w okresy ciężkie. Ma wątpliwości, czy potrzeba było przelać tyle krwi. Realizacja doktryny powinna



Inauguracja roku akademickiego 1978/1979 w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.
Od lewej: minister kierownik Urzędu ds. Wyznań Kazimierz Kąkol, rektor KUL o. Mieczysław Krąpiec OP, kard. Stefan Wyszyński, rektor ATK ksiądz Jan Piotr Stępień.

się zawsze odbywać z myślą o przyszłości – konieczna jest dbałość o to, by już w kolebce nie obciążać przyszłości.

Stefan Wyszyński zajmuje się od roku 1922 komunizmem, socjalizmem: jako uczeń, student, profesor nauk społecznych. Żartobliwie informuje, że nawet kiedyś stawał do konkursu z panem Gomuł-

Niektórych błędów można było unikać i polscy komuniści mają w tym zakresie zasługę. Wiele wątków doktryny można wyinterpretować tak, by nie obciążać dziedzicznie rewolucji. Elementy wspólnotowe, komunistyczne, egalitarne rewolucji stanowią jej trwały wkład do dorobku kultury światowej, wzbogaciły jej rozwój, dały pożyteczne impulsy.

Stefan Wyszyński podkreślał, że Episkopat nie jest związany instrukcjami Watykanu.

ką na temat znajomości doktryny i historii marksizmu-leninizmu. Komunizmem zajmował się w okresie międzywojennym inaczej, w sposób nacechowany obawą przed ewentualną inwazją. Dziś jest to rzeczywistość polityczna i nie ma miejsca na jakieś tego typu wątki.

Razi go multiplikacja dziejów rewolucji w różnych narodach bloku socjalistycznego. Tu już krew na pewno nie była potrzebna i praktyki typu beriowskiego, gdyż jest oczywista stabilność podziału świata na sfery wpływów, z którym generalnie wszyscy się pogodzili.

Filozofia marksistowska jest jednostronna i zbyt uboga, ekonomia kolektywistyczna także na pewno ulegnie modyfikacji, ale to, co zrobiła rewolucja przez zwrot ku człowiekowi, pozostanie trwałym. (...)

Może się przydam

Koncepcja ekonomicznego rozwoju kraju może budzić wątpliwości. Nie odbywa się on w izolacji od świata, tym bardziej istnieje możliwość wyprofilowania tego rozwoju w kierunku rolniczo-przetwórczym, a nie wielkoprzemysłowym.

Stefan Wyszyński nawiązał tu do rozmowy z I sekretarzem, stwierdzając: „Pan Gierek przekonywająco mi wyłożył, że wielkie inwestycje są niezbędne dla zdobycia swobody w przebudowie rolnictwa. Geologiczne uwarunkowania sprzyjają takiemu wyprofilowaniu gospodarki. Słuszna jest też koncepcja rozwoju miast wojewódzkich i innych, ale wieś musi zostać; wokół miast nie może być pustki, nie może być *vacuum*. Trzeba wsi dać poczucie bezpieczeństwa, a nie huśtać jej tak, jak to czynią ignoranci gazetowi. Są ambicje produkcyjne – nie wolno ich podcinać”.

Są to sprawy ważne dla losów narodu. Kto Polskę ratował w czasie okupacji: wieś i las. Wieczne schorzenie, trapiące Niemców, będzie dawać o sobie znać – nie wyrzekną się prób ustawiania nas w sposób dla siebie dogodny. Trzeba dbać o sojusze naturalne (jak to mówi p. Gierek). I trzeba dbać o wieś, by terytorium nie było puste.

Sprawa zaopatrzenia musi być potraktowana jako temat nr 1. To zjawisko musi zniknąć, gdyż oznacza ogromne marnotrawstwo sił i energii, tworzy zły nastrój w całej Polsce, jest społecznie niebezpieczne.

► Na tle braków w zaopatrzeniu powstają poważne problemy moralne – absencji, dyscypliny pracy, sumienności i rzetelności w pracy – hasło ratuj się, jak możesz, jest groźne i destrukcyjne. (...)

Działanie Kościoła na rzecz umocnienia dyscypliny, podniesienia moralności zawodowej, etyki zawodowej – zgodnie z oczekiwaniami p. Gierka. Jesteśmy gotowi – potrzebne są większe możliwości w dziedzinie środków przekazu społecznego. (...)

Podróż I sekretarza do Rzymu i ew. wizyta w Watykanie to wydarzenie doniosłe. Paweł VI zwrócił się przed rokiem zapytaniem, co sądzę o ewentualności spotkania z I sekretarzem.

Przekazałem Pawłowi VI *aide-mémoire*, opowiadając się za takim spotkaniem. Pan sekretarz może być spokojny, zostanie uszanowany w Watykanie. Przyjmą go tam z szacunkiem należnym narodowi milenijnemu i przywódcy tego narodu.

Kto Polskę ratował w czasie okupacji: wieś i las.

Stefan Wyszyński informuje, że przedłuży swój pobyt w Watykanie do pierwszych dni grudnia – „może się na coś przydam, być może wysunę jakieś pożyteczne sugestie”.

(W tym miejscu nastąpił obszerny wywód na temat osobowości publicznoprawnej Kościoła – o czym dalej).

Gdyby I sekretarz chciał zaprosić Pawła VI do Polski, to byłoby to chyba najbardziej słuszne. Przeszkody, na które napotykał ew. przyjazd do Polski Jana XXIII i Pawła VI, zostały usunięte. Paweł VI mógłby przyjechać w maju 1978 r. (dodaje, śmiejąc się, oczywiście nie 3 maja).

Konkluzja końcowa: „Przyjazd papieża miałby chyba jeszcze większe znaczenie niż spotkanie Edwarda Gierka z prymasem Wyszyńskim”.

Status publicznoprawny Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce – stanowi przedmiot marzeń i dążeń Stefana Wyszyńskiego.

Traktuje tę pozycję Kościoła jako zdeterminowaną, starą tradycję,

sięgającą roku tysięcznego („już wtedy była przesądzona ta sprawa przez fakt obecności cesarza Ottona III i wielu kardynałów” – „uzasadnia takie rozwiązanie dziejowy dorobek Kościoła”, osobowość publicznoprawna nie musi być żadnym aktem nadawana, można milcząco przyjąć, że tak jest).

Stefan Wyszyński nie sądzi, żeby było docelowe zajmowanie się tą sprawą teraz w Watykanie, ale jest to problem wymagający spokojnego rozważenia. (...)

Tezy w 45 minut

Wypowiedź moja, trwająca ok. 45 minut, skonstruowana była w oparciu o następujące tezy:

I. Novum w rozwoju stosunków między państwem a Kościołem polega na tym, że dochodzi do porozumienia między pryncypialnymi komunistami, wiernymi swej ideologii, a Kościołem, wiernym swej misji. Nie oczekujemy od Kościoła,

by się wyrzekł swej misji, mamy natomiast prawo żądać, by rzetelnie i uczciwie oceniał rezultaty misji pełnionej przez polskich komunistów w interesie narodu.

II. Nie cieszymy się ze zjawisk negatywnych wśród duchowieństwa, choć ich przecież nie brak – chcemy, by porządni duchowni oddawali sprawiedliwość władzy ludowej.

III. Zakusy sił nam wrogich zmierzają do tego, by Kościół, który jest autentyczną siłą społeczną, wprząc w rydwan polityki nie tylko antykomunistycznej, ale wprost antypolskiej. Są to nadzieje, jak dotychczas, a w świetle tego, co usłyszałem z ust kardynała, dzisiaj, także w przyszłości – płonne i złudne. Ta postawa Kościoła w decydującej mierze wynika z autorytetu i osobistej postawy Stefana Wyszyńskiego. Nie aprobujemy wielu poszczególnych wystąpień, mających cechy demagogii socjalnej – ale dostrzegamy patriotyzm i dążenie do konstruktywnego dialogu. (...)

Reakcja wielu przedstawicieli władz na wiadomość o chorobie kardynała pozwoliła mi na uświadomienie, że reagując negatywnie na niejedne jego poczynanie, dostrzegają poza nimi elementy linii stwarzającej możliwość wzajemnego zrozumienia.

IV. Krytycznie oceniłem ostatnie wystąpienie Stefana Wyszyńskiego (list na tydzień miłosierdzia) i Episkopatu (środki społecznego przekazu, emerytury dla rolników) – dowodzą one istnienia w Episkopacie sił stojących na innych pozycjach niż Stefan Wyszyński. Dają o sobie znać w duszpasterstwie akademickim, w przekształcaniu sacrosongu w arenę politycznych dysydentów, w tworzeniu konspiracyjnej niemal organizacji młodzieżowej na bazie „służby ołtarza”, w przekształcaniu pielgrzymki warszawskiej w demonstrację polityczną; w samowoli budowlanej, w penetracji KIK-ów przez czynniki dysydenckie. Czy kierownictwu Kościoła wymyka się to z rąk, czy też jest uprawiana podwójna gra?

V. Kokietowanie Kościoła przez dysydentów politycznych. „Gracze” i ich cynizm.

VI. Dysydencka impreza polityczna we Włoszech – u progu wizyty tow. Gierka z udziałem naszych „graczy”. Sołżenicyn jako *persona grata* tej imprezy. Co o nim pisze „Die Zeit”;

VII. Wyjazdy biskupów *ad limina* w cieniu trumien z Bud Łańcuckich* (Stefan Wyszyński nie wiedział o tragedii – przejął się nią wyraźnie). Stwierdziłem, że mam pretensje do S. Wyszyńskiego za niepoważny sposób potraktowania naszej dokumentacji w sprawie [bp. Ignacego] Tokarczuka (zarzut przyjął – próbował na obronę Tokarczuka przytaczać dane o zagrożeniu ukraińskim).

Rozmowa została niemal kategorycznie przerwana przez Marię Okońską, która oświadczyła, że jest to już o wiele za dużo jak na stan zdrowia rekonwalescenta.

Stefan Wyszyński konkludował, „że w każdej chwili gotów podjąć rozmowy na nowo i prosi przyjąć do wiadomości, że wszystko, co robi bp Dąbrowski, jest przez niego autoryzowane”.

NOTATKA UZUPEŁNIAJĄCA

Dla atmosfery spotkania charakterystyczne były m.in. relacje typu anegdotycznego czy na poły żartobliwe interpretacje wydarzeń. Tak więc S.W.:

- z ironiczną zgryźliwością informował, jak to w Gnieźnie ustawiono kardynała Höffnera do fotografii pod tablicą z brązu, wmurowaną z okazji 975-lecia metropolii gnieźnieńskiej, w skład której wchodziły diecezje koszalińska i wrocławska;

- opowiadał o swym antagonyzmie z kard. Slipyem, o jego obnoszeniu się z godnością patriarchy i radzie, jakiej on, Wyszyński, miał mu udzielić: „Chcesz być naprawdę patriarchą, to w Rostowie nad Donem”;

- na wyrażoną przeze mnie chęć prowadzenia notatek zareagował uwagą, że „w tym pokoju można mówić całkowicie bezpiecznie, jest on szczelny, nic poza te ściany się nie wydostanie”; na moją replikę, że „w żadnym miejscu nie mówię niczego poza tym, co mówię głośno i publicznie” – odpowiedział „przepraszam”;

- z wyraźnym zadowoleniem przytoczył wymianę zdań z premierem Jaroszewiczem, który, częstując go (w 1971 r.) bardzo smacznym sosem, informował, że licencja francuska na wytwarzanie takiego specjału kosztowała 17 tys. dol.; S.W. miał rzekomo powiedzieć, że polscy specjaliści za 2 tys. dol. zrobiliby coś

dodającą majestatyczności; zapytał, czy rzeczywiście odbieram to jako kreowanie majestatyczności; z mojej odpowiedzi, że dostrzegam w tym zwrocie raczej nutkę autoironii – był wyraźnie zadowolony;

- na dowód, że niesłusznie traktujemy go jako człowieka konserwatywnego, wskazał artykuł w „Stolicy”

Stefan Wyszyński zajmuje się od roku 1922 komunizmem, socjalizmem: jako uczeń, student, profesor nauk społecznych.

lepszego; po tej wypowiedzi ów smaczny sok przestał być tematem rozmowy;

- opowiada o żartobliwej próbie zrewidowania go przez uczestników kolejki przed sklepem na Żeraniu – rozchylił skrzydło peleryny, żeby pokazać, że niczego poza kolejką nie kupił;

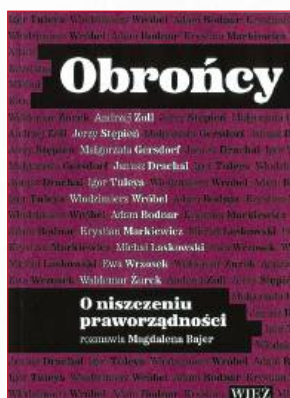
- po użyciu zwrotu, że spotkanie tow. E.G. z papieżem „miałoby większe znaczenie niż spotkanie E.G. z prymasem Wyszyńskim” – zapytałem, czy często posługuje się na określenie siebie trzecią osobą,

– mówiąc – „Nie ma kraju, gdzie kardynał bratby w Pałacu Prymasowskim ślub cywilny”; istotnie, pierwszym nowożeńcem, który wziął ślub cywilny w USC mieszczącym się w Pałacu Prymasowskim, był obywatel o nazwisku Tadeusz Kardynał.

K.K.

* Mowa o wypadku podczas prac zleconych przez miejscowego proboszcza przy wykopie pod instalację przewodów centralnego ogrzewania bez wymaganego zezwolenia i nadzoru budowlanego. Zawał wykopu spowodował śmierć trzech pracujących tam mieszkańców Bud Łańcuckich.

KSIAŻKI

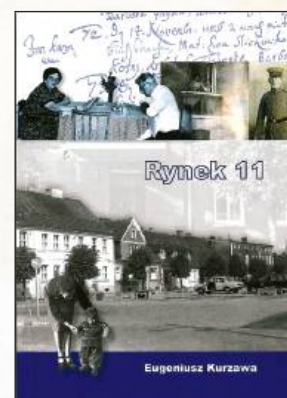


Magdalena Bajer
Obroncy
O niszczeniu praworządności
 Wydawnictwo Wiedź
 Warszawa 2023

W zebranych rozmowach wybitni prawnicy zaangażowani w obronę Trybunału Konstytucyjnego (Andrzej Zoll, Jerzy Stępień, Małgorzata Gersdorf, Janusz Drachal, Igor Tułeya, Włodzimierz Wróbel, Adam Bodnar, Krystian Markiewicz, Michał Łaskowski, Ewa Wrzosek i Waldemar Żurek), opowiadają Magdalenie Bajer, jak rządy PiS doprowadziły w Polsce do destrukcji wymiaru sprawiedliwości. Wyjaśniają skomplikowane kwestie prawne. Tłumaczą, dlaczego powstałe szkody są tak niebezpieczne dla funkcjonowania państwa i życia obywateli. Mówią o tym, co w przeszłości należało zrobić lepiej, ale i o tym, jak można naprawić zniszczenia. To – jak stwierdza w przedmowie prof. Ewa Łętowska – „rozmowy czasu niepokoju” z ludźmi, którzy broniąc praworządności, nierzadko spotykali się z represjami. Ten zbiór wywiadów to także ważne świadectwo polskiej historii.

Eugeniusz Kurzawa
Rynek 11
 Wilkanowo –
 Zielona Góra 2024

Luźny zbiór opowieści z życia autora odśladania jego biografii oraz historię rodzinnego domu. Scenerią i centrum wspomnień jest tytułowy Rynek 11 w Zbąszyniu, adres rodzinnego domu, miejsce, do którego Eugeniusz Kurzawa chętnie wraca pamięcią. „W mojej najbliższej rodzinie nie przywiązywano wagi do głęboko w przeszłość sięgających tradycji rowowych. (...) Nie występowała – a może się mylę – duma z nazwiska czy rodowodu. Istniała w ogólnej świadomości najbliższa familia, ale już coś ujmowanego szerzej, jak ród, nie pojawiała się w żadnym kontekście”, píše autor, a zbiorem tym zaprzecza niejako owej „tradycji”. O swoich korzeniach píše ciepło i z czułością.



Jak odbudować lewicę?

Krzysztof Janik

Zacznę od rzeczy oczywistej. Nie odbieram Włodzimierzowi Czarzastemu zasług w powrocie lewicy do parlamentu, do obiegu publicznego. Po operacji z Magdą Ogórek utrzymanie struktur, tchnięcie ducha nadziei w resztówkę po SLD (proces erozji rozpoczął Leszek Miller decyzją o wystawieniu Ogórkowej), determinacja w trwaniu i przetrwaniu przyniosły Czarzastemu sukces. Bronić będę kolejnej decyzji o sojuszu wyborczym, a potem połączeniu z Wiosną Roberta Biedronia. Znałem tamten SLD jak zły szeląg. Widziałem zaskorupione struktury Sojuszu, tych weteranów, moich rówieśników, którzy tęsknili za minionymi laty i minionymi wpływami politycznymi. Dla nich nowi z Wiosny byli zagrożeniem

podzielać lewicowe poglądy, ale się na nich nie głośnie.

Syndrom knajpy

Partia polityczna w Polsce jest jak restauracja. Chodzimy do niej niechętnie (poza miłośnikami żywienia zbiorowego), ale jest niezbędna. Nigdzie tak świetnie się nie pije i nie zakąsa jak w knajpie. Nie marudzą, dają, co chcesz, i jeszcze namawiają, abys coś zamówił. Nie zawsze nas na to stać, ale uwielbiamy to rozwiązanie. Podobnie podchodzimy do innych sfer życia, w tym do polityki.

A co widzimy na lewicy? Na pozór niezły szef knajpy, znośni kierownicy sal, przystojni kelnerzy, fajne kelnerki – wszystko to trzymane krótko „za mordę” przez kierownika. Nazwa dobra, neon się świeci i nawet przebiega wśród innych. Tylko kucharza nie

widzi. Ten rząd jest najbardziej partyjny ze wszystkich dotychczasowych. W poprzednich kierownictwach resortów było dużo mniej funkcjonariuszy partyjnych, więcej kucharzy. I dlatego jakoś to szło. Teraz iść nie chce i skala rzezi, którą niedługo urządzi Tusk swoim ministrom i ich zastępcom, może nieźle zaskoczyć. Ale cóż, Panie i Panowie, najpierw należy sprawdzić, co lubi jadać lud, a potem nauczyć się dobrze to gotować. Zanim zabierzecie się do kotła, trzeba zacząć od podkuchennego. O tym, jak się dobrze gotuje, piszą w internecie, ale umiejętność czytania nie znaczy, że się umie gotować.

Jest jeszcze inne wyjście. Mamy dobrą załogę, ale do kuchni podnajmujemy kucharzy z miasta. W kraju znajdą się dziesiątki, jeśli nie setki ludzi o lewicowych poglądach, którzy potrafią gotować. To, że kierownik restauracji ich nie zna i nie ma do nich telefonu, nie jest problemem. Problem w tym, że z góry zakłada się, iż „nie są nasi”, nie możemy mieć do nich zaufania. My chcemy wmówić Polkom i Polakom, że należy jeść kalmary w sosie winegret (wszak jesteśmy Europejczycy), a oni twierdzą, że furorę zrobią placki ziemniaczane. Tą drogą nie pójdziemy, bo rolnicy na nas nie głośnie.

To może teatr?

Ponieważ nie wszyscy politycy Nowej Lewicy chodzą do knajpy, to przykład z innej bajki, a właściwie teatru. Na sukces spektaklu (a polityka to nieustający spektakl) składa się pospół dyrekcja teatru, reżyser spektaklu, scenograf, kostiumolog, akustyk, scenarzysta i aktorzy. Ważna jest ta pierwsza, bo ona znajduje reżysera, a on proponuje tytuł przedstawienia i jego przesłanie ideowe. Ale najważniejsi w polityce są reżyser i scenarzysta. Ten drugi odpowiada za prowadzenie głównego wątku, selekcjonuje wątki poboczne, pisze dialogi i wymyśla sceny, które mają zapaść widzom w pamięć. Widzi przesłanie

Nowa Lewica ma coraz słabsze struktury terenowe.

dla dotychczasowych pozycji i hierarchii wpływów, ale wpuszczenie do tego stawu nowych ryb było warunkiem przetrwania.

Wiedziałem, że te ryby będą różne: piranie i kielbie, szczupaki i płocie. Większość pochodziła z rozmaitych NGO, nie miała doświadczenia politycznego, ale miała przekonanie o społecznym poparciu dla swoich idei. Inni sądzili, że polityka państwowa niczym się nie różni od przesłania NGO: trzeba opowiadać to, co słuszne, a nie to, co możliwe. Ale Biedroń wniósł na lewicę nowy język i nowych ludzi – i to już był sukces. Niestety, rację mieli ci, którzy mówili, że przejściowy. Bo te piękne hasła nijak się miały do podstawowego kryterium użyteczności politycznej – nie prowadziły do sprawczości politycznej. Cóż to za partia, która nie różni się od klubu dyskusyjnego – lewica sobie pogadająca i ogłosiła słuszne poglądy, ale nic z tego nie wynika. Można ich lubić,

ma. Ładna knajpa, tylko dania niestrawne. Aborcja – danie szanowane i dla zdrowia społecznego potrzebne, tylko dość rzadko zamawiane. Podobnie z LGBT. Natomiast nasze polskie schabowe – problemy, którymi żyje przeciętny Polak (i Polka), rzadko obecne. Z hukiem zapowiadane (program mieszkaniowy ogłoszony w Wiedniu, hasło: SMS Lewicy – Szkoła, Mieszkanie, Szpital), ale niedowiedzione. A w polityce liczą się nie intencje, lecz decyzje. Możemy o PiS myśleć, co chcemy, ale sprawczości nie sposób mu odmówić. Podejmowało decyzje niekiedy nierozumne i wbrew długofalowym interesom kraju, ale wprowadzało je w życie. Takiej władzy oczekuje lud i tego oczekuje od polityków.

Wydaje mi się, że ludzie lewicy – także młodzi ministrowie i wice – tego nie rozumieją. Ta uwaga nie dotyczy jedynie Nowej Lewicy. Także Donald Tusk – najinteligentniejszy z obecnie aktywnych polityków – to

ideowe reżysera i dopasowuje do niego scenariusz działania. W jego zamysł wrzegają się pozostali, w tym pracownicy techniczni teatru. Dzięki temu zbiorowemu wysiłkowi powstają spektakle wybitne, a jak go brakuje, powstają gnioty. Na te ostatnie widzowie też chodzą, bo kochają ten teatr, choćby tkwił on w estetyce XIX w., lub przeciwnie – w estetyce wieku XXII.

Tylko nie o to chodzi. Teatr przetrwa nie dzięki sentymentowi starych widzów albo entuzjazmowi najmłodszych, lecz dzięki temu, że wyjdzie

poniewierane przez przemocowych mężczyzn, blokowane przez głupich przełożonych, domagające się równych praw w domu, w pracy i na ulicy. Potem osoby LGBT i liczne grupy i grupki czujące się w Polsce niekomfortowo. Ale rocznik statystyczny tu jest nieubłagany. Te grupy, choć ważne, stanowią mniejszość. Nikt polskiej lewicy nie odbierze miana reprezentanta tych grup, nie musimy nieustannie przypominać, że bronimy praw kobiet, praw LGBT. Ale kobiety to też ludzie: nie mają mieszkań i nadziei na

z końcem. I po prostu nam nie wierzy. Bo kto naciśnie pracodawców, aby mimo mniejszego wkładu pracy płacili zatrudnionym tak samo? Jak my sobie to wyobrażamy? Co zrobimy z ludźmi, którzy pracują na akord? Jeśli wiemy, co to jest akord. Państwo polskie zatrudnia prawie 3 mln ludzi w administracji i w usługach publicznych. Nie umie zadbać o nich, bo płaci im podle, to zadba o pozostałe 15 mln? Tak sobie Jasiu myśli. A czy lewica coś robi, aby pomyślał inaczej?

Czy mamy jakąś politykę gospodarczą i twarze tej polityki? Zdażę mi się, ale mogę się mylić, że nie ma wiceministrów z Nowej Lewicy w resorcie finansów czy gospodarki. Nie mamy programu czy nie mamy ludzi? Czy ktoś chce cokolwiek w tym zakresie od Belki, Kołodki lub Hausnera? A może oni nie są wystarczająco lewicowi? Na pewno za starzy, ale wychowali mnóstwo (każdy co najmniej kilkunastu) młodych, zdolnych ekonomistów. Niektórzy z nich są już profesorami. Czy ktoś poprosił naszych premierów o ich nazwiska?

Budowanie partii

Nowa Lewica idzie w stronę partii parlamentarnej. Jeszcze. Ma coraz słabsze struktury terenowe – gdzie ▶

W ostatnich wyborach samorządowych na 277 powiatów ziemskich komitety z lewicą w nazwie były tylko w 41 powiatach.

do szerokiej publiczności. Ona kupi bilety i przyniesie pieniądze. To jest kapitalizm. Nie zarabiasz – upadasz. A twoich widzów wezmą inne teatry.

Teatr Nowej Lewicy dysponuje wybitnymi aktorami. Co prawda, dyrekcja ma swoje typy – czasem lansuje nie tych najlepszych, a czasem ci najlepsi zapomną tekstu. To się zdarza. Najgorzej, kiedy ci aktorzy nie słuchają reżysera lub scenarzysty, wplatają w tekst swoje wątki, odgrywają scenki, które nie mieszczą się w scenariuszu. Jeśli widzowie ich nie dostrzegają, uciekają się do knajackiego języka. Ujawniają własne fobie i myślą cele osobiste z formacyjnymi. Partia jest dla nich narzędziem robienia kariery. Tyle że oni nie istnieliby bez partii, a partia bez nich świetnie da sobie radę. Tylko nie ma kto im o tym powiedzieć?

O czym jest lewica

Banałem jest twierdzenie, że lewica jest ugrupowaniem najstarszych, wykluczonych. W Polsce mamy ich mnóstwo: młodzi bez mieszkań i perspektywy na nie, starzy zagubieni w tych swoich domach, bo córka w Anglii, a syn w Warszawie, miliony pracujących i bezradnych wobec drożyny. Przede wszystkim zaś prowincja, z której uciekają ludzie, a ci, co zostali, są bez szans na awans społeczny, bez łączności, komunikacji, lekarza i opieki społecznej. Potem idą następni, wśród nich kobiety

nie, mają byle jaką robotę, nie wiedzą, czy w pierwszej kolejności zająć się opieką nad dziećmi, czy nad niedołączonymi rodzicami. Tych ostatnich, emerytów i rencistów, jest 9,5 mln, a rocznie przybywa ich ok. 500 tys. Jaką ofertę lewica ma dla nich?

Miliony ludzi, dokładnie 18 mln Polek i Polaków, chodzą do pracy. My nie mówimy, że większość zarabia byle jak i niekiedy jest traktowana jak ludzie gorszego sortu. My mówimy o czterodniowym tygodniu pracy. Siada Jasiu i myśli, że to oznacza mniejsze zarobki. A on z trudem wiąże koniec



The advertisement features a large, faded portrait of Fiodor Dostojewski on the left. To the right is a smaller image of the book cover for 'WIECZNY MAŻ' by Fiodor Dostojewski, which depicts a family scene. The MG logo is visible in the top right corner of the book cover. Below the images, the website address www.wydawnictwomg.pl is displayed.

► się da, wiszące na biurze parlamentarnym. A gdzie się nie da, to trwające dzięki determinacji ludzi z dawnego SLD, którzy – idąc za przykładem Kwaśniewskiego – zwleką się z łóża boleści i pójdą zagłosować na lewicę. Jak będzie na co. W ostatnich wyborach samorządowych na 277 powiatów ziemskich komitety z lewicą w nazwie były tylko w 41 powiatach (PiS nie było w jednym, Platformy, podobnie jak Trzeciej Drogi, w trzech). Z wyborów na wybory coraz mniej. Oczywiście ludzi lewicy nie brakowało. Byli na listach Nowej

które obecne były przede wszystkim na ekranach telewizorów, w głośnikach radiowych i mediach społecznościowych. Nie było ich wśród ludzi, ich działacze nie chodzili po domach, jeździli tylko do swoich. To droga donikąd, chyba że chodzi o to, aby przytulić się do kogoś innego. Ale wtedy lewicę odbudowywać będą wnuczki obecnych postów. O ile nie nauczą się od nich zarozumialstwa i braku pokory.

Po pierwsze zatem – odbudowa partii. Właśnie wybory samorządowe powinny służyć zobrazowaniu prawdziwego stanu partii, a tam, gdzie jej

te stowarzyszenia, ruch spółdzielczy, stowarzyszenia emeryckie, które kiedyś współtworzyły Sojusz Lewicy Demokratycznej? Jedno wiem na pewno. Kiedy ostatnio odbywało się Walne Zgromadzenie Stowarzyszenia Pokolenia, które zakładał Jurek Szmajdziński, a przewodniczyli mu m.in. Staszek Gabrielski czy Jerzy Jaskiernia, pomimo zapewnień nikt z kierownictwa Nowej Lewicy nie przyszedł. Nawet nie byli uprzejmi uprzedzić. Stowarzyszenie skupia ponad 7 tys. byłych działaczy socjalistycznego ruchu młodzieżowego. Było nam po prostu przykro.

Po trzecie – trzeba zmienić język. Z „wypierdalajcie” na „przyjdźcie”, „chodźmy razem”. Mniej wykluczania, a więcej języka wspólnotowego. Chociaż w tym zakresie dotrzymajcie lewicowej tradycji. Jest w niej miejsce na empatię, na pokorę, na wzruszenie, na ludzkie odruchy. Nie ma na butę i arogancję, wymądrzanie się i odpychający język. „Srala-mądrala”, komentując niektóre wystąpienia lewicowych polityczek i polityków moi studenci. Nie mają racji, ale może trochę tak?

Przed partią trudne czasy. Za chwilę wybory europejskie za rok prezydenckie. Trzeba sięść i się zastanowić. Nie, „co mówimy”, ale „co i jak robimy”. Inaczej za rok zgłoszę ten sam tekst. Jak Redakcja nie będzie chciała, to wykupię go jako płatne ogłoszenie. Żeby nie było, że jak moja lewica, której poświęciłem kawał życia, będzie w kłopotach, to milczałem.

Krzysztof Janik jest wykładowcą w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Trzeba zmienić język. Z „wypierdalajcie” na „przyjdźcie”, „chodźmy razem”. Mniej wykluczania, a więcej języka wspólnotowego.

Lewicy, lokalnych komitetów, Koalicji Obywatelskiej, a nawet Trzeciej Drogi. Ze smutkiem patrzyłem na byłych postów SLD, przewodniczących instancji wojewódzkich, którzy swoimi nazwiskami ozdabiali konkurencyjne listy. Coś poszło nie tak.

Uwaga historyczna, chociaż pewna część polityków lewicy uważa, że lewica, a nawet Polska, zaczęła się od momentu, kiedy oni zabrali się za politykę. Historia III RP skonfrontowała dwa modele istnienia partii politycznych. Jedna droga to PSL – ograniczony historycznie do wsi, ale utrzymujący tam stabilne struktury i coraz śmielej wychodzący do miasta. Druga droga to Unia Wolności, Ruch Palikota i inne, zapomniane już dziś partie,

nie ma, trzeba zbudować ją na nowo. Założyć sandały (że zacytuję Marka Dyducha sprzed 20 lat) i chodzić, chodzić i rozmawiać. Nawet gdy na spotkanie przyjdą trzy osoby (a sam pamiętam takie spotkania), to może choć jedna weźmie się do odbudowy lewicy. Upodmiotowić tych ludzi, niech coś od nich zależy. Mniej przemawiać (a do tego służą zwłaszcza media społecznościowe), a więcej rozmawiać. I pielęgnować demokrację wewnątrzpartyjną, bo w niej uczymy się sztuki zwyciężania w uczciwej konkurencji.

Po drugie – odbudować społeczne otoczenie lewicy. Nie wiem, jak często kierownictwo Nowej Lewicy spotyka się z Ostrowskim, wiem, że nikt o tym nie wie. A gdzie są te NGO,

W dniu 22 kwietnia 2024 r. zmarł
w Krakowie

Prof. dr hab. Hieronim Kubiak

emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Socjolog polityki i polskiej diaspory. Były Członek Biura Politycznego i Sekretarz KC. Przedstawiciel reformatorskiego skrzydła PZPR, współtwórca Okrągłego Stołu i aktywny uczestnik przemian ustrojowych w Polsce roku 1989. Wychowawca i przyjaciel wielu pokoleń studentów. Dobry i życzliwy ludziom człowiek.

Cześć jego pamięci!

Jan Widacki

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość,
że 22 kwietnia 2024 r. zmarł

Hieronim Kubiak

profesor zwyczajny, socjolog przez całe życie zawodowe związany z Krakowem, z Uniwersytetem Jagiellońskim, a potem z Krakowską Akademią im. A. Frycza Modrzewskiego, specjalista w zakresie socjologii narodu i migracji oraz socjologii polityki, człowiek lewicy, związany z reformatorskim skrzydłem PZPR, członek założyciel Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”, wieloletni prezes Stowarzyszenia „Kuźnica”, następnie prezes honorowy „Kuźnicy”, laureat Kowadła Kuźnicy, w Polsce Ludowej działacz studencki w ZSP, wybitny działacz państwowy: autor tzw. raportu Kubiaka nt. przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w PRL, sekretarz KC PZPR i członek Biura Politycznego KC PZPR, uczestnik obrad Okrągłego Stołu.

Żegnaj, Profesorze!

Prezes i Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”, Kuźniczanie



Mural Modzelewskiego

Mamy mural Karola Modzelewskiego! Został odsłonięty 24 kwietnia na warszawskich Bielanych. Powstał w miejscu nieprzypadkowym – na ścianie bloku, który Modzelewski mijał codziennie, idąc ze swojego mieszkania dokarmiać bezpańskie koty w ogródkach działkowych. Autorem pracy jest Wilhelm Sasnal, jeden z najśłynniejszych polskich artystów, który przyjaźnił się z Karolem Modzelewskim i jego żoną.

Na uroczystości odsłonięcia muralu zebrało się kilkadziesiąt osób. Żona, córka, przyjaciele, Ryszard Kalisz, Wiesław Uchański. Marian Turski wyliczał autorytety w swoim życiu: „Nasuwały się nazwiska Władysława Bartoszewskiego, Leszka Kołakowskiego, Marii Janion, Barbary Skargi, Jerzego Turowicza,

Jacka Kuronia... Karola Modzelewskiego”. I puentował: „Było w moim życiu kilka momentów mocnego wahania. Wtedy miałem szczęście, że mogłem przyjść do Karola, mogłem się, młodszemu ode mnie, zwierzyć, zaufać, wysłuchać jego rady. Gdybym częściej przychodził, byłbym lepszym człowiekiem”.

Seweryn Blumsztajn, przyjaciel Modzelewskiego, mówił: „Nie wiadomo, dlaczego ten Modzelewski ma na nas patrzeć z góry. Nie pasuje do obrazu polskiego bohatera, który z nieba nas pozdrawia. Przede wszystkim z tą polskością nie jest najlepiej. Ani ojciec Rosjanin, ani matka rosyjska Żydówka nijak nie pasują. Czy wzorem polskość może być komunistyczne dziecko, które do końca – mimo lat więzienia – nigdy się z tych idei nie

wyleczyło? Miał 18 lat, gdy jako łącznik z ruchem studenckim trafił do Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu. Robotnicy, z którymi przygotowywał się w FSO do odparcia radzieckich czołgów, byli jak postacie z młodzieżowych komunistycznych lektur. Pokochał ich na zawsze i na całe życie został już dzieckiem robotniczej rewolty 1956 r.”. I dodawał: „O robotnikach spotkanych w FSO czy wrocławskiej Solidarności mówił zawsze z ogromną czułością i nie mógł przeboleć, że zniszczył ich walec transformacji”.

Grzegorz Pietruczuk, burmistrz dzielnicy Bielany, przypomniał słowa Modzelewskiego, które – jak podkreślał – „są adekwatne również do tego, co się dzisiaj dzieje, i ukazują, jakim człowiekiem był profesor. Z triady wolność-równość-braterstwo ponieśliśmy na polu tych dwóch ostatnich poważną porażkę. Wyszła nam tylko wolność, ale bez równości i braterstwa jest zagrożona i nie może ograniczyć się do wolności przepływu kapitału finansowego”.

„Tak się szczęśliwie składa, że po raz kolejny zostałem zaproszony, by zaprojektować mural kogoś, kto jest bardzo ważny, jeśli chodzi o azymut moralny – to z kolei słowa Wilhelma Sasnala.

– To chwila, w której widzę jakąś sprawczość sztuki, gdy działa jako dobry pomnik. (...) Burmistrz przywołał triadę wolność-równość-braterstwo. Dla mnie z tej triady wolność była najważniejsza. I paradoksalnie dopiero teraz uczę się i rozumiem, że bez tych dwóch pierwsza nie istnieje. I to, co zbieramy w świecie, jest tego pokłosiem”. *RAW*

LIST

✉ Odwołuj albo ptać

Sprawę niezgłaszania się pacjentów na umówiony termin w przychodni (PRZEGLĄD nr 17) przedstawiam na przykładzie badań endoskopowych przewodu pokarmowego, czyli najczęściej gastrokopii i kolonoskopii. W pracowni, w której pracuję, umawiamy na każdy dzień 10-12 pacjentów, w tym pięciu-sześciu do badań kolonoskopowych. Na takie badanie rezerwujemy ok. 30 minut, chociaż niekiedy trwa ono dłużej. Z umówionych 10 pacjentów najczęściej nie zgłasza się jeden czy dwóch, ale bywa, że więcej. Kolejne osoby przychodzą na wyznaczone godziny, mamy zatem w ciągu dnia kilka półgodzinnych przestojów. To zmarnowane ok. 20% „mocy przerobowych”. Można by w tym czasie zdiagnozować kilku poważnie chorych pacjentów, tygodniami czekających na swój termin, czyli kolejki mogłyby być o jedną piątą krótsze. W sytuacji tego rodzaju diagnostyki informacja telefoniczna o rezygnacji w przeddzień badania (a bywa, że nawet rano w zaplanowanym dniu badania) niczego nie rozwiązuje. Do takiego badania chory musi zacząć

się przygotowywać dwa-trzy dni wcześniej, więc z dnia na dzień nie możemy wypełnić tej luki, zapraszając innego pacjenta. Autor wspomina o francuskiej propozycji kary w wysokości 5 euro. To śmieszne. Znam przykład włoski, gdzie w komercyjnej placówce pacjentom niezgłaszającym się w wyznaczonym terminie automatycznie potrąca się z konta 100 euro i zwrot tej kwoty jest możliwy tylko wtedy, gdy chory wykaże nadzwyczajne powody absencji (nagła hospitalizacja, wypadek itp.). Znam też przykład turecki, gdzie w ramach ubezpieczenia (podobnego do naszego NFZ) badanie tomograficzne proponowano pacjentce na godz. 2.30 najbliższej nocy. Szybko, ale dlaczego w nocy? Bo to sprzęt szpitalny, w dzień wykonujący badania tamtejszych chorych, ale w nocy wolny. Można? Można. Zauważam też w ostatnich latach, że pacjenci komercyjni, płacący za badania, są bardziej zdyscyplinowani niż ci z NFZ. Jako człowiek lewicy od zawsze, zaczynam mieć w tym momencie rozterki etyczne...

Dr n. med. Zbigniew Kulak, specjalista chirurg

NATO na rozdrożu

Nie doprowadzić do trwałej konfrontacji z Rosją

4 kwietnia minęła 75. rocznica powołania do życia NATO. Dokonało się ono na mocy przyjęcia traktatu waszyngtońskiego – porozumienia między USA, Kanadą i dziesięcioma państwami Europy. O wyzwaniach stojących przed sojuszem, skupiającym obecnie – po przyjęciu Finlandii i Szwecji – 33 kraje, interesująco, w sposób odbiegający od dominującej w Polsce narracji, wypowiedział się Robert E. Hunter. Nie negując konieczności wsparcia Ukrainy, przestrzega przed trwałym antagonizowaniem Rosji.

Hunter był amerykańskim ambasadorem przy NATO w latach 1993-1998. To także członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego USA w czasach administracji Jimmy'ego Cartera, najpierw jako dyrektor do spraw zachodnioeuropejskich,

następnie do spraw bliskowschodnich. Doktorat ze stosunków międzynarodowych uzyskał na London School of Economics. Imponujący jest dorobek publicystyczny Huntera, jak również liczba wystąpień publicznych w ramach prestiżowych instytucji amerykańskich i europejskich. Hunter może również pochwalić się autorstwem kilku książek, w tym wydanej w 2002 r. „The European Security and Defence Policy: NATO's Companion – or Competitor?”.

Analiza Huntera, z której pochodzą prezentowane fragmenty, ukazała się 4 kwietnia 2024 r. w witrynie internetowej think tanku Responsible Statecraft. Z całością można się zapoznać pod adresem: responsiblestatecraft.org/75th-anniversary-of-nato/.

Robert E. Hunter

(...) NATO obecnie mierzy się z nowym wyzwaniem, stwarzanym przez Rosję Władimira Putina, i z jej agresją ze wschodu. Wielu obserwatorów, a nawet niektóre zachodnie rządy, twierdzi, że agresja Putina w XXI w. była nieunikniona. Że zawsze dążył on do restytucji starego (radzieckiego) imperium oraz do przesunięcia wpływów Moskwy na zachód, być może nawet poza Ukrainę. Nie wszyscy zgodziliby się z tą diagnozą, obecne jednak wyzwanie rzucone Zachodowi jest namacalne, zainicjowane zajęciem Krymu przez Rosję w 2014 r. W lutym 2022 r. Putin dotarł ze swoimi czołgami do przedmieść Kijowa, a dziś jest zdetonowany, aby zatrzymać w swoich rękach rosyjskojęzyczne obwody wraz z Donieckiem, Chersoniem i Ługańskiem, Zaporoziem oraz oczywiście Krym. Przywódcy wielu nатовskich krajów są przekonani, że jeśli nie zostanie powstrzymany, zagrozi państwu bałtyckim, Polsce oraz nowym członkom NATO – Finlandii i Szwecji.

Historycy uznają za jałowe powracanie do przeszłości i udawanie, że można było zapobiec wydarzeniom z lat 2014 i 2022. Ale

w tym przypadku, tuż po zimnej wojnie, byli przywódcy faktycznie próbujący kształtować europejskie bezpieczeństwo w sposób, który pozwalałby uniknąć obecnej konfrontacji z Rosją. (...) Nawet przed upadkiem żelaznej kurtyny w 1989 r. prezydent Bush senior, a później administracja Clintona wykazywali zmysł krytyczny: pokonanej Rosji nie należy traktować z surowością,

dla Pokoju oraz do Rady Partnerstwa Euroatlantyckiego. Powitano także rosyjskich żołnierzy w siłach IFOR (chodzi o siły wojskowe pod przywództwem NATO, działające na podstawie mandatu ONZ w Bośni i Hercegowinie w latach 1995-1996 – przyp. P.K.) – była to pierwsza tego typu wojskowa współpraca od czasu spotkania sił amerykańskich i radzieckich nad Łabą w 1945 r.

Zbyt łatwe stało się proklamowanie nowej zimnej wojny z Rosją. Oznaczałoby to wysokie ryzyko i koszty oraz możliwą eskalację do szerszego konfliktu w Europie.

którą zastosowano wobec Niemiec w 1919 r. (...) i która zmuszała Niemcy do przyjęcia całkowitej odpowiedzialności za wywołanie I wojny światowej. (...) Bush proklamował zatem ambitny program Europy „niepodzielonej i wolnej”, żyjącej w pokoju. Oznaczało to przede wszystkim powstrzymanie się przed stygmatyzowaniem Rosji i pozwolenie jej – w miarę możliwości – na odegranie poważnej roli w nowej architekturze bezpieczeństwa wznoszonej przez Zachód (...). Rosja weszła w ten sposób do nатовskiego programu Partnerstwo

Z uwagi na obawy niektórych krajów Europy Środkowej przed odrodzeniem się rewanżystowskiej Rosji NATO zaprosiło Polskę, Czechy i Węgry do pełnego członkostwa w 1997 r. Rosjanie nie byli zachwyceni. Przymknęli jednak oko na obecność w NATO pierwszych dwóch wymienionych krajów, mając na uwadze to, że w pewnym momencie Niemcy ponownie mogą się stać zagrożeniem. Dla Rosji było zatem korzystne, aby Polska i Czechy „otoczyły” Niemcy nатовską i amerykańską potęgą, gdyż Moskwa zgodziła się uprzednio na

to, że zjednoczone Niemcy będą pełnoprawnym członkiem sojuszu. Wraz z pierwszym rozszerzeniem NATO sojusz wynegocjował Akt stanowiący NATO-Rosja (dokładniej Akt stanowiący o wzajemnych stosunkach, współpracy i bezpieczeństwie, podpisany w Paryżu 27 marca 1997 r. – przyp. P.K.). Dokument zawierał zbiór wspólnych zasad, proklamowane przez NATO ograniczenia aktywności wojsk w Europie Środkowej oraz długą listę wspólnych projektów. Jednocześnie, aby rozwiać obawy, że Ukraina, położona między NATO a Rosją, znajdzie się pod wpływem tej drugiej, NATO podpisało z Ukrainą Kartę uzupełniającą zobowiązania wobec tego kraju trzech mocarstw (USA, Wiel-

porozumienia w kwestii położenia Ukrainy między Wschodem a Zachodem. (...) To geopolityczne szaleństwo nie usprawiedliwia żadnego z działań Putina. Ale w połączeniu z dalszymi rozszerzeniami NATO oraz wpływem rządu USA na przewrót w Kijowie w 2014 r. (na temat zaangażowania rządu USA w kijowskie wydarzenia zob. zapis rozmowy telefonicznej ówczesnej zastępczyni sekretarza stanu Victorii Nuland z amerykańskim ambasadorem w Ukrainie Geoffreyem Pyattem, dostępny na stronie internetowej BBC: www.bbc.com/news/world-europe-26079957 – przyp. P.K.) umożliwiło Putinowi wysunięcie w swoim kraju argumentu, że NATO dąży do otoczenia Rosji.

Zbyt łatwe stało się ignorowanie rzeczywistości geopolitycznej. Tej mianowicie, że Rosja nie zniknie.

kiej Brytanii i Rosji) z 1994 r. Rosja złamała te zobowiązania w latach 2014 i 2022 (...).

Następnie nowi politycy, którym zabrakło historycznej perspektywy, objęli władzę w Waszyngtonie. Zdecydowali, że Rosja nie ma znaczenia. (...) Stany Zjednoczone rozmieściły rakiety antybalistyczne w Europie Środkowej, naruszając Akt stanowiący NATO-Rosja. Rosja ze swej strony również podjęła agresywne kroki, wycofując się z Traktatu o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie (CFE) i naruszając Traktat o siłach nuklearnych średniego zasięgu (INF). Skłoniło to USA do wycofania się z niego. Najbardziej destrukcyjna, jeśli chodzi o szanse zbudowania wspólnego bezpieczeństwa i uniknięcia konfrontacji, była presja wywarta na NATO w 2008 r. przez prezydenta Busha juniora, aby sojusz zadeklarował, że Ukraina i Gruzja staną się członkami NATO. Było to wyraźne naruszenie tego, co mógł zaakceptować jakiegokolwiek znaczący kraj (w przypadku Ameryki odpowiednikiem byłaby Kuba, która miałaby się znaleźć w obcym sojuszu wojskowym) i pogwałcenie cichego

Dzisiaj NATO daje jasno do zrozumienia, że musi pomóc Ukrainie odeprzeć rosyjską agresję, a jednocześnie – idąc za wskazaniem prezydenta Joeego Bidena – nie rozmieści wojsk sojuszu w Ukrainie, co mogłoby doprowadzić do pomyłek albo eskalacji. (...) Liczy się nie tylko udzielenie pomocy Ukrainie i pokazanie Putinowi, że jego wojskowe ambicje mają granice – stawką jest tutaj wiarygodność USA w odniesieniu do wszystkich sojuszników w NATO, a zwłaszcza tych, którzy mogliby się stać dalszymi celami rosyjskiej agresji. Jest to obecnie fundamentalna kwestia dla amerykańskiej polityki zagranicznej i polityki bezpieczeństwa. Nie można jej zbagatelizować.

Jednocześnie zbyt łatwe i powszechne stało się proklamowanie nowej zimnej wojny z Rosją. Oznaczałoby to wysokie ryzyko i koszty (...) oraz możliwą eskalację od jednej wojny (w Ukrainie) do szerszego konfliktu w Europie. Warto pamiętać, że od

momentu strategicznej stabilizacji konfrontacji amerykańsko-radzieckiej – co nastąpiło około roku 1963 – do zakończenia zimnej wojny minęło ponad ćwierć wieku. Zbyt łatwe także stało się ignorowanie rzeczywistości geopolitycznej. Tej mianowicie, że Rosja nie zniknie. W pewnym momencie ponownie stanie się mocarstwem, choć jest mało prawdopodobne, że będzie supermocarstwem jak Związek Radziecki. W swoim własnym dobrze pojętym interesie Zachód, poczynawszy od Stanów Zjednoczonych, będzie musiał się zmierzyć z tym faktem. Wszystko to przemawia na rzecz ostrożności, szczególnie podczas szczytu NATO tego lata. Chodzi o to, aby nie przekroczyć Rubikonu i nie doprowadzić do trwałej konfrontacji z Rosją.

Sojuszowi nie wolno zamykać wszystkich ścieżek pozamilitarnego zaangażowania, w tym drogi do wynegocjowania porozumienia kończącego wojnę rosyjsko-ukraińską. Nie może on porzucić swoich strategicznych wysiłków na rzecz stabilizacji i kontroli zbrojeń. Nie powinien promować nowego podziału Europy na przyjaciół i stałego wroga. Wsparciu Ukrainy w jej dzielnej obronie mówię: tak. Odrzuceniu alternatyw wobec nowej zimnej wojny mówię: nie.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

19 kwietnia
przeżywszy 87 lat
zmarł

ZBIGNIEW REGUCKI

dziennikarz, działacz społeczny i polityczny,
współzałożyciel „Kuźnicy”,
założyciel i pierwszy redaktor naczelny
miesięcznika „Zdanie” i kwartalnika „Kraków”,
redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej”,
od października 1980 r. kierownik sekretariatu
Stanisława Kani,
wieloletni członek Społecznego Komitetu
Odnowy Zabytków Krakowa.

Będzie nam Go brakowało!

Kuźniczanie
oraz
Zespół i Rada Redakcyjna „Zdania”

Jedno wesele niczego nie zmieni

Potrzeba wielu lat, zanim przepracujemy tematy trudne dla Polaków

MAJA KLECZEWSKA I GRZEGORZ NIZIOŁEK

Rozmawia Mateusz Demski

Po 123 latach od prapremiery „Wesela” spektakl powrócił na scenę krakowskiego Teatru im. Słowackiego. Liczba symboliczna, bo na tyle też lat Polska zniknęła z map Europy. To kontekst ważny dla samego spektaklu?

Maja Kleczewska: – Rozmowy o „Weselu” rozpoczęliśmy z dyrektorem teatru Krzysztofem Głuchowskim przed październikowymi wyborami. Kiedy zapytał mnie o interpretację, powiedziałam, że będzie zależała od tego, w jakiej rzeczywistości obudzimy się po głosowaniu. „Wesele” to tekst, który reaguje na tu i teraz; na bieżącą sytuację.

Grzegorz Niziołek: – To nie jest okrągła rocznica, więc nie robimy spektaklu z okazji jubileuszu. Natomiast wiemy, że od premiery upłynęły 123 lata, a jeżeli jest to tekst uważany za kanoniczny, za jeden z najważniejszych dramatów narodowych, aktualny przez cały XX w., i ponoć nadal jest lustrem, w którym można się przejrzeć, to pozostaje sprawdzić tę aktualność – czy sztuka Wyspiańskiego pomieści historię, która tu się dzieje przez ponad sto lat, i podźwignie doświadczenia współczesne. Dramat wychodzi z tej konfrontacji z wycięsko. Wyspiański jest bezlitosnym obserwatorem społecznych mikrosytuacji, które wchłaniają współczesne konteksty. Bez potrzeby dopisywania lub dodawania innych tekstów.

Czy Wyspiański sam w sobie jest współczesny?



Grzegorz Niziołek – wykładowca, kurator, dramaturg, krytyk. Profesor w Katedrze Teatru i Dramatu UJ oraz na Wydziale Reżyserii i Dramaturgii AST im. Stanisława Wyspiańskiego. Współzałożyciel i wieloletni redaktor naczelny „Didaskaliów”. Dramaturg m.in. „Mein Kampf” w reżyserii Jakuba Skrzywanka (Teatr Powszechny w Warszawie, 2019) oraz „Wesela” Mai Kleczewskiej.

M.K.: – Na początku wydawało nam się, że nie jest; że może już nie uda nam się w tekście Wyspiańskiego przejrzeć. Drugi akt był szczególnie problematyczny przez to, że postacie, które przywołuje, dla autora były współczesne i żywe, ale dla



Maja Kleczewska – reżyserka teatralna, wybitna interpretatorka twórczości Czechowa, Szekspira i Jelinek. Jej spektakle były pokazywane m.in. na festiwalach w Wenecji, Paryżu, Londynie, Berlinie, Tbilisi, Seulu, Madrycie, Nitrze, Moskwie. Laureatka Paszportu „Polityki” (2006) i Srebrnego Lwa na Biennale di Venezia (2017). W 2021 r. w Teatrze im. Słowackiego odbyła się premiera „Dziadów” Adama Mickiewicza w jej reżyserii, a w marcu 2024 r. „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego.

nas takie nie są. Stańczyk odnosił się do stańczyków, czyli opcji politycznej w Galicji. Emocje związane z Branickim były wówczas czytelne, Rycerz Czarny był bohaterem utworu Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Wyspiański wprowadza te postacie, by wzbudzić w ówczesnym widzu emocje i opowiedzieć o przestrzeni zbiorowej nieświadomości, upiornym obciążeniu pamięcią. Szukaliśmy w tym porozumienia z naszym współczesnym doświadczeniem. By postacie te były nie tylko matejkowskimi figurami, historycznym cytatem czy sentymentalnym gestem.

G.N.: – Świetnie to przedstawia Franciszek Ziejka w książce o „Wesele” i mitach polskich, w której analizuje postacie widm jako symbole ówczesnych postaw politycznych, zwłaszcza konserwatywnych. Wernyhora wiąże się z dość mało realistyczną już wtedy wizją przyszłej Polski „od morza do morza”, w granicach dawnej Rzeczypospolitej, bez uwzględnienia ruchów narodowych Ukraińców czy Białorusinów, którzy wcale nie marzyli o powrocie pod polskie panowanie.

Pierwsze wrażenie było więc takie, że tamta rozmowa o Polsce jest anachroniczna, mocno osadzona w konkretnych realiach historii, w języku, w świadomości. Co więcej, „Wesele” jest napisane – co zauważono już wielokrotnie – z pozycji inteligencji. Z perspektywy miasta i panów. Szczegółowo przebadana to Maria Renata Mayenowa, wybitna teoretyczka literatury pochodzenia żydowskiego, w przedwojennym doktoracie napisanym pod nazwiskiem Rachela Kapłanowa. Choćby postać Szeli podtrzymuje stereotyp krwawego rzeźnika, ukształtowany w antychłopskiej, porabacyjnej propagandzie szlacheckiej. **Wyspiański pozwala sobie na nieco wyższościowy ton względem chłopskiego świata?**

G.N.: – To widać chociażby po tym, ile tekstu zostaje przydzielone postaciom miejskim, a ile wiejskim – jak są widoczne i które są bardziej przez Wyspiańskiego eksponowane. To panowie charakteryzują i siebie, i chłopów. To oni wyznaczają horyzont społecznej samoświadomości.

M.K.: – Niewiele jest w „Wesele” miejsc, w których rozmawiają ze sobą wyłącznie chłopi. To np. scena Ojca z Dziadem czy Ojca z Marysią. Albo krótka rozmowa Marysi z Jagusią, czyli Panną Młodą. Pragnęliśmy te postacie – Czepca, Ojca, Dziada, ale i kobiecie bohaterki – wyeksponować. **By nadać im szerszy, ludzki wymiar?**

G.N.: – Jesteśmy w toku gorącej debaty o ludowej historii Polski. Temat chłopów powraca do nas na nowych zasadach, trzeba dotychczasowy sposób ich przedstawiania poddać rewizji, ponieważ opowieści o chłopach najczęściej były pisane przez panów lub z ich perspektywy

i bywały oparte na różnego rodzaju resentymentach oraz lękach wobec tej grupy. Jeżeli „Wesele” miało zabrzmieć współcześnie, musieliśmy na tę dzisiejszą debatę odpowiedzieć. Przede wszystkim zmieniliśmy w istotny sposób przestrzeń pierwszego aktu – u Wyspiańskiego tworzą go prywatne rozmowy, toczone na boku, za kulisami zabawy. U nas wszystko dzieje się publicznie, z udziałem całej społeczności, z radykalnie poszerzonym spektrum społecznych reakcji na kolejne sytuacje.

M.K.: – Dużo rozmawialiśmy na próbach, że jesteście przecież po „Chłópkach”, literaturze, która próbuje zrozumieć kondycję polskiej wsi inaczej niż dotąd. Dlatego tak bardzo zadziwia mnie użycie w recenzjach

„Wesele” to tekst, który reaguje na tu i teraz, na bieżącą sytuację.

naszego spektaklu takich słów jak motłoch. Nigdy nie padło ono na próbach. Wprost przeciwnie – pragnęliśmy wszystkie historie, wewnętrzne dramaty i pięknięcia jak najrzetelniej opowiedzieć.

G.N.: – W słowie motłoch jest pogarda, ale też ujednolicenie, zgłajchszaltowanie. Jak gdyby była to jakaś masa i trudno było odróżnić jednego bohatera od drugiego. Tak naprawdę wydobywamy te postacie, jest w tym wielka praca aktorów, każdej postaci dali intensywność, wyrazistość. Eksponujemy ich różnorodność, odmienność postaw, próbujemy utkać gęstą sieć relacji. Gdzie są relacje społeczne, tam nie ma motłochu. Ponadto energia, którą bohaterowie wnoszą, ich wola życia, pokazuje, że mają swoją godność, inteligencję, potrafią zareagować i odpowiedzieć na próby poniżania ich.

Proponują państwo w tym spektaklu różne uaktualnienia z poszanowaniem i zachowaniem ducha pierwowzoru.

G.N.: – Sprawa dotyczy głównie widm. Zachowaliśmy w tradycyjnej postaci dwa, czyli duchy ukazujące się chłopom: Szelę i Widmo, które nawiedza Marysię. Dla pozostałych, Stańczyka, Rycerza Czarnego

i Hetmana, szukaliśmy odpowiedników w przyszłości, patrząc z perspektywy Wyspiańskiego. Po to, żeby zobaczyć, co się stało z pewnymi postawami politycznymi, które stały za tymi postaciami. Hetman jest u nas biznesmenem prowadzącym intratne interesy z Rosją, w warunkach panującej wojny. Słyszeliśmy, że to trywialne. Ale mogą zapytać: a co takiego w Hetmanie jest znowuż niezwykłego, czego ta postać została przez nas pozbawiona? Przecież prototyp postaci z dramatu Wyspiańskiego był zdrajcą, który układał się z Rosją, ożenił się z jedną z podopiecznych Katarzyny II Wielkiej – po insurekcji kościuszkowskiej jego żona otrzymała od carycy majątki, które skonfiskowano tym, którzy w powstaniu uczestniczyli. Czy Stańczyk z kolei rzeczywiście przekazuje jakieś cenne myśli o Polsce, czy też zwodzi Dziennikarza frazesami?

A czy marzenia o wielkiej zbrodni, jakie snuje Rycerz Czarny, nie domagają się dziś otrzeźwiającej kontry inscenizacyjnej, zwłaszcza wobec narastania – nie tylko u nas – postaw nacjonalistycznych i faszystowskich? Uznaliśmy, że nasza odpowiedź powinna być jasna i jednoznaczna.

A czy wydzwięk sam w sobie się zmienia? Stefan Kołaczkowski, krytyk literacki, tuż po premierze „Wesela” odnotował, że tragizm życia narodowego polega na błędnym kole: sam naród jest sobie przeszkodą ku wyzwoleniu; rozpisywał się o fatum narodu. Dla państwa jest to nadal terapia narodowa?

M.K.: – To takie podręcznikowe czytanie „Wesela”: naród, w kole, wszyscy tańczą chocholi taniec na zakończenie i sami dla siebie są przeszkodą. Próbowaliśmy unikać takiego myślenia, by nie dążyć do zapoznane-go finału. Natrafililiśmy na inną myśl: historia i pamięć, póki nie zostaną przepracowane poprzez świadomy proces, będą przeszkodą. Albo będziemy ją wypierać, albo nazywać, jak nam pasuje, albo na inne sposoby unikać, zniekształcać, żeby utrwalić obraz narodu niewinnego. Nie da się robić polityki grubej kreski i odcinać np. od rabacji. To wraca nieustannie.

Pamiętajmy, że istotą małżeństwa Rydla i Jagusi jest pragnienie ▶

► pojednania. Weselnicy spotykają się w jednej chacie, co stanowi wspaniałą okazję do zbliżenia. W tej żywiołowości objawia się zachwyt wspólnotą. Ta idea przyświecała i Rydlowi, i samemu Wyspiańskiemu. Włodzimierz Tetmajer malował „Panoramę Ractawicką”, kosynierów, kościuszkowską wizję narodu pojednanego jako symbol braterstwa. Im więcej na początku dramatu jest marzenia i nadziei, tym większe jest poczucie klęski w finale. Bo to jedno wesele niczego nie zmienia; potrzeba wielu lat, zanim przepracujemy tematy trudne dla Polaków.

Ludzie z reguły chcieliby zapomnieć, lecz nie mogą. Ci, którzy nie konfrontują się z przeszłością, nie zaznają spokoju. „Wesele” może się okazać pretekstem do dyskusji o tym, czego się lękamy w naszej historii.

G.N.: – Panuje mylne wyobrażenie, że po ukazaniu się kilku artykułów i książek na dany temat sprawę możemy uznać za zamkniętą. Jesteśmy zwolennikami idei fałszywego przepracowania, żeby tylko mieć spokój: najchętniej więc nie gadajmy już o tych chłopach, Żydach. Trzeba jednak postawić pytanie, jak głęboko wnika to w świadomość społeczną. Wyspiański pokazuje, a my za nim, że te głębokie osady, rzekomo już przepracowane, są żywe i nie trzeba wiele, żeby je przebudzić i żeby z całą mocą się odezwały. To nie jest często zła wola, ale po prostu siła ugruntowanych i bezrefleksyjnie powielanych postaw. Nie możemy się zająć tylko przyszłością, jak niektórzy nawołują, bo coś nam w tym stale przeszkadza.

M.K.: – Jeżeli ktoś czuje złość, oglądając scenę Rycerza Czarnego – który w naszym przedstawieniu jest wyniesionym do rangi bohatera żołnierzem wyklętym, za którym wloką się trupy ludzi zabitych w lesie – to znaczy, że temat nie został przepracowany. Dopóki nie staniemy twarzą w twarz z przeszłością i jej nie zaakceptujemy, za każdym razem będzie nam towarzyszyło poczucie irytacji.

G.N.: – W „Tygodniku Powszechnym” Dariusz Kosiński napisał o „kolejnym przypomnieniu rzekomo nierozliczonych polskich win z czasów Zagłady”. Uderzyło mnie słowo

rzekomo. Bo rozumiem, że teza jest taka, że wszystko już zostało przepracowane i nie ma powodu tymi sprawami się zajmować. Jeżeli tak, to skąd wciąż tyle emocji z tym związanym? Czy naprawdę wątek mordowania Żydów przez Polaków, także przez żołnierzy podziemia – z taką mocą wydobyty w ostatnich latach przez historyków zajmujących się trzecią fazą Zagłady, czyli okresem wyłapywania i mordowania Żydów, którym udało się zbiec z gett, transportów, obozów – dotarł do świadomości społecznej? Czy ten wątek pojawia się w podręcznikach historii? W jakich filmach i przedstawieniach zostało to pokazane?

Sprawa pozostaje żywa.

G.N.: – Szczególnie biorąc pod uwagę projekt ustawy o IPN, według którego za głoszenie tez o współudziale Polaków w eksterminacji Żydów groziła kara do trzech lat więzienia. Nie mówiąc o nagonce na Barbarę Engelking i innych badaczy zajmujących się Zagładą. Naukowcy, którzy podpisali list poparcia dla Engelking, byli straszeni konsekwencjami przez ministra Czarnka. Były też historyczne reakcje i ataki na Jana Grabowskiego po tym, jak stwierdził,

Im więcej na początku dramatu jest marzenia i nadziei, tym większe jest poczucie klęski w finale.

że Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców w czasie wojny. To wszystko wydarzyło się nie tak dawno temu. Jakże nieodpowiedzialnie politycznie jest więc twierdzenie, że sprawę możemy uznać za zamkniętą.

Czy takie przepracowanie będzie kiedykolwiek możliwe?

M.K.: – Myślę, że tak. To kwestia kolejnego pokolenia, może dwóch, a może trzech – jak w przypadku Niemców, którzy zmierzili się z prawdą o Holokauście. Społeczeństwa dojrzewają do uznania swojej winy. Trzeba powiedzieć: byliśmy współodpowiedzialni za krzywdę, to było złe. Tylko tyle. To nie jest jakaś wielka sprawa. Chodzi o to, by fakty stały się ważniejsze niż emocje i próba ochrony własnej niewinności za wszelką cenę.

Ważną postacią dla tego wątku jest Rachela, kojarzona zwykle z żydowską intelektualistką, tu oglądamy ją w zakrwawionej sukni – skrzywdzoną i zbrukaną. Staje się ona zwiastunką Zagłady podczas wojny, która ma dopiero nadejść.

G.N.: – Ten potencjał jest u Wyspiańskiego. Historycy literatury zwracali uwagę na to, że Rachela przynależy do dwóch światów – pojawia się na weselu trochę jak widmo.

M.K.: – Status Racheli jest specjalny, to ona ma pomysł, by otworzyć szczelinę i zaprosić na wesele duchy, dziwne, kwiaty, krzewy i Chochoła. Poeta się do niej przyłącza. Co więcej, ona z nikim oprócz niego nie rozmawia, jeszcze przez chwilę widzi ją tylko Pan Młody. Pozostałe postacie dramatu tak nie funkcjonują. Każdy ma kontakt z każdym, oprócz niej. Jest więc osobna na tle innych. Kiedy po dziewięciu latach wznowiłam „Dybuka”, jeszcze jedna rzecz mnie uderzyła. Wyspiański nie mógł czytać Anskiego, ale mógł znać tradycję, według której na wesela zapraszani są przez Żydów zmarli – najpierw idzie się na cmentarz i sprasza ciotki, wujków, dziadków, pradziadków, a dopiero potem się świętuje.

Nie bez znaczenia jest kontekst postaci. Pierwowzorem Racheli była Józefa Singer, której udało się przeżyć wojnę.

G.N.: – Aktorzy interesowali się losem prototypów postaci z „Wesela”. Karolina Kazon, która gra Marynę, przypominała nam o jej śmierci: Maria Pareńska została zastrzelona w grupie profesorów lwowskich w 1941 r. Nasz spektakl podczas prób coraz bardziej nasycał tragicznymi zdarzeniami z polskiej historii. W przypadku Racheli interesowało nas to, co się działo z Pepą Singer w czasie wojny. Na początku okupacji została w Krakowie, ale ignorowała zarządzenia dotyczące Żydów. Nie przeniosła się do getta i nie nosiła opaski z gwiazdą Dawida. Udało się załatwić dla niej metrykę chrztu na



inne nazwisko. Kiedy jednak zrobiło się niebezpiecznie, wylądowała w Warszawie, tam została napadnięta przez szmalcowników w swoim mieszkaniu, znowu musiała się ukrywać. Doświadczyła bycia na granicy życia i śmierci. Podczas okupacji cała, bardzo liczna rodzina Singerów została wymordowana. Ocaleli tylko Rachela i jej bratanek.

Jest to też spektakl o tym, co się dzieje za naszą wschodnią granicą.

M.K.: – Reagowaliśmy na to, co jest w dyskursie publicznym najbardziej palące; co było poruszane podczas prób jako sprawy najistotniejsze. Mam na myśli poczucie zagrożenia konfliktem zbrojnym, które robi się coraz bardziej wszechogarniające. To widmo wojny do nas przychodzi. W dramacie Wyspiański wprowadza postać Wernyhory, który przybywa „ponoć kajsi z Ukrainy”. Biorąc się do interpretacji „Wesela”, jeszcze przed wyborem obsady należy sobie odpowiedzieć na pytania: kto gra Wernyhore, co ta postać wnosi i czym jest zły róg.

G.N.: – W trzecim akcie pada u Wyspiańskiego fraza: „Kraków ogniami płonie”. Kiedy usłyszeliśmy to zdanie na nowo i dotarło do nas, jakie obrazy to dziś w nas wywołuje, zaczęliśmy zadawać sobie pytanie, w jakiej skali się poruszamy: czy chodzi o konflikty między dwiema grupami społecznymi, które nie mogą

się dogadać, czy jednak te konflikty dotyczą znacznie szerszych spraw, a ich kontekst zmienił się w ostatnich latach? Kluczowe było obsadzenie przez Maję ukraińskiej aktorki Anny Syrbu w roli Wernyhory. Z Ukrainy przybywają do nas przecież głównie kobiety, podczas gdy mężczyźni są na froncie i walczą, a w każdym razie nie mogą opuszczać kraju. To one przychodzą z wieścią o wojnie.

Wernyhora przybywa z żalobną pieśnią na ustach.

M.K.: – To pieśń ważna dla Ukrainy, jest obecnie śpiewana na wszystkich pogrzebach żołnierzy, którzy zginęli na froncie. Nosi tytuł „Pływe kacza po Tysyni”. Zaproponowała ją Ania Syrbu, której historia jest taka sama jak większości ukraińskich kobiet – wyjechała z Ukrainy, mieszka z synem w Krakowie, reszta rodziny została w Kijowie. Poprzez tę pieśń chciała przekazać cierpienie i ból. Pieśń ma formę ostatniej rozmowy. To lament matki opłakującej syna.

Powinniśmy być przygotowani do wojny?

M.K.: – Wieści z frontu są coraz tragiczniejsze. Brakuje żołnierzy, amunicji, trudno przewidzieć, jak długo jeszcze Ukraina będzie mogła się bronić. Premier Polski mówi, że nie jesteśmy w czasie powojennym, ale przedwojennym.

G.N.: – Coś, co wydaje się niewyobrażalne, szybko może się stać

rzeczywistością. Przykład Ukrainy najlepiej o tym świadczy.

Jak w takim razie rozumieć reinterpretację chocholego tańca?

M.K.: – To nie jest taniec, który tańczą wszyscy goście. U nas Chochół tańczy sam.

Wpada w obłąkańczy wir, szal, wyrывa sobie serce. Witold Mrozek w „Gazecie Wyborczej” zastanawiał się, co ta „krwawa operacja” oznacza: amputację tradycyjnie rozumianej polskości, śmierć wizji polskiej wspólnoty?

G.N.: – Jeżeli chocholi taniec mówić o uśpieniu, zbiorowej niemocy, marazmie, tym ciągłym poruszaniu się w kółko, to nam zależało, by takiego przekazu nie powielić. Byliśmy raczej zainteresowani tym, co nas dzisiaj paraliżuje, co budzi trwogę, podobną do tej, którą odczuwa Jasiek w finale. Kaya Kołodziejczyk jako Chochół stworzyła przejmujący performans. To nie opowieść o niemocy, ale ekspresja grozy, przerażenia doprowadzonych do ekstremum, wyrażonych bez hamulców. Kaya wchłonęła jakąś kwintesencję spektaklu i ujawniła ją w finale.

Czy prapremiera „Wesela” z 16 marca 1901 r. oraz wszelkie jej okoliczności i konteksty były dla państwa katalogiem referencji? Pierwsze wystawienie na scenie teatru w Krakowie skończyło się sensacją i zamieszaniami – w mieście panowała atmosfera skandalu.

M.K.: – Nie, bo tego zwyczajnie już nie da się zrobić. Rudolf Starzewski, redaktor naczelny „Czasu”, oglądał na scenie samego siebie, jak również Czepiec, pozostali weselnicy i osoby, które ich znały. Punktem odniesienia było dla nas nie wydarzenie marcowe, ale listopadowe, czyli samo wesela i chata Włodzimierza Tetmajera, który prawdopodobnie powiedział Lucjanowi Rydlowi: „Zrób przyjęcie u mnie”. To, co mogło być inspirujące, to wyobrażenie Wyspiańskiego oparte o framugę, otoczonego dźwiękami, muzyką, kolorami, zapachem jedzenia, potu, zmęczenia i tą szaloną nocą, która wpadła w niego z niesamowitym impetem. Wyobrażenie jego doświadczenia było dla mnie najważniejsze.

Mateusz Demski



Hasior – Rycharski; zmiany w toku

Daniel Wójtowicz

Wystawę w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie firmują dwa nazwiska: Hasiora, dla którego przychodzą tu widzowie starsi, i Rycharskiego, dobrze już znanego młodszemu. Przychodzą zazwyczaj dla „swojego” artysty, ale, jak powiedziała przewodniczka, odkrywają dla siebie tego drugiego i wychodzą zachwyceni obydwojema. W śmiałym zestawieniu polskiego geniusza plastyki, asamblisty Władysława Hasiora, z 37-letnim conceptualistą Danielem Rycharskim (fot. 1) tkwi szczególna zagadka i wartość tej wystawy.

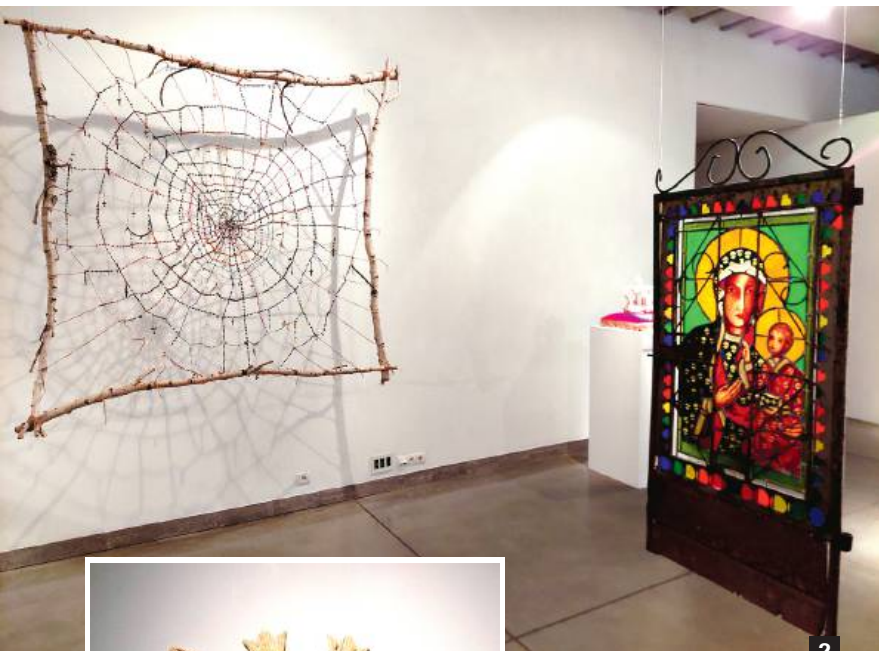
Jako wielbiciel Hasiora pojechałem do Sopotu, żeby się przekonać, kim jest ten, którego stawiają obok mistrza. Twórca ów wypracował sobie już miejsce w polskiej kulturze. W 2016 r. otrzymał Paszport „Polityki”, m.in. dzięki temu stał się obecny

w mediach i umocnił się w swojej wyrazistości. Na sopockiej wystawie wita nas figurą orła (2023) zawieszoną na ścianie jak emblemat (fot. 4). Kształt rozpostartych skrzydeł drapieżnika wyraźnie upodabnia go do bielika. Swojskość sylwetki podkreśla materia, z której „godło” jest wykonane: splecione kłosa pszenicy i jęczmienia. Takie jednoznaczne skojarzenie jest ważne, orzeł bowiem ma dwie głowy zwrócone w przeciwne strony. Tak samo jak orzeł rosyjski. Ale bez wątpienia ten tu orzeł jest polski, współczesny, słomiany jak miś Barei, skłócony sam ze sobą.

Sztuka Rycharskiego ma wymowę niemal publicystyczną. Dla mnie, odbiorcy z „klas starszych”, taka wyrazistość może być pewnym minusem. Jednak odpowiada ona odbiorcom młodszemu, przyzwyczajonym do dosłowności czy wręcz wymagającym jej w kwestiach

społecznych i obyczajowych. Z tą myślą spoglądam na drewnianą ramę wielkości człowieka, w której rozpostarta jest pajęczyna utkana z różańców (fot. 2). Właśnie za pracę „Sieć” Rycharski otrzymał Paszport.

Współorganizatorzy wystawy z zakopiańskiego Muzeum Hasiora musieli być tej wyrazistości Rycharskiego świadomi, przywieźli bowiem do Sopotu najgłośniejsze prace swojego patrona: „Wyszywanie charakteru” (naga lalka przeszywana przez maszynę do szycia fot. 3), „Czarny krajobraz” (wózek niemowlęcy z płonącymi świecami) czy „Epitafium dla prezydenta” (luźne fragmenty rąk wraz z siekierą przypisywaną tu premierowi PRL Cyraniewiczowi, krzyczącemu w 1956 r. o „odrąbywaniu rąk podniesionych na socjalizm”). Chcieli zapewne przypomnieć, jak bardzo Hasior był w swoich pracach zaangażowany i dosadny. Jak mocno wyrażał się



przeciwko wszelkiemu gwałtowi i ograniczeniom życia człowieka. To wystarczający powód, by właśnie z nim kojarzyć dziś Rycharskiego. Twórczość obu głośno krzyczy.

Nie jest jednak jasne, czy Rycharski inspirował się Hasiorem. Kuratorzy wystawy mówią o uwidocznieniu ich „dialogu”. Artysta dystansował się podobno i od tego określenia, wspominając raczej o podobnej wrażliwości i o podobnym spojrzeniu na świat. Istotnie czuje się ich jednakowe zanurzenie w polskiej rzeczywistości, zwłaszcza tej prowincjonalnej. Obaj sięgają po zapomniane przedmioty z codzienności. Hasior wydobywa z nich ukryty głos i przejmujące znaczenie. Rycharski używa ich przede wszystkim do podkreślenia przemijania, końca prowincjonalnego świata.

Pełno w tym odchodzącym świecie krzyży. Starych i chylących się ku upadkowi. Poza jednym, który całym ciężarem opasłej sylwety wbity został w środek wiejskiego, drewnianego łóżka, by zapanować nad jego przestrzenią. „To łóżko stało się dla mnie symbolem wyobcowania, samotności na wsi zwłaszcza tych osób, które muszą ukrywać swoją prawdziwą orientację seksualną (bo wśród tzw. starych kawalerów na wsi bardzo wielu to po prostu geje)”, komentuje autor.

Daniel Rycharski nie kryje swojej homoseksualności. W głośnych przedsięwzięciach na wsi, w której zamieszkał, zrobił wiele dla burzenia murów między „tradycyjnymi” społecznościami a środowiskami LGBT. Najpoważniejszy dramat łączy się z wykluczeniem z życia Kościoła. Artysta określa się jako wierzący, przez lata zorientowany na katolicyzm. Głęboko dziś boleje nad losem, jakiego w polskiej praktyce religijnej doświadczają ci „inni”. Tacy jak on. Ukazana na wystawie instalacja „Boczna furka” jest witrażem z Matką Boską wpisanym w zwykłą ogrodową bramkę, zamykaną na stalowy skobel (fot. 2). To wyraz nieśmiałej nadziei, że może dla tych wykluczonych istnieje jakaś droga na drugą stronę.

Daniel Rycharski bywa określany jako artysta konceptualny – w takiej

kreacji liczy się nie tyle końcowe dzieło, ile koncepcja, proces dochodzenia do niego i jego tworzenia. W praktyce zatem wymowa pracy jest często nie do zrozumienia bez komentarza. Na sopockiej wystawie przejmującym tego przykładem jest krzyż z ociosanych gałęzi. Pochodzą one z wiejskiego drzewa, na którym powiesiło się dwoje homoseksualnych nastolatków, przeżywających odrąbanie społeczne. Ich tragedię artysta wypomina nam wszystkim, a ze szczególną mocą Kościołowi. Z taką odwagą twórczą i chęcią przekształcania rzeczywistości stał się ważny dla wielu młodych ludzi. Żąda zmian, wręcz o nie walczy, nie bacząc na to, z kim się zderza i co mu, jak niegdyś Hasiorowi, może grozić.

Miałem wrażenie, że to głównie wystawa Rycharskiego, ale jest ona wyrazem kontynuacji i przejścia od dostrzegania prawdy o nas samych do inspirowania i wymuszania zmian. Osadzenie obu twórców na jednej osi pokazuje, że wielka sztuka zawsze znajduje ciąg dalszy i prędzej czy później odmienia świat.

Władysław Hasior – Daniel Rycharski
„mogę wam opowiedzieć o sobie o was”

Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie
do 19 maja

Olga Rudnicka

Na psa urok, ości śledzia

Prószczyński i S-ka, Warszawa 2024

Niby nieładnie śmiać się z cudzego nie-
szczęścia, ale nie tym razem. Kaskady ab-
surdalnych, fatalnych zbiegów okoliczności,



w których centrum znaj-
duje się bohaterka, spię-
rzone zostały właśnie po
to, byśmy mogli przynaj-
mniej pochichotać. Najza-
bawniejsza jest pierwsza
część, „Zgiń, przepadnij”,
z zegarem śmierci i koci-
skiem, które po naturalnej
śmierci miało być dawcą

kości do rytuału odganiającego pecha, ale
zaparło się bić rekordy długowieczności pod
troskliwą opieką Tekli. Tom trzeci to swego
rodzaju zadośćuczynienie dla niefartownej
dziewczyny – za wychowanie w prowincjonal-
nej, patriarchalnej rodzinie z matką, która na
każdą okazję ma stosowny zabobon, i za po-
dejrzliwość otoczenia, które okazuje się równie
przesądne w małej Wilczygódce, jak i w Pozna-
niu. No i za zbrodnicze knowania dodatkowo
utrudniające życie.

Benjamin Stevenson

**W mojej rodzinie
każdy kogoś zabił**

tłum. Grażyna Woźniak

W.A.B., Warszawa 2024

Śmichy-chichy ze zbrodni to też nic szcze-
gólnie stosownego, lecz tu żartobliwa forma
podkreśla bardzo inteligentnie skonstruowaną
fabułę. Tytuł nie pozostawia wątpliwości, Cun-
ninghamowie nie są rodziną, jakich wiele, zo-
rganizowanie ich zjazdu wydaje się więc
ryzykownym pomysłem. At-
mosfera istotnie jest napię-
ta, nie tylko dlatego, że nar-
rator tradycyjnie się spóźnił.
Ern, autor poradników, jak
pisać kryminały, relacjo-
nuje dramatyczne wyda-
rzenia w australijskim ośrodku narciarskim
z autoironią i dystansem stand-upera (którym
zresztą jest autor), ale to też taki rodzaj klauna-
dy, jakim niektórzy maskują zranienie. A przy
okazji sztuczka uwydatniająca, jak przebiegle
prowadzona jest akcja. Tu nie ma przypadków,
staranne rozmieszczenie wskazówek nawiązuje
do kryminałów złotej ery i klasyków gatunku.

Aleksandra Pańko



z autoironią i dystansem stand-upera (którym
zresztą jest autor), ale to też taki rodzaj klauna-
dy, jakim niektórzy maskują zranienie. A przy
okazji sztuczka uwydatniająca, jak przebiegle
prowadzona jest akcja. Tu nie ma przypadków,
staranne rozmieszczenie wskazówek nawiązuje
do kryminałów złotej ery i klasyków gatunku.

**Szukając siebie**

Po znakomicie przyjętym „Złocie Renu” oraz „Walkirii” Ewelina Marciniak
wraz z dramaturgiem Mironem Hakenbeckiem wystawiła w Bernie kolejną
część „Pierścienia Nibelunga”. W jej interpretacji „Zygfryd” nie jest apoteozą
siły i bezwzględności, tylko interesującą, chwilami dowcipną opowieścią
o słabości, poszukiwaniu akceptacji i dojrzewaniu.

W szwajcarskim przedstawieniu tytułowy bohater (przekonujący Jonathan
Stoughton) to młody, coraz bardziej zagubiony człowiek. Rozdarty między mi-
łością do przybranego ojca, Mimego (wyrazisty aktorsko i znakomity wokal-
nie Thomas Ebenstein), pragnieniem samodzielności oraz tęsknotą za matką,
której nie znał, wpada w bardzo złe towarzystwo – trafia do mrocznej, zmys-
łowej jaskini Fafnera, władcy podziemia (Matheus França), i dokonuje coraz
gorszych wyborów. Niemal pięciogodzinne dzieło Wagnera, składające się ze
statycznych dwójkowych scen, jest inscenizacyjnym wyzwaniem. Ewelina
Marciniak robi więc to, w czym jest najlepsza – tworzy piękne i poruszające
wizje, takie jak scena ptasiego śpiewu z drugiego aktu, za sprawą kostiumów
Julii Kornackiej zmieniająca się w obraz tęsknoty Zygfryda za matką, czy
zachwycający powietrzny taniec Brunhildy (Jessica Gardolin) otwierający
trzeci, najbardziej wysmakowany wizualnie akt (scenografia: Mirek Kaczma-
rek). Błyskotliwie skomponowany ruch sceniczny w choreografii Mikołaja
Karczewskiego skutecznie ożywia akcję, przydając najważniejszym posta-
ciom taneczne alter ego.

Ale najważniejsza jest muzyka. W znakomitym wykonaniu berneńskiej
orkiestry pod batutą Nicholasa Cartera Wagner, zwłaszcza w trzecim akcie,
brzmi monumentalnie, poruszająco i współcześnie.

Michał Centkowski



Richard Wagner, „Zygfryd”, reżyseria Ewelina Marciniak, Stadttheater Bern,
premiera 14 kwietnia 2024

Kolumnę przygotowała
Agata Gogólkiewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Nie wierz lustrom

Wysiadłem z autobusu na Trasie Łazienkowskiej i zmierzałem do schodów, by wspiąć się na plac Na Rozdrożu, gdy ujrzałem parę starców. Dreptali z trudem, wspierając się o siebie. „O, Tomek!”, zawołali. Myślałem, że wołają do kogoś innego. „Nie poznaj nas”, ona powiedziała do niego. „O, cześć, cześć”, rzuciłem, omiatając ich wzrokiem. W jego twarzy zdawało mi się widzieć oblicze kogoś, kogo mogłem kiedyś znać, ale to było jak odległe i niepewne echo. Odwróciłem się pośpiesznie i uciekłem od swojej niepamięci, od zmiany, jakiej dokonał w nich – w nas – czas.

Potem przygoda w przymierzalni, gdzie przymierałem dzinsy. Lustra ustawione na górze i z boku, ukazały tył mojej głowy z łysiną, o którą bym sobie nie podejrzewał, której zwykle nie widzę, gdy lustro patrzy mi w oczy, z przodu mam sporo włosów. Nie wierz lustrom, które patrzą ci prosto w oczy.

Moi chłopcy wsiąkli w gry wideo, w YouTube’a, godzinami fruną po sieci. Najnowsze dane ośrodka badania opinii publicznej Gallupa mówią, że amerykańskie nastolatki spędzają pięć godzin dziennie tylko w mediach społecznościowych. Gdyby godzinę dziennie, mogłoby to być korzystne, stymulować umysł, przerażająca jest skala czasu. Mój 13-latek Franek serdecznie i długo rozmawia przez internet z przyjacielem Dominikiem, ten mieszka 300 m od nas. Chłopcy często się spotykali i nagle przestali. Pytam go, czy Dominik jest w Warszawie, bo weekend. Franio nie wie. Wystarczy im kontakt zdalny. Tak wygląda koniec dawnego świata.

Czytam o pewnym eksperymencie: setce dzieci zabroniono przez osiem godzin korzystać ze smartfonów i komputerów, 99% miało silne objawy podobne do tych, jakich doświadcza narkoman, który nie może brać narkotyku. Test bezobjawowo przeszła jedna dziewczynka. Pisała w tym czasie dziennik, ale był on pełen niepokojących treści.

Z kolei Jonathan Haidt przeprowadził szeroko zakrojone badania. Odkrył, że zdrowie psychiczne nastolatków dramatycznie się pogorszyło po upowszechnieniu się korzystania z iPhone’ów. Obwinia on Instagram o spowodowanie największych szkód – szczególnie pogarsza się zdrowie psychiczne dziewcząt. Chłopcy za to kochają gry wideo, moi też. Od znajomych wiem, że ich córki

faktycznie siedzą na Instagramie, gdzie są również ich fotografie i komentarze. I toczy się wojna, która z nich lepiej wygląda, walka o popularność, wojny podjazdowe; wielkie emocje i wiele ofiar. Generalnie życie towarzyskie młodych przeniosło się do mediów społecznościowych. Haidt pisze: „Na początku 2010 r., który był mniej więcej szczytowym okresem przechodzenia na gry wideo dla wielu graczy, można by się spodziewać fali szczęścia i poczucia, że ma się przyjaciół – teraz masz przecież tych wszystkich przyjaciół na całym świecie – ale okazuje się, że to jak puste kalorie. Gry wideo dały chłopcom ogromne ilości płytkich więzi społecznych i sprawiły, że poczuli się bardziej samotni”. Tak wśród dzieci narasta epidemia samotności.

Haidt uważa, że „media społecznościowe szkodzą dziewczętom bardziej, ponieważ oferują przynętę kontaktów społecznych w sposób, który przemawia do dziewcząt, ale blokują wysokiej jakości kontakty społeczne”. Jest widoczny drastyczny wzrost samobójstw wśród dzieci. Na pewno nowa duchowość, jaka się rodzi, będzie miała przełożenie na życie polityczne. Czy „nowi” nie będą podatni na autorytet populistów? Popularność Korwin-Mikkego wśród młodych, bo kolorowy wariat z filmów fantasy, coś nam mówią.

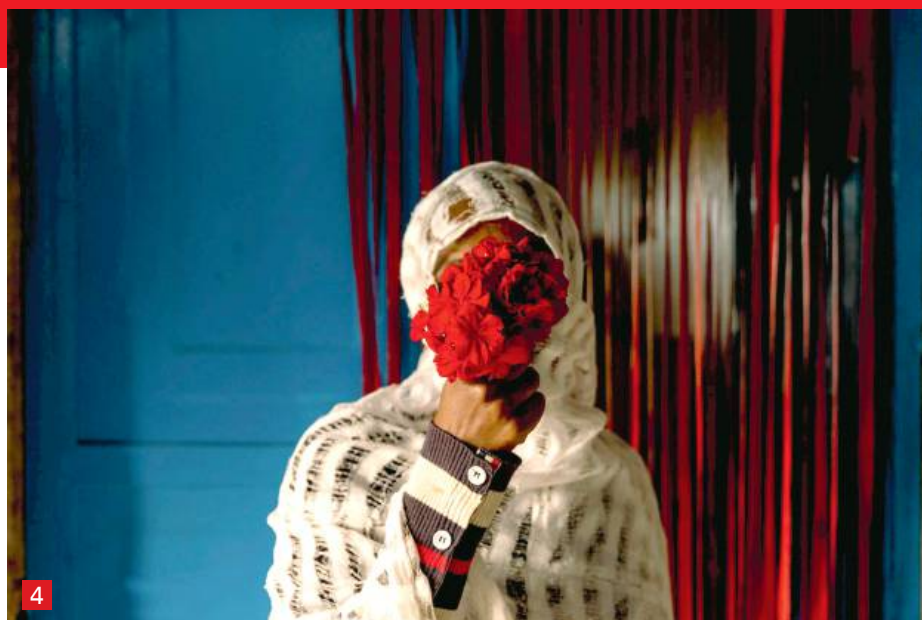
Nowa duchowość, jaka się rodzi, będzie miała przełożenie na życie polityczne.

Na wiadomość, że Orlen zapłacił pół miliona złotych za inwigilowanie Bartłomieja Sienkiewicza, ten napisał na X: „Niech nikt nie ma złudzeń: to nie był jakiś zwykły rząd i zwykła władza, np. nad spółkami skarbu państwa. To było zbiorowisko kanalii. Dlatego trzeba ich rozliczyć do dna. Cieszę się, że mam sposobność brać w tym rozliczeniu czynny udział”. Kanalia groźne słowo, z kanaliaми walczy się jak ze szczurami.

Przygaś niepokój naszych miłujących prawo, którzy źle znieśli przejęcie telewizji, wołali, że to było na granicy prawa czy nawet poza granicą. Po ośmiu latach bezprawia, gdy telewizja publiczna była cudowną mieszkanką propagandy wręcz stalinowskiej i faszystowskiej, użycie brutalnych narzędzi było jedynym wyjściem. Jak inaczej walczyć z troglodytami? Teraz programy informacyjne w publicznej telewizji odbitej z rąk PiS są coraz lepsze, chociaż nadal sporo do poprawy. A politycy PiS zaczęli przychodzić do programów, czym, chcąc nie chcąc, legalizują to, co się stało.



WORLD PRESS PHOTO 2024



1. Alejandro Cegarra, Dwa mury – główna nagroda w kategorii Projekt długoterminowy

Meksykańska polityka migracyjna stała się równie rygorystyczna jak w USA. Wenezuelscy migranci protestują przeciw przetrzymywaniu ich w złych warunkach w Siglo XXI – ośrodku w Tapachula w Meksyku.

2. Ebrahim Noroozi, Afganistan na krawędzi – nagroda w kategorii Azja

Dzieci wpatrują się w jabłko, które wyebrała ich matka. Obóz dla osób przesiedlonych w Bagrami na obrzeżach Kabulu.

3. Eddie Jim, Walczymy, nie toniemy – nagroda w kategorii Południowa Azja i Oceania

Lotomau Fiafia, starszy wspólnoty, z wnukiem Johnem stoi w miejscu, w którym była linia brzegowa w czasach, kiedy sam był chłopcem. Fidżi, zatoka Salia na wyspie Kioa.

4. Arlette Bashizi, Ocaleni – nagroda w kategorii Afryka

Shila, matka trójki dzieci, prowadziła salon fryzjerski, zanim żołnierze Erytrei najechali jej miasto. Wielokrotnie gwałcona zaszła w ciążę i urodziła chłopca. Nie wie, czy będzie dość silna, by wyjawiać prawdę dzieciom. Mekele, region Tigray w Etiopii.

5. Charles-Frédéric Ouellet, Dzień z życia strażaków w Quebecu – nagroda w kategorii Ameryka Północna i Środkowa

Zesztoroczne pożary w Kanadzie były najgorsze od lat. Theo Dagnaud obserwuje okolicę, by upewnić się, że patrole strażaków opuściły teren i można go oznaczyć jako skontrolowany.

6. Vincent Haiges, Powrót z wojny do domu – nagroda w kategorii Afryka

Kibrom Berhane na początku 2021 r. bez wiedzy rodziców wstąpił do Tigrajskich Sił Obrony. W walkach stracił nogę. To jego pierwsze po dwóch latach spotkanie z matką. Saesie Tsada, Etiopia.



Uchronić przed mafią

Włochy rozszerzają program ochrony dzieci z rodzin przestępczych

Tomasz Skowronek

Lucia tłumaczyła sześciolatniemu bliźniętom, aby poruszały się szybko, ale cicho, gdy nocą pakowała je do samochodu. Dopiero gdy cała trójka znalazła się w samolocie lecącym z Kalabrii na południu Włoch do nieujawnionego miejsca na północy, mogła poczuć się wolna od męża mafiosa i jego krewnych: „Wiedziałam, że nie wystarczy zmienić sąsiedztwo lub kręgi społeczne, trzeba było uciec od wszystkiego, od tej mentalności”.

Ich ucieczka z miasta Cinquefrondi jest jedną z kilkudziesięciu interwencji podjętych od 2012 r., mających na celu oddzielenie dzieci, a czasami też ich matek, od rodzin należących do 'ndranghety – jednej z najpotężniejszych mafii na świecie. Program, zainicjowany przez sędziego ds. nieletnich Roberta Di Bellę, zapobiega angażowaniu dzieci z grup ryzyka w przestępczość zorganizowaną.

Mąż, szwagier i teściowa 36-letniej Lucii zostali skazani za przestępstwa mafijne, a jej teść za morderstwo. Sama Lucia przebywała na zwolnieniu za kaucją do czasu odwołania od wyroku skazującego ją za związek z mafią: „Gdybym została skazana na karę więzienia, musiałabym zostawić dzieci w rękach rodziny mojego męża. Ta myśl mnie przerażała”.

Dotychczas sądy odebrały 150 dzieci, które obecnie przebywają w rodzinach zastępczych w tajnych placówkach. W 30 przypadkach matki wołały im towarzyszyć, a siedem kobiet gotowych jest zeznawać przeciwko partnerom. Dzięki programowi nazwanemu „Liberi di scegliere” („Wolny wybór”) władze mogą odebrać rodzinom mafijnym dziecko, gdy udowodnią przed sądem, że

przestępcza działalność bliskich stanowi dla niego zagrożenie fizyczne lub psychiczne.

Program początkowo funkcjonował tylko w Kalabrii, gdzie działa 'ndrangheta. „Na pomysł separowania ojców mafiosów od ich dzieci wpadliśmy, gdy zrozumieliśmy, że



Program zainicjował sędzia do spraw nieletnich Roberto Di Bella.

w prowadzonych przez nas sprawach ciągle powtarzały się te same nazwiska nieletnich oskarżonych o zabójstwa, przynależność do mafii, handel narkotykami i wymuszenia”, wyjaśniał sędzia Di Bella w „Corriere della Sera”.

„Ndrangheta opiera działania na „prześlągniętych krwią więziach rodzinnych” wynikających z urodzenia lub sojuszy zawartych przez małżeństwo, a nie na „bazującej na zastugach” rekrutacji osób z zewnątrz, powszechnej w innych mafiach. Dlatego program początkowo działał jedynie w Kalabrii. Ministerstwo Sprawiedliwości szybko jednak postanowiło go rozszerzyć na grupy przestępcze z Sycylii (cosa nostra) i Neapolu (camorra).

„To historyczny moment w walce z mafią”, powiedział minister sprawiedliwości Carlo Nordio, przedstawiając protokół podpisany przez pięciu ministrów i Konferencję Episkopatu Włoch. Chiara Colosimo, przewodnicząca komisji ds. walki z mafią we włoskim parlamencie, dodała: „Są dzieci uczące się strzelać w wieku ośmiu lat. Są dzieci, które handlują crackiem w wieku ośmiu lat”. Ekspertka od edukacji dzieci Rossella Marzullo podkreśliła z kolei, że „dzieci z 'ndriny przechodzą bolesny i przedwczesny proces dorastania”.

„Niektóre dzieci w wieku 10, 11 lat potrafią posługiwać się bronią, wiedzą, gdzie ukryć narkotyki, jak uniknąć kontroli policji – nadmieniła ekspertka z Uniwersytetu Reggio Calabria, która doradzała Di Belli przy projekcie. – Od najmłodszych lat są wykorzystywane jako posłańcy, oszukują lokalnych przedsiębiorców, używając nazwiska rodziców przebywających w więzieniu, są w pełni zaangażowane w lokalne spory, czasem jako zabójcy”.

Program spotkał się jednak z krytyką. Niektórzy obawiają się, że trauma życia z dala od rodziny będzie gorsza niż ryzyko pozostania w niej. Zwolennicy zapewniają, że dzieci odbierane są rodzinom tylko w ostateczności.

Tymczasem rodzice mogą uczyć dzieci kultury mafijnej i jej wartości, takich jak omerta (kodeks milczenia). W wielu rodzinach można zatem oczekiwać, że syn pójdzie w ślady ojca i wstąpi do organizacji, a córka wyjdzie za mąż za kogoś z innej rodziny mafijnej, by wzmocnić sojusze. Roberto Di Bella zna przypadki dzieci zmuszanych do mordowania matek w obronie honoru rodziny, ale miał też do czynienia z dziećmi, które same chciały odciąć się od mafii. „Umieszczamy je w strukturach społecznych, interweniuąc wyłącznie wtedy, gdy mafijna metoda edukacyjna powoduje konkretne uprzedzenia, w każdym przypadku oceniając to z osobna”, przyznał sędzia. „Nawet główni szefowie mafii stali się współpracownikami państwa, aby chronić swoje dzieci”.



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Stan przedżałobowy

Nie mogę usiedzieć; kiedy natłoki niedogodności, a nawet okoliczności zgoła tragicznych naciskają, dostaję chodzonki. Jak bieżeniec wierzę, że zło ma kiepską kondycję i nie nadąży za człowiekiem będącym w stałym ruchu; póki więc idę, jestem bezpieczny. O tym, że zasięg zła gubi się pod ziemią, też mam przekonanie graniczące z pewnością, dlatego uciekam pod powierzchnię, gdy tylko czuję, że życie staje się nieunośne.

Matka przez całe życie bała się znaleźć na językach, każdą zmianę przyjmowała lekliwie, dopytując: „Co ludzie powiedzą?”, we mnie pokładała minimalne nadzieje, że może chociaż wstydu jej nie przyniosę. Teraz, kiedy znalazła się na granicy życia i śmierci, nie czuam przy jej szpitalnym łożu, lecz chodzę – nogami się modłę, chodzę tyleż dla siebie, co w intencji jej łagodnego odchodzenia (nie mam nadziei, że wychodzę jej zdrowie niczym Werner Herzog wychodził je dla Lotte Eisner, pielgrzymując pieszo z Monachium do Paryża). Idę, więc jestem; nie mam innego sposobu na ten stan przedżałobowy, kiedy tylko się zatrzymuję, demony rozpaczki obsiadają mnie jak muchy spoconego wędrowca – nie mogę się skupić na czytaniu, oglądaniu filmów, muszę być ruchomy; myślę idąc, rozmawiam idąc, nawet „idę idąc” (jak napisał niegdyś Mateusz Kościukiewicz w esemesie wykorzystanym w „III Symfonii” Mykietyna).

Zachodzę w głowę, dokąd przyjdzie mi dojść; tymczasem zachodzę tu i ówdzie, nie nadużywam miejsc ani znajomości, staram się zanadto nie naprzykrzać swoją rozpaczą, jeśli lamentuję, to sam sobie, w strefach ciszy, gdzie nic nie dosłyszysz moich zdławionych skarg. Wychodzi na to, że próbuję wychodzić to, co rozpycha żebra; wychodzę z siebie, żeby kamień z serca zrzucić. Niesie mnie, nosi mnie, nogi mnie niosą ku odludziom, bo w ludziach teraz wszystko mnie zasmuca, ktoś powie: „Dzień dobry”, a ja mu odpowiem: „Vanitas vanitatum...” i jeszcze się obrazi – wolę omijać. Zaprzyjaźnieni miłośnicy podziemi proponują mi zejścia z tego świata ku światu podskórnemu; korzystam, schodzę z nimi poza światło, sprawdzam tartary i hadesy, wyrzeźbione w skałach

najróżniejszych, dantejskie scenografie przemierzam, a nawet się do nich przymierzam, w imieniu własnym, ale i tej, która odchodzi, czuję, że może o takim rodzaju wędrowki ludzie źle nie powiedzą, bo to rewia czerni i jej odcieni, funeralne mają barwy moje niefolderowe przechadzki.

Byłem w krainie czarnego tępka na Śląsku Opawskim, w którym ludzkie ręce wydrążyły „sztolnie takie, gdzie na dzień jest inne niebo antypodów”, podczas gdy mama leżała w sali numer dwadzieścia; byłem w piaskowcowych sypialniach latających myszy, zwisających na kształt czarnych tulipanów, kiedy mamę przenoszono do sali numer trzystaście; zaglądałem do wapiennych korytarzy przy opactwie tynieckim, gdzie w kałużach wiślanych żyją gromady bezpigmentowych kielży jaskiniowych, tymczasem

Jak bieżeniec wierzę, że zło ma kiepską kondycję i nie nadąży za człowiekiem będącym w stałym ruchu; póki więc idę, jestem bezpieczny.

mama znalazła się w izolatce. Za każdym razem wracam do niej i opowiadam o swoich podróżach, choć nie wiem, czy słyszy, pokazuję zdjęcia, choć nie mam pewności, że widzi, a potem przepraszam i wychodzę, bo za gardło ściskają żale, których powinno się oszczędzić pacjentce obłożnej, śmiertelnie zmęczonej.

Chodzę dalej, choć wiem, że to nie przejdzie. Antoś, kiedy się skaleczy albo na coś zachoruje, zawsze pyta: „Tato, kiedy mi przejdzie?” z dziecięcą pewnością, że wszystkie dolegliwości mają swój kres, trzeba je tylko przeczekać – otóż nie wszystkie, nie liczę na to, że ten żal przejdzie w stan spoczynku. W końcu nagle stanę twarzą w twarz z tą śmiercią i będę musiał się nauczyć z nią żyć, także w znieruchomieniu. Ale na razie idę, nic tu po mnie, niczego też przede mną nie widać, poza ciemnościami, być może przeniknionymi jednak.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeklad.pl



DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTube i LinkedIn



Można pojechać do Pragi

Czeska lekkość bytu czasem się przydaje

Anna Wyrwik

Można pojechać do Czech, by odpocząć od Polski, nieważne, czy to wiosna, czy jesień, szaro, pada, marsze i cmentarze. Tam też szaro i pada, ale inaczej. Bo u nich w ogóle inaczej. Ironia przyjmuje formę grafitti na starej praskiej bramie: po jednej stronie ptaszek siedzi na koniku, a po drugiej konik siedzi na ptaszku. I już. Wystarczy.

W Chałupkach wysiada cały świat

Można wsiąść do nocnego pociągu i pojechać do Pragi. Z Warszawy jedzie się prawie 12 godzin, z Krakowa niemal dziewięć, z Katowic jakieś osiem. Kuszetkę albo w wagonie z miejscami siedzącymi.

Żyjemy w czasach, gdy w pociągu rozmawia się o wojnie. Więc jedziemy i rozmawiamy o wojnie z kobietą z Ukrainy, z okolic Buczy. Opowiada nam o synu, który zginął, a miał dopiero 21 lat, i o innych chłopakach, którzy zginęli. Młodych, po studiach. Byli na wojnie, a być nie powinni. Opowiada o córce, która studiuje w Lublinie i chce wracać do Ukrainy. Mówią jej, by nie wracała. Opowiada też o mężu, z którym jedzie do Karłowych Warów, by się podleczył. Mąż wygląda bardziej na ojca, siedzi przy drzwiach i nie odpowiada na „dzień dobry”, wpatrzony w telefon. Ona, gdy nie mówi o wojnie, również patrzy w telefon.

Kiedyś nie rozmawiało się w pociągach o wojnie i nie oglądało filmików w telefonie. Kiedyś w pociągach paliło się papierosy. Dziś jest zakaz palenia. Gdy więc jedzie się pociągiem do Pragi, nie można do piwa zapalić papierosa. Bo oczywiście pije się piwo, mimo że też jest zakaz (na polskim odcinku trasy), ale to akurat można.

Pijemy zatem piwo, a na papierosa wysiadamy w Chałupkach, które z Boguminem tworzą polsko-czeskie przejście graniczne.

Stacja w Chałupkach przez źródła opisujące polskie kolejnictwo jest uznawana za bardzo ważną, bo dzięki temu węzłowi można się od nas dostać do Czech i dalej do Austrii, na Węgry i Słowację. Palimy na tej bardzo ważnej stacji, a wokół ciemno i wiatr świszczący, jakbyśmy wpadli w czarną dziurę i już tylko to palenie nam pozostało, a jak zgasimy, to wessie nas otchłań. Z nocy wytacza się ochroniarz, więc czmychamy za budynek, jak nastolatki na przerwie, bo przecież na peronach palić też nie wolno, a on patrzy na nas z politowaniem, poprawia czapkę i zaprasza pod plastikowy daszek.

– Tu mniej wieje. Palcie sobie. Mnie to nie przeszkadza.

Palimy. Jeden, drugi, w końcu to jedyna dłuższa przerwa w trasie. Ochroniarz mówi, że budynki wokół są z cegły i puste. I że ogólnie

bilety, nie informuje, że przesiadka w Chałupkach, to ochroniarz spotkał już i Niemców, i Włochów, i Japończyka, i Chińczyka, i wszyscy byli w szoku, zagubieni, i nawet dzwonił po policję, gdy dziecko z Teksasu, a konkretnie z Dallas, wpadło w hipotermię. Ochroniarz opowiada, my wypalamy trzeciego papierosa, pod daszek przychodzi zakapturzona dziewczyna z Białorusi i też pali na tej bardzo ważnej stacji kolejowej. Ochroniarz tymczasem powtarza, że w Polsce jest bajzel, bałagan, burdel, że nic się nigdy nie zmieni i dlatego głośuje na PiS.

– Głosuję na mniejsze zło – mówi. – A wy na kogo?

– Na lewicę – odpowiadam, a on znowu patrzy na mnie z politowaniem i poprawia czapkę.

– Nieważne – wzdycha. – To jest postkomunistyczny kraj i tu nigdy nic nie będzie działać!

I dalej mówi o tym, że wszyscy to złodzieje, kraj rozkradają, tylko dla siebie i dla siebie biorą, jak refren

Ludzie z zagranicy wysiadają na przesiadkę, widzą stację w Chałupkach i nie wiedzą, co robić.

tu nic nie ma. Tylko on i te pociągi międzynarodowe stają. Pociągi tu jadą na Pragę, na Wiedeń, na Bratysławę – wymienia – na Berlin jadą i na Frankfurt nad Odrą. Wszystkie bezpośrednie. I mówi, że panuje tu straszny bajzel.

– W Chałupkach wysiada cały świat. Ludzie z zagranicy wysiadają na przesiadkę, widzą tę stację i nie wiedzą, co robić.

Wokół ciemno, tak że ledwo widać opuszczone budynki z cegły, wiatr gwizdże i jest tylko ten ochroniarz. W obcych językach nie mówi, więc trudno mu zagranicznym turystom wytłumaczyć, co i jak z przesiadką, a że – jak twierdzi – PKP, sprzedając

stałej o polskiej polityce piosenki. Jak rozmaryn. Jak ułani.

Niektórzy już czwartego papierosa odpalają, a ja pytam ochroniarza, który nie pali i ręce pociera z zimna, co w Chałupkach jest prócz tego dworca i całego świata, który tu wysiada, by się przesiąść, a on mówi, że nic. Gdy wracamy do pociągu, z ciekawości patrząc w internet i faktycznie jest niewiele. Pałac w Chałupkach/Zamek Bogumiński, dawna gospoda, stary most, czyli przeszłość, jak ta stacja kolejowa, o której Arkadiusz Biernat w październiku 2022 r. napisał w „Gazecie Wyborczej”: „Budynek dworca kolejowego od wielu lat jest nieczynny i wygląda jak ruina



z oknami zabitymi płytami". I że remont będzie za kilka lat.

Nudna jak Praga. Sorry

Czeska ironia to nie tylko konik siedzący na ptaszku. Jest wszędzie. Lekka i po prostu, jak wypicie piwa. W Polsce bywa ciężka, jakby ktoś do jednego wora wrzucił wszystkie przydrożne krzyże i kamienie upamiętniające „żołnierzy wyklętych”, a przepijana wódką powoduje charakterystyczne polskie się krzywienie. W Pradze zaś są „Śasiedzi”, jest breloczek z krecikiem, ścienna wlepka: „IGNORED PRAYERS” i malowidło w gospodzie, na którym kobieta z odsłoniętą piersią podaje piwo. „Tak si w domečku žijeme”, brzmi napis. Nawet gdyby lewica i feministki bardzo chciały, to ogrom dystansu powoduje, że nie ma jak do tego się przyczepić.

Można iść po Pradze i zamiast kolejnego pomnika Jana Pawła II zobaczyć pomnik z bykiem o wielkich, zwisających jędrach. Reżyser Petr Zelenka mówił, że „Polacy to tak naprawdę Czesi plus papież”. Nie wiem, czy ten papież nie jest tylko kolejnym ciężarkiem do i tak już za ciężkiej kupy powagi, pruderii i tropienia grzechu, o którym Mariusz Szczygieł pisał, że to „nasze zajęcie narodowe”. Podczas gdy w Czechach mamy na przekór, na opak, na

oklep. „Kiedy przekraczam granicę, nabieram czeskiego wymiaru, bo tam mi dają prawo do grzechu, prawo do słabości, prawo do wolności”, pisał Szczygieł. A na jednym z praskich murów ktoś z kolei napisał: „Może to nie ma znaczenia”. Może.

Sławista z Uniwersytetu Warszawskiego dr hab. Patrycjusz Pająk w artykule „Czeska komedia dla początkujących (szkic z historii gatunku)” pisze: „Począwszy od XIX w., wiodącą kulturowo warstwą jest w Czechach drobnomieszczaństwo, które w znacznym stopniu wywodzi się ze wsi i dąży do zachowania społecznego status quo przez unikanie ostrych konfliktów politycznych. Postawę czeskich drobnomieszczan wyraża dobrze humor plebejski, który skupia się na codzienności i prywatności, zachowując dystans do wydarzeń wykraczających poza ten horyzont”. Tyle że ja akurat lubię poza horyzont. Uważam, że za horyzontem jest najciekawiej, i może dlatego, wspominając Milana Kunderę, przyznaję, że czeska lekkość bytu czasami robi się dla mnie nieznośna. Przezroczyista i nudna. Nudna jak Praga. Sorry.

Bo Praga bywa nudna. Można po niej chodzić i my chodzimy, i nic nas tu nie zaskakuje, nie zadziwia, nie namawia do tego, by wyciągnąć aparat z plecaka. Chodzimy i rozmawiamy o tym, że dla wszystkich w Polsce Praga jest obiektem idolatrii, a gdy

pytamy się nawzajem, dla kogo konkretnie, to po kilku literackich przykładach kończą nam się odpowiedzi. Wciąż jednak czujemy, że w polskim powietrzu piękny obraz Pragi się unosi. Z badań CBOS z 2023 r. wynika, że z narodów świata Polacy najbardziej lubią Amerykanów (68% na tak, 6% na nie), potem Włochów, Anglików, Słowaków i na piątym miejscu są Czesi z wynikiem 54% na tak do 13% na nie. „Mam czasem wrażenie – pisał jeden z tych literackich przykładów, czyli przywołany już Mariusz Szczygieł – że po to właśnie zostali wymyśleni Czesi. Żeby wprowadzać Polaków w dobry nastrój”. Może, bo może dobrze wiedzieć, że gdzieś na świecie, a nawet zaraz za płotem, żyje naród, który nie ma na swoim punkcie fioła takiego jak my. A może dobrze nam patrzeć sobie na Czechów z – może nam się tak wydaje – wyższych pozycji, pozycji poważnych ludzi, mądrych i dojrzałych, bo poszarganych przez życie, przez los, z pozycji poetów patrzących na komiksarzy.

Magnesiki już mamy

W Pradze można jeść i pić. Je się mięso, knedliczki i kapustę. Pije się piwo podawane w kuflach, z których piana pięknie leje się po ściankach. Po Pradze można chodzić i patrzeć na mosty, można robić zakupy w postrawinach, sklepach z pamiątkami albo z CBD. Można jeździć szerokimi tramwajami marki skoda. Można patrzeć na kamienice i ja chodzę, i patrzę, i myślę o Wiedniu, bo trochę mi ta Praga Wiedeń przypomina. Co zrobić. Tyle że Wiedeń jest monumentalny, wytworny, elegantski i wszystko jest tam po cesarsku. Praga zaś to szarawa i niewyprana, uboga kuzynka Wiednia, która wciąż nie otrzepała się z warstwy socjalistycznego kurzu.

A że to wszystko po chwili robi się nudne, to znowu można w Pradze jeść i pić. Jaroslav Hašek pisał: „Dziś prawdziwy czeski pisarz nie pisze krwią, tylko sadłem”. Można więc iść po sadło do jednej z tych czeskich hospudek. CK, Austro-Węgry i „Postrzyżyny” w jednym, drewniane ławy i kufle z grubego szkła. ▶

► Kelnerzy noszą, goście biesiadują. My też. Mięso, knedliczki, kapusta i piwo. I słuchamy. Słyszymy język polski przy stoliku obok.

– Magnesiki już mamy – mówi ona. Włosy blond, złoty naszyjnik na golfie, kamizelka z Podhala i kozaki w szpic.

– A! Ten kościół jeszcze jest do zobaczenia – mówi on. Włosy krótkie i czarne, zakola, broda od barbera, obciste spodnie i obcista koszula na wytrenowanej kłacie.

– Ten, co wygląda jak Mariacki?

– Yes.

I patrzymy. Widzimy czterech Czechów w grubych bluzach, którzy wchodzą do środka. Mają czerwone nosy i policzki, a pod czapkami mokre włosy, ale bardziej niż na narciarzy wyglądają na muzyków rock bandu z lat 70., którzy przyjechali tu

podczas gdy reszta przy stolikach pije i pali, więc z sensem. Można w Prague Beer Museum, gdzie przy wysokich stolikach stoją hockery, a na barze jest ileś tam on tap, bo to klasyczny craft beer bar. Takich samych jest od groma w europejskich miastach, ale gdy znudzą się czeskie gospody, to jak znalazł. Tym bardziej że barman krzyczy na angielskich turystów, więc jest jak w domu, jak w Krakowie.

Czesi mają wszystko gdzieś

Gdy się znudzą czeskie gospody, kamienice udające wiedeńskie, pa miątki, CBD i most Karola, można iść na Osiedle Baba. Miłośnik Czech, dziennikarz i pisarz Aleksander Kaczorowski w jednym z wywiadów powiedział: „Wiele osób mnie pyta,

Zurychu, Wrocławiu (osiedle Wu-WA) i to tutaj, w Pradze, po którym chodzimy. Ogólny plan i zasady zabudowy dał Babie architekt Pavel Janák. Konkretnie domy projektowali też inni. Można podziwiać modernistyczną geometrię. Jest funkcjonalnie i nisko, bo takie są zasady. Są również takie, że nie ma wysokich murów, a częściej widzimy zwykłe, siatkowe ogrodzenia. To może dziwić, zwłaszcza jeśli jest się z Polski, w której murzyska z wieżyczkami i złotą zwierzyną nierzadko przewyższają dachy i ceny domów.

Po spacerze po Osiedlu Baba można zjeść mięso, knedliczki i kapustę oraz wypić piwo w gospodzie Na Staré faře. Znajduje się ona w miejszcach zbudowanego w XVIII w. domu parafialnego, co kogoś może szokować, ale nie Czechów. Czesi to mają w dupie.

Do Polski można z Pragi wrócić nocnym pociągiem tą samą trasą przez Chałupki. Śmiejemy się w przedziale ze stacji kolejowej w Chałupkach, a wraz z nami śmieje się kobieta, która okazuje się zakapturzoną Białorusinką, co to z nami w drodze do Pragi na tej stacji pod plastikowym daszkiem paliła papierosy. Klamra kompozycyjna. Śmiejemy się więc z Chałupki, ale czeski klimat z czasem opada i wracamy do czasów, gdy w pociągu rozmawia się o wojnie. Rozmawiamy o Ukrainie i Białorusi, o Światłanie Cichanouskiej i jej siedzącym w więzieniu mężu Siarhiejcu, dyskutujemy o wyborach prezydenckich z 2020 r. i o tym, co będzie za kilka lat. Wracamy z Czech do Europy Wschodniej, pijemy piwo i czekamy na śmierć dyktatorów.

A potem wszyscy zasypiamy i tylko gdzieś nad ranem, może nawet w Chałupkach, wpada do naszego przedziału gruby sokista w kamizelce, obładowany gadżetami jak gliniarz z biura szeryfa w południowym Teksasie. Świeci nam po oczach lartarką i drze się:

– Bilety! Chować butelki! Kontrola idzie!

A ja myślę sobie, że czeska lekkość bytu czasem jednak się przydaje.

Anna Wyrwik

Może dobrze wiedzieć, że zaraz za płotem żyje naród, który nie ma na swoim punkcie fioła takiego jak my.

z czeskiej prowincji, by z okazji 50-lecia zagrać pierwszy od 15 lat koncert. Zamawiają mięso, knedliczki, kapustę i piwo.

Gdy znudzą się czeskie gospody, a mogą się znudzić, bo są nudne i jedna przy drugiej, a piąta między czwartą i szóstą, można wrócić do barowej terażniejszości. Terażniejszość też jest potrzebna „na boga!”, że tak podkreślę to polskim zawołaniem, mimo iż jestem w kraju, w którym do kościoła chodzi mniej niż 10% ludzi. Czesi w niedzielę wolą iść na piwo. Można ich spotkać w Holešovickým pubie z dartami w rogu, piłką nożną na ekranie i płytkami na podłodze, jak w pizzerii z Polski powiatowej. Można w punkowym barze Bohužel z koncertowymi plakatami na ścianach, irokezami i ramoneskami przy stolikach, a za barem pijaną dziewczyną, która trąca kufel z tym samym piwem, co je dopiero nalała. Można w barze Bukowski, którego to Bukowskiego przywieźli do Pragi Kanadyjczycy i zrobili na drogo, z drinkami, a do tego piwami 0,3, więc bez sensu. Można w Nad Viktorkou, gdzie faceci siedzący przy barze wraz z barmanem zerkają na mecz hokeja,

czy to prawda, że Czesi mają wszystko w dupie. Na ogół tak”. I dalej tłumaczył: „Czesi lubią być samowystarczalni. Jak pojedą »na chałupkę«, to mają tam wszystko, czego im do życia potrzeba, nie muszą wyściubiać z niej nosa. Na podwórku jest więc basen i grill, a w piwnicy zapas piwa, który oczywiście zawsze można uzupełnić w gospodzie”.

Chodzimy po Babie, a gdy widzę dom z basenem zaprojektowany przez architekta Oldřicha Starego dla grafika i projektanta Ladislava Sutnara, przypominają mi się słowa Kaczorowskiego i uświadamiam sobie, że to wciąż Czechy, a nie Kalifornia. Osiedle jest położone godzinę pieszo od centrum Pragi, a może dłużej, bo na wzgórzu, więc trzeba się wspiąć. Nagrodą jest widok na miasto. I 31 modernistycznych domów powstałych w latach 1928-1932 w ramach międzynarodowego projektu „Werkbund Estates in Europe 1927-1932”. Deutscher Werkbund to Niemiecki Związek Twórczy, który w 1927 r. zorganizował wystawę mieszkaniową na osiedlu Weissenhof w Stuttgartcie. Z inspiracji nią powstały osiedla w Brnie, Wiedniu,

Gra Sikorskiego, gra Tuska

Dlaczego Radosław Sikorski jest tak powściągliwy, jeśli chodzi o zmiany w MSZ? Według popularnej teorii, powtarzanej od paru tygodni, krępuje go ustawa kompetencyjna, którą PiS uchwaliło (a Duda podpisał) latem 2023 r. Zgodnie z nią wszystkie nominacje na stanowiska europejskie muszą zostać zaakceptowane przez prezydenta.

Jej znaczenie jest bardzo proste. Po czerwcowych wyborach układany będzie na nowo nie tylko Parlament Europejski, ale i Komisja Europejska. Polska oczywiście będzie miała na różne stanowiska swoich kandydatów. I co się stanie, gdy Duda będzie ich wetował?

To prawo weta jest więc dziś źródłem siły prezydenta, zwłaszcza jeśli naprzeciw ma on ministra, który liczy na międzynarodową karierę. Radosława Sikorskiego bowiem regularnie wymienia się jako kandydata na nowo tworzone stanowisko unijnego ministra obrony, nie wyklucza się też, że może on zaważać o szefostwo unijnej dyplomacji. Ale to wszystko będzie na nic, jeżeli Duda powie: nie. A może powiedzieć. Czyżby to Sikorskiego paraliżowało?

Teoria efektowna, ale ma co najmniej dwie poważne luki. Po pierwsze, starsi panowie z MSZ raczej uważają, że Sikorski funkcji europejskiego ministra obrony nie dostanie. Z kilku powodów. Jest zbyt nieobliczalny, lubi różne potyczki, no i nie jest jego atutem deklarowana antyrosyjskość. Owszem, dziś w Europie nastroje mogą mu sprzyjać, ale Europa, jak to ona, myśli dalej. Zakłada, że wojna się skończy, że trzeba będzie jakoś ze Wschodem się układać. Czy taki wojownik jak Sikorski, nawet na stanowisku unijnego szeryfa, będzie pasował?

Ale jest i drugi powód – chyba ważniejszy – podważający teorię rychłej europejskiej kariery Sikorskiego. Nazywa się Donald Tusk.

Spójrzmy – dowodzą starsi panowie – jeśli chodzi o politykę, Sikorski jest całkowicie od niego uzależniony. Nie ma wewnątrz PO swoich ludzi, pozostaje w polityce singlem. W efekcie jest na łasce Tuska. Owszem, premier może go zgłosić do unijnych stanowisk, ale nie musi. Ba! W Polsce też może go przesuwając według własnej kalkulacji. Jeżeli zatem Sikorski ma europejskie ambicje, to w ich realizacji Tusk jest ważniejszy – bo jeśli premier jego kandydatury nie wysunie, Duda nie będzie miał co wetować.

Myślenie naszych panów jest wobec tego inne, oni raczej zadają pytania. Jakie stanowiska w Unii będą dla Tuska najważniejsze? Jakich ludzi może na nie wysunąć? Co może zdobyć i za jaką cenę? I dopiero na końcu plasuje się sprawa obecnego szefa MSZ: czy Tuskiowi opłaca się walczyć w Unii o funkcję dla Sikorskiego? Co z tego będzie miał? Wdzięczności wielkiej raczej spodziewać się nie może. Więc?

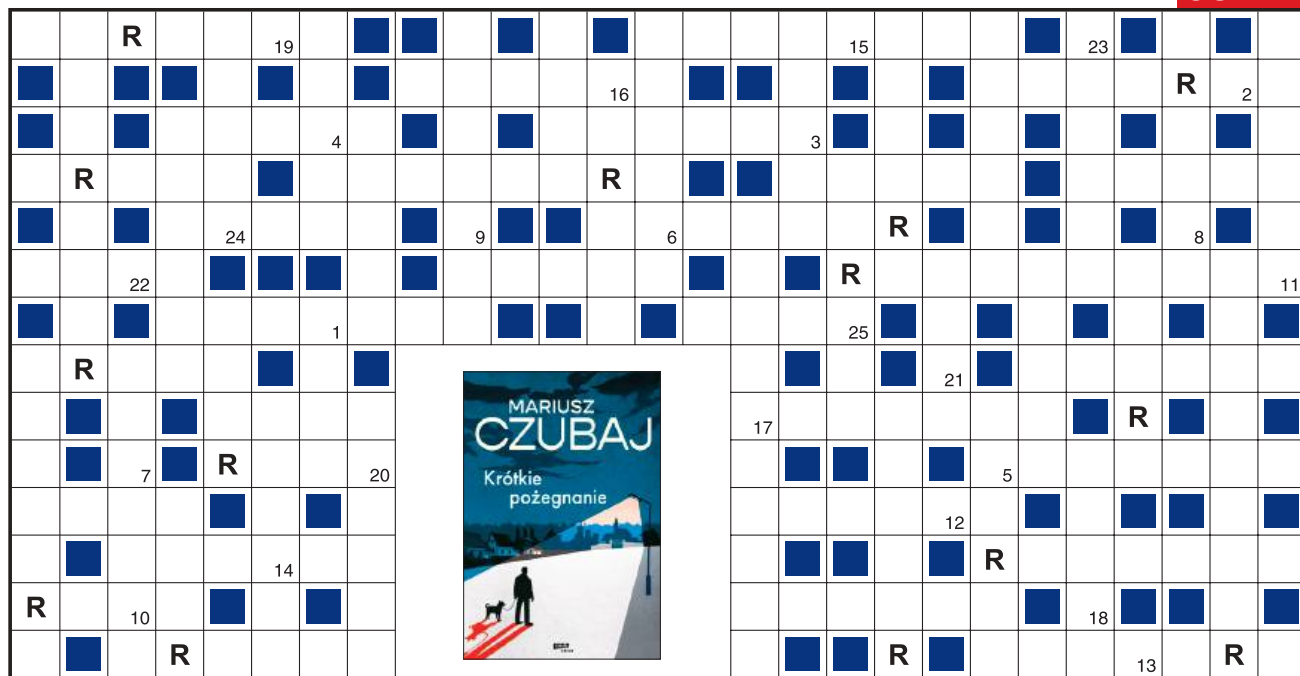
Tezę, że zaślepiony wizją europejskiej kariery Sikorski kuli się przed Dudą, podważa jeszcze jeden element. To historia Piotra Serafina, byłego szefa gabinetu Donalda Tuska, gdy ten był przewodniczącym Rady Europejskiej. Od ręki został ambasadorem przy Unii Europejskiej, a szybkość jego nominacji dowodzi, że naciśnięty Sikorski potrafi działać zdecydowanie. Gdy zatem omija Dudę w sprawach ambasadorów, powinniśmy zakładać, że robi to nie tylko za wiedzą premiera (trudno tych uników nie zauważyć), lecz i za jego aprobatą.

A dlaczego? Panowie mają kolejne teorie na ten temat. Ale o tym innym razem.

Attaché

Mieszkaniec Mathare, dzielnicy slamsów w Nairobi, próbuje ratować rzeczy ze zniszczonych domów. Kenię nawiedziły ulewę, przez które tylko w stolicy zginęło co najmniej pięć osób. 24 kwietnia 2024 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- święty asceta
- sojusznik z koalicji antyhitlerowskiej
- zdarza się po urazie głowy
- Cylejska, druga żona Jagiełły
- rozkaz: przynieś!
- Niezwyciężoną atakował Francis Drake
- lanie, ciągi
- członek kasty kapłańskiej w Indiach
- ołówkowym czasem nazywany jałowiec
- na złodzieju gore
- część składowa nazwy, nazwiska
- zapalenie torebki włosa

- powtórzenie odbitego dźwięku
- dietylowy do narkozy
- w nim okulary, smartfon
- niewłaściwy dźwięk lub nieszczerłość
- starzyzną, bronią, narkotyków
- wulkaniczny archipelag, stan USA
- wprowadza nowe rozwiązania
- siostra Antygony
- indiańska łódź pokryta korą
- narzędzie górnika
- imię twórcy Koziółka Matolka
- prywatna dla wczasowicza
- zło, co nie śpi
- i gra, i coś niepewnego
- polewa na pączku

- drobne, gęste pismo
- ukochana Janosika
- zabawka talizman
- tworzą gęste darnie w wilgotnych miejscach
- grzybień lub grązeł
- imponujący narząd węchu
- czubek pantofla
- ...czarna z brzoźowatych
- ostatnia litera alfabetu greckiego
- niejedna prostowana w erracie
- damski kostium plażowy
- chirurg, filmowy lub koparki
- cztery kąty i on piąty
- był stolicą Mazowsza
- balistyczny – rakietyowy dalekiego zasięgu
- bywa pusty przed wypłatą
- wypad w głęb terenu wroga
- kamień z niej – słynna stela egipska

- wpływanie na coś, przenoszenie na inną płaszczyznę
- daleko od Krymu
- jedna z wielu części składowych
- giełdowa lub egzaminacyjna
- fuga albo spaw
- stojak do aparatu, mikrofonu
- szkodnik upraw ziemniaków
- uczy się do egzaminacyjnej
- okragłe ostrze narzędzi rolniczych
- farba z żółtkami
- gościniec, szlak komunikacyjny
- dawny pas z kieszeniami na pieniądze
- nagrobek w formie skrzyni przykrytej płytą
- serdeczne pozdrowienia na końcu listu
- uprząż na końskim łbie
- komplet na stół
- ...pieśni i tańca

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowoli podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

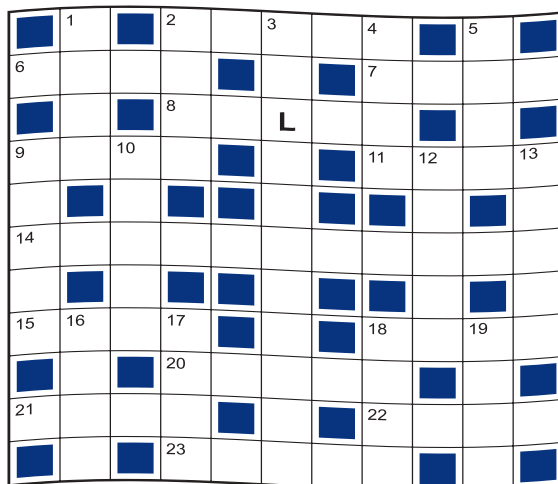
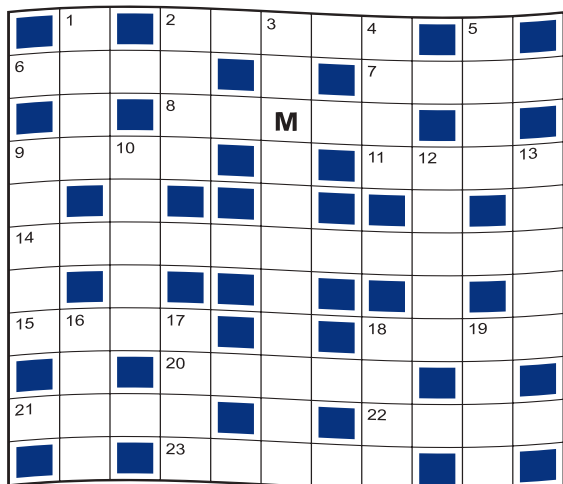
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1167”. Do rozlosowania książki „Krótkie pożegnanie” ufundowane przez Społeczny Instytut Wydawniczy Znak. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 5 maja 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1164” z nr. 15: Każda miłość przychodzi w porę. Nagrody otrzymują: Danuta Morawska z Gorzowa Wielkopolskiego, Stanisław Sawicki z Wydmín, Grzegorz Szustak z Wrocławia.

Objaśnienia zostały podane pod wspólnym oznaczeniem. Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.



Poziomo:

- 2) karności, rygor ■ na środku brzucha
- 6) myśl przewodnia, koncepcja ■ czekają na niej statki
- 7) zatopiony okręt ■ pieśń operowa
- 8) „...purpury”, powieść i film ■ step w Ameryce Południowej
- 9) glon ■ I w NIK
- 11) zmieszany, kto zbity z niego ■ satyry do chłostania
- 14) opiekuńczość, dbałość ■ jego stolicą Baku
- 15) nie dzielimy go na czworo ■ węgiel do pieca
- 18) rozporządzenie cara ■ saharyjska lub spokoju
- 20) zostaje po ścięciu drzewa ■ nagroda marzenie aktora
- 21) klub siatkarski i skrzęsany błysk ■ uparte trawsko
- 22) przewodzi bodźce ■ ptaki morskie z siewkowych
- 23) ulicznik znad Sekwany ■ posąg

Pionowo:

- 1) spotkanie na murawie ■ ma fanów
- 2) duża skrzynia ■ pogody lub sztabowa
- 3) rekompensata, odszkodowanie ■ praktykują w niej studenci medycyny
- 4) dziewczosłęb ■ nacięcie ku pamięci
- 5) kwadratowy dekolt ■ gorszym jego rodzajem wojtok
- 9) czołowi działacze ■ stan USA z Boise
- 10) winne lub gremium ■ maż, błoto
- 12) wafelek do lodów ■ obraz w cerkwi
- 13) gorący alkoholowy w wasie ■ katarakta jako choroba
- 16) gruby koc ■ wawrzynek wilcze...
- 17) wierzba szara ■ spoina spod palnika
- 18) nie wyrzucaj przez nie pieniądze ■ kontuzja, trauma
- 19) statek Noego ■ początkowy punkt podziałki

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

		1	7	3				
5	7				1			3
9	6					1	7	
		6		8		3		
	8			1	5		9	
	3	5	4					1
2	1						5	3
				4			8	
6			5		3	9	1	7

ŚREDNIE

	1		7	5				
				8	2	4		7
			9				6	
	6	3	5		4		8	9
2	9					1		5
			3					
			2					
8			4	9		2		3
		2				8	1	

TRUDNE

		5					9	
1	8		9			3		4
3			6		1	5	2	
	6	9	3					
	7				2			3
		3	5			1		
		6			9			
		4	1					
				3				7

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – to myśl Émile’a Zoli.

הוֹדוּת הַיְּהוּדִים בְּמַלְכּוּת מִצְרַיִם
וְהַיְּהוּדִים בְּמַלְכּוּת מִצְרַיִם
וְהַיְּהוּדִים בְּמַלְכּוּת מִצְרַיִם
וְהַיְּהוּדִים בְּמַלְכּוּת מִצְרַיִם

NIE MIAŁEM ŚWIADOMOŚCI



ŻE WAWRZYK NIE MA ŚWIADOMOŚCI

I DOSTANIEMY ATOMÓWKĘ??



NIE ŻARTUJ ANDREW



Pozdrowienia
z Bychawy

DZIŚ NAJWAŻNIEJSZE ŚWIĘTO U MORAWIECKICH



DZIEŃ ZIEMI

PENETRACJE

TYGODNIK
ANGORA
MAGAZYN
POLITYKI
I KULTURY

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Biskupi jeszcze silniej monarchizują swoje role niż proboszczowie. Czy dlatego, że są rzeczywiście daleko od spraw, którymi żyją ludzie, czyli Kościół? Pojawiają się też postulaty o weryfikację zdolności kandydata do pełnienia funkcji biskupa, wszak trzeba chronić Kościół, gdy ktoś się nie nadaje. Dziś jest odwrotnie, chroni się nieudacznika z pastorałem, upatrując w jego krytyce atak na Kościół Powszechny. Jeden z rozmówców Ignacego Dudkiewicza w książce „Pastwisko” mówi: „Wszyscy mają kadencyjność: sędziowie, prezydenci, parlamentarzyści. Tylko królowie nie mają”. Tenże duchowny uważa, że trzeba hierarchom uniemożliwić zblatowanie z władzą. „W Europie mamy tendencję do święcenia młodych biskupów w wieku np. 40 lat. Jak wyświęcimy idiotę, który będzie miejscowym zamordystą, to mamy go znosić kolejne 35 lat?”.

Press **BOGUSŁAW CHRABOTA,**
REDAKTOR NACZELNY „RZECZPOSPOLITEJ”

Najpierw zabrałem się do odbudowania mentalu tej części redakcji, która ze mną została. Ściągnąłem Zuzannę Dąbrowską, osobę z zupełnie innej bajki, która okazała się jednym z moich najlepszych pomysłów. Wybitna, świetnie pisząca dziennikarka, do tego osoba o kompletnie innej niż większość zespołu lewicowej wrażliwości. (...) Nakręcały mnie trzy rzeczy. Ostatnia z nich: że nikt nie dawał mi szans. Mówiono: „Słuchaj, chłopie, jesteś z innego świata, nie znasz się na gazetach. Dwa, trzy miesiące i będzie po tobie”. Drugą była perspektywa przebudowy tradycyjnej gazety na organizację multimedialną. Miałem za sobą doświadczenia budowania telewizji i współpracy z radiem, byłem wtedy też aktywnym blogerem w Salonie24. Traktowałem tę robotę jak wyzwanie twórcze.

PANI

AGATA DUDA-GRACZ,
REŻYSERKA

Krzyś jest pod każdym względem „niemodny”. Stroni od krzykliwej poprawności politycznej, wiodących trendów i powszechnych sądów. Jest swój własny. Nie znosi ćwiczeń fizycznych, zdrowego jedzenia i „ubierania się na eleganta”. Prowadząc samochód, wyzywa kierowców i przechodniów. Kiedyś mnie to irytowało, ostatnio znalazłam na to sposób: kiedy ktoś zajędzie Krzyśkowi drogę, zaczynam się drzeć zamiast niego.

KRZYSZTOF WRONA,
AKTOR

Wszystko ułożyło się samo. Agatka nie gotuje. Nie ma też prawa jazdy (za co wszyscy ludzie powinni jej dziękować). W związku z tym, chcąc nie chcąc, stałem się szoferem, zaopatrzeniowcem i kucharzem. Jakbyśmy prześledzili naszą SMS-ową korespondencję z Agatką, to oprócz buziaków i serduszek najwięcej jest wiadomości: „marchew, brokuł, ser, kalarepa, woda, bardzo Cię kocham”. Dopiero po dwóch latach dowiedziałem się, że nie lubi grzybów, bo kiedy pierwszy raz zrobiłem jej risotto z grzybami, była zachwycona. Ale tylko dlatego, że nie chciała zrobić mi przykrości.

ROZWIĄZANIA

M	M	O	R	E	S	K	I	P	E	P	E	K	F
R	E	D	A	E	W	R	A	K	I	D	E	A	O
C	P	A	M	P	A	R	O	K	O	L	O	R	L
I	Z	B	A	U	T	R	O	P	A	L	G	A	I
D	R	N	O	O	K	R	K	K	K	A			
A	Z	E	R	B	E	J	D	Z	A	N	T	R	O
H	J	R	E	C	Y	N	I	N	M				
O	P	A	L	A	U	K	A	Z	W	L	O	S	N
L	O	S	C	A	R	R	Y	P	N	I	A	K	E
P	E	R	Z	J	A	L	K	I	S	K	R	A	K
D	A	P	A	S	Z	A	O	W	I	A	N	O	O

ŁATWE

8	2	1	7	3	4	5	6	9
5	7	4	9	6	1	2	3	8
9	6	3	8	5	2	1	7	4
1	9	6	2	8	7	3	4	5
4	8	2	3	1	5	7	9	6
7	3	5	4	9	6	8	2	1
2	1	9	6	7	8	4	5	3
3	5	7	1	4	9	6	8	2
6	4	8	5	2	3	9	1	7

ŚREDNIE

4	1	9	7	5	6	3	2	8
6	3	5	1	8	2	4	9	7
7	2	8	9	4	3	5	6	1
1	6	3	5	2	4	7	8	9
2	9	4	8	6	7	1	3	5
5	8	7	3	1	9	6	4	2
3	4	1	2	7	8	9	5	6
8	5	6	4	9	1	2	7	3
9	7	2	6	3	5	8	1	4

TRUDNE

6	4	5	8	2	3	7	9	1
1	8	2	9	7	5	3	6	4
3	9	7	6	4	1	5	2	8
5	6	9	3	1	7	8	4	2
8	7	1	4	6	2	9	5	3
4	2	3	5	9	8	1	7	6
2	1	6	7	8	9	4	3	5
7	3	4	1	5	6	2	8	9
9	5	8	2	3	4	6	1	7

NIC SIĘ NIE MOŻE OSTAĆ WOBEC PRAWDY,
ONA JEST WIELKĄ, WIECZNĄ TRIUMFATORKĄ.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz,
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek,
Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Socza

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pysznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Aby język giętki...

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI

O SEKSIE PRZEDMAŁŻEŃSKIM KATOLIKÓW

Kiedy Polacy wchodzą do łóżka, to wiara idzie w swoją drogę, a seks w swoją.

ROBERT MAKŁOWICZ

O BRACIACH OBAJTKACH

Przecież to nie jest rodzina szlachecka, tylko chłopska, kliszczaka, z Pcimia. A jak jeden nazwał swoją restaurację? „Szlacheckie Gniazdo”.

SĘDZIA WALDEMAR ŻUREK O RZĄDACH PiS

To były lata koszmaru. Świadomość, że nie mogłem w sądzie szukać sprawiedliwości, była dla mnie jako sędziego szczególnie deprymująca.

MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK O PIOTRZE DUDZIE

Tak nie robi dzentelmen. To robi tajdak. Po ponadśmioletnim siedzeniu w pisowskiej kieszeni.

KATARZYNA HERMAN O BYCIU NA ŚWIECZNIKU

Owszem, lubię błyszczeć, zwracać na siebie uwagę, ale na moich zasadach, a tak się nieśtety nie da.

EWA KASPRZYK O PARTNERZE

Musiałam się uczyć, co znaczy być z troskliwym mężczyzną. I z nastawieniem, że mogę liczyć tylko na siebie.

FILIP CHAJZER O OJCU

To niesamowity, wartościowy i cholernie ambitny człowiek. I tak szczerze – jest moim idolem.

DAWID WOLIŃSKI O MICHALE PIROGU

Jest osobą wymagającą dużej tolerancji, ale niedającą jej innym.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

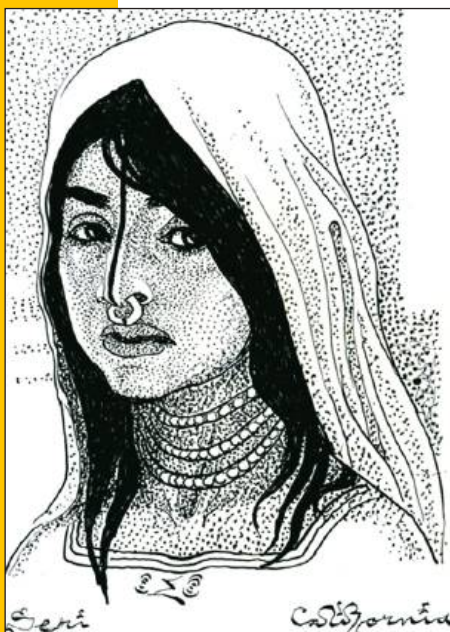
Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPPLP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Tatuaż z Sonory



Tatuaż z Kalifornii



Tatuaż z Mikronezji

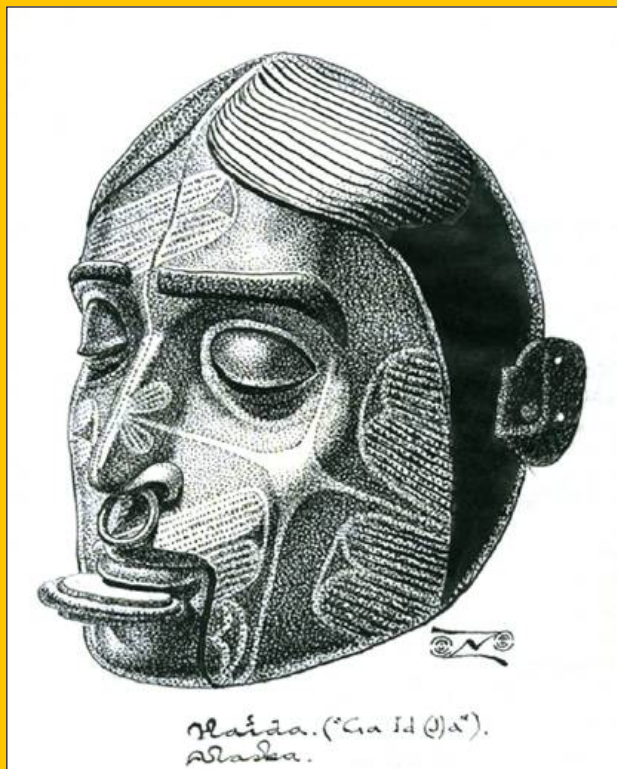
Szukalski

Znak Potopu

Zmarły w 1987 r. w Kalifornii polski rzeźbiarz Stanisław Szukalski oprócz rzeźb, rysunków i projektów pozostawił po sobie liczące ponad 40 tomów maszynopisu dzieło o stworzonej przez siebie teorii nazwanej zermatyzmem, mającej wyjaśnić historię człowieka, świata, cywilizacji, kultury i pochodzenie przodków Polaków. Jeden z tomów tej pracy, uważanej przez niektórych za szaloną, został poświęcony porównaniu tatuaży etnicznych z całego świata i udowodnieniu, że łączą je wspólne symbole i podobieństwo znaczeń. Kilkadziesiąt misternie wykonanych tuszem przez Szukalskiego rysunków z tego tomu, udostępnionych przez właściciela Muzeum Tatuażu w Gliwicach Piotra Wojciechowskiego i kolekcjonera Andrzeja Chęcińskiego, można oglądać w Miechowie.

Leszek Konarski

**Galeria Biura Wystaw Artystycznych „U Jaksy”
Miechów, plac Kościuszki 3A
do 8 maja**

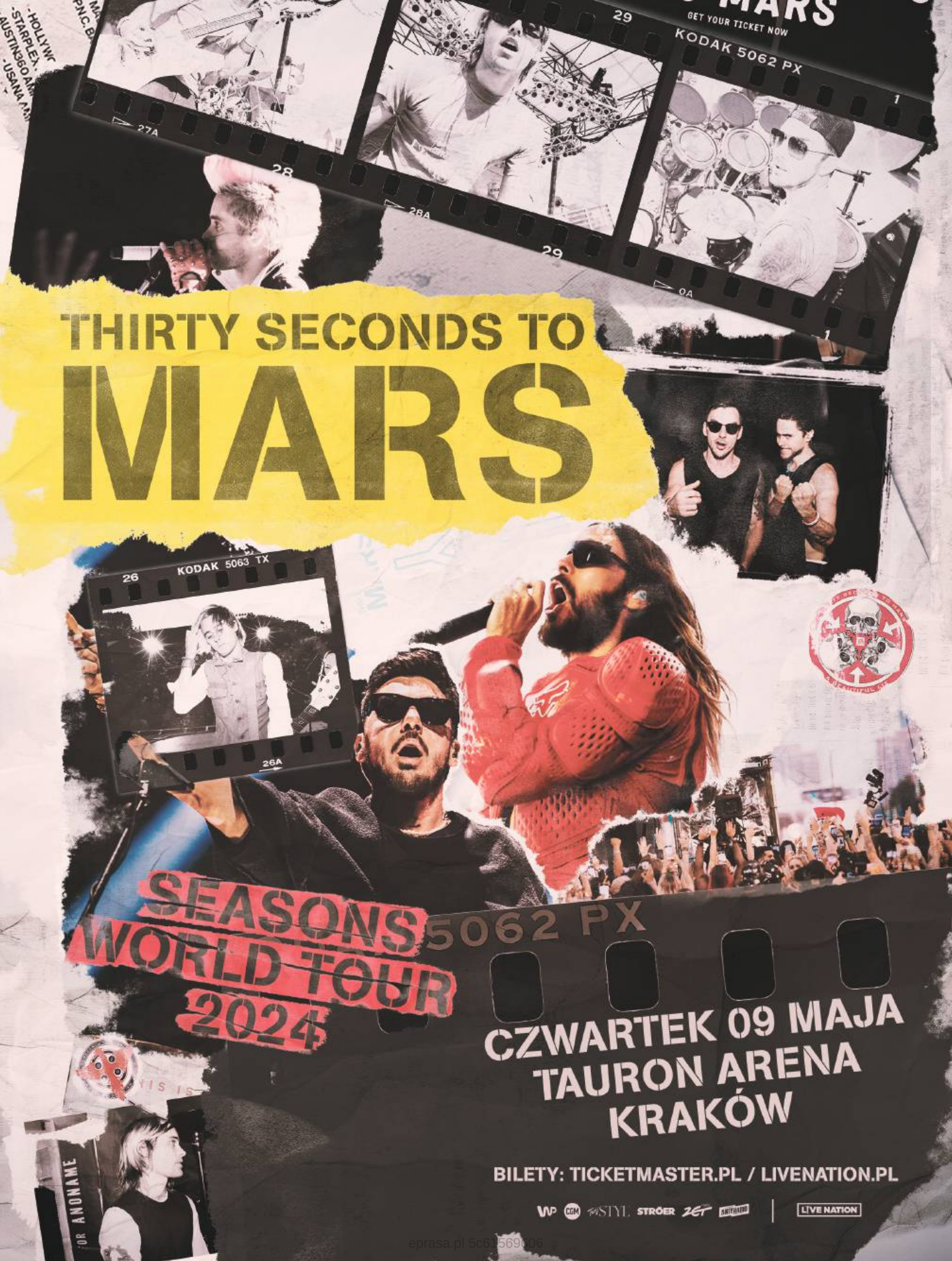


Tatuaż z Alaski



Tatuaż z Brazylii

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



THIRTY SECONDS TO MARS

**SEASONS
WORLD TOUR
2024**

**CZWARTEK 09 MAJA
TAURON ARENA
KRAKÓW**

BILETY: [TICKETMASTER.PL](https://www.ticketmaster.pl) / [LIVENATION.PL](https://www.livenation.pl)

WP COM STYLE STRÖER ZET ANTYKATH

LIVE NATION



17-21 LIPCA 2024



GOGOL BORDELLO **ARTUR ROJEK • KWIAT JABŁONI** **ŁĄKI ŁAN • VITO BAMBINO**

BARANOVSKI • BARTEK KRÓLIK • BASS ASTRAL
JAZZ BAND MŁYNARSKI – MASECKI
KUBA BADACH • SORRY BOYS

BOHEMIAN BETYARS • GOORAL//PAPRODZIAD
KAZIMIERSKA ORKIESTRA DZIADOWSKA • PROJEKT WOW



KAMIENIOŁOMY, KAZIMIERZ DOLNY

